

# HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

STYCZEŃ 2016/1

magazyn [histeria.pl](http://histeria.pl)

SERCE OSKARŻYCIELEM

E. A. POE

GOŚĆ SPECJALNY:

KRZYSZTOF  
MACIEJEWSKI

UGRYZĆ TOPORA

dr Eliza Krzyńska-Nawrocka

BEZPIECZEŃSTWO PRZED WSZYSTKIM  
KLATKA SCHODOWA | PRZEZ ŻOŁĄDEK DO SERCA  
TAJEMNICE ZIMOWYCH NOCY  
TEORIA KOSZMARU | UKŁAD IMMUNOLOGICZNY  
URZECZYWIŚNIENI | W MROKU SEMAFORÓW  
WDŹ | ZAGADKA BLIŹNIACZYCH MIAST

# SPIIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
Wyznania Histeryka		4
BEZPIECZEŃSTWO PRZEDE WSZYSTKIM	Radosław Dąbrowski	5
KLATKA SCHODOWA	Magdalena Lewańska	13
PRZEZ ŻOŁĄDEK DO SERCA	Piotr Borlik	20
TAJEMNICE ZIMOWYCH NOCY	Paweł Cieliczko	28
TEORIA KOSZMARU	Damian Zdanowicz	43
UKŁAD IMMUNOLOGICZNY	Damian Zdanowicz	53
URZECZYWISTNIENI	Norbert Góra	65
W MROKU SEMAFORÓW	Krystian Janik	73
WDŹ	Michał Stonawski	83
ZAGADKA BLIŹNIACZYCH MIAST	Krzysztof Maciejewski	100
SERCE OSKARŻYCIELEM	E. A. Poe	113
Ugryźć Topora	Eliza Krzyńska-Nawrocka	119
W ŚWIĄTYNI TRYGLAWA (fragment)	Małgorzata Saramonowicz	126

**Redaktorzy naczelni:** Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

**Projekt okładki i skład:** Roman Panasiuk

**Ilustracje:** Stanisław Lament, Czarek Marciński, Roman Panasiuk, Izabela Wojciechowska

**Korekta:** Magdalena Kucenty

email: [magazynhisteria@gmail.com](mailto:magazynhisteria@gmail.com)

Witajcie!

Przed Wami pierwsza Histeria w 2016 roku! Jest to numer wyjątkowy m.in. ze względu na to, że pierwszy raz w historii naszego magazynu w jednym wydaniu pojawiły się dwa opowiadania napisane przez jednego autora (Damiana Zdanowicza). Wszystko za sprawą TOPORnego konkursu literackiego. Trzy finałowe teksty przeczytacie na kolejnych stronach.

Gościem Specjalnym noworocznej Histerii jest Krzysztof Maciejewski, który napisał dla nas wcześniej niepublikowaną „Zagadkę bliźniaczych miast”.

W związku z dwięściami siódmymi urodzinami E.A. Poe przypominamy Wam opowiadanie „Serce oskarżycielem”.

Oprócz opowiadań debiutantów i osób, których nazwiska pojawiały się już na łamach Histerii, znajdziecie tu również wywiad z Histeryczką Miesiąca – Justyną Lech, laureatką poprzedniego, DZIAD(Y)owskiego konkursu, autorką „Żertwę swą złoś, gdzie stare czczono bogi”.

Na deser – artykuł dr Elizy Krzyńskiej-Nawrockiej pt.: „Ugryźć Topora” o autorze „Chimerycznego lokatora” i przedpremierowy fragment najnowszej powieści Małgorzaty Saramonowicz!

Tyle od nas. Wracamy do prac nad marcowo-rocznicowym wydaniem. Życzymy strasznej lektury!



B. Jaworski i M. Zawadzki

# WYZNANIA HISTERYKA



Justyna  
Lech

*Pochodzi z Wrocławia i być może kiedyś jeszcze tam zamieszka. Polonistka i religioznawczyni, miłośniczka zwierząt i koneserka irlandzkiej pogody. Feministka i typowa matka Polka z tendencją do przekarmiania najbliższych. Bez czytania nie wyobraża sobie życia.*

***Drugie miejsce w DZIAD(Y)owskim konkursie, a teraz nagroda dla najlepszego tekstu numeru. Czy wysyłając opowiadanie „Żertwę swą złóż, gdzie stare czczono bogi”, spodziewałaś się takiego sukcesu?***

Oczywiście, przecież to doskonały tekst! Żartuję. Myślę, że każdy uczestnik miał nadzieję zająć miejsce na podium – inaczej nie wysyłałby opowiadania na konkurs. Jednak liczyłam się z tym, że konkurencja może być duża. I że jeśli tekstem numeru zostanie któreś z DZIAD(Y)owskich opowiadań, to raczej będzie to utwór z pierwszego miejsca. Dlatego taki sukces jest miłym zaskoczeniem.

***Jak wyglądała praca nad tekstem?***

Od początku wiedziałam, że ma to być krwawa baśń z elementami słowiańskich rytuałów. Jestem z wykształcenia filologiem polskim i religioznawcą, więc chciałam pociągnąć temat w stronę obrzędowości, a do tego nie mogłam oprzeć się pokusie użycia pięknych, ale już zapomnianych słów, takich jak „żertwa” czy „trzebiszcze”. Jednak ciągle czegoś mi w tekście brakowało: miałam wrażenie, że nie ma ciężaru; że jest taką sobie zabawą słowami. Dopiero później postanowiłam osadzić go w konkretnym miejscu i czasie, dodając kontekst historyczny. Sama pochodzę z Dolnego Śląska i jego skomplikowana historia wydaje mi się niesłychanie interesująca.

***Gdzie można przeczytać więcej Twoich opowiadań?***

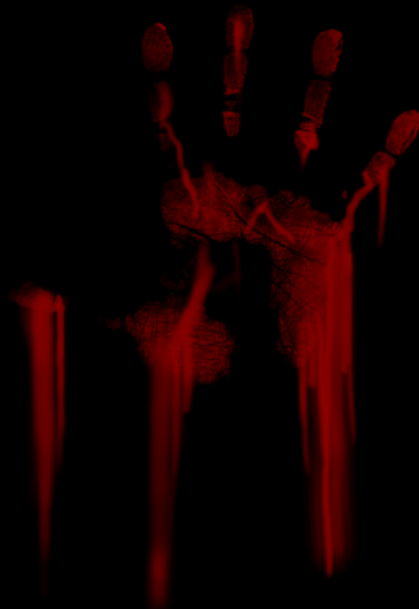
Chwilowo niemal nigdzie, ale mam nadzieję, że to się niedługo zmieni. Jedno z moich opowiadań trafiło do listopadowej „Herbasencji”, poza tym jestem literacko związana z forum Nowej Fantastyki. Jednak nowsze teksty dopiero czekają na publikację.

***Pisanie to hobby czy coś więcej?***

Na razie jedynie hobby i nie wiem, czy kiedykolwiek rozwinie się w coś więcej. Nie chcę wróżyć z fusów, czy może – co by bardziej pasowało do „Histerii” – z wnętrzości. Piszę, bo sprawia mi to niesamowitą radość – zarówno zabawa językiem, jak i to, że mogę z pomocą literatury opowiedzieć coś o świecie. A jeśli kiedyś wyniknie z tego coś więcej, to tym lepiej.

***Z czym kojarzy Ci się słowo histeria?***

Przede wszystkim z Freudem i z długą, momentami zabawną historią tego terminu. Ta magazynowa „histeria” to dla mnie synonim jakiegoś szaleństwa, strachu, ale też wezwania do działania, nawet bezładnego. Sądzę, że to doskonałe połączenie dla opowieści grozy. I na koniec – bądź co bądź – z własnym debiutem. To wyjątkowo miłe skojarzenie.







# BEZPIECZEŃSTWO PRZED WSZYSTKIM

Radostaw Dąbrowski

Dziurawa droga przez bagna wiodła środkiem grobli. Zapach soli był tak intensywny, że czułem jej smak. Obrośnięte porostami drzewa chyliły się ku wodzie. Mgła gęstniała. Włączyłem reflektory. Widząc drogowskaz, przystanąłem, by sprawdzić na mapie, gdzie jestem. Nagle usłyszałem bulgot, a potem przeraźliwy chrzęst. Zastygłem w bezruchu. Nie dalej niż sto metrów przede mną groblę przekroczył obły, ciemny kształt wielkości ciężarówki. Co to było?! Miałem szczęście, że w „to” nie uderzyłem. Nerwowo zapaliłem papierosa.

Nie pierwszy raz zostałem zesłany na zadupie tuż przed podpisaniem umowy gwarantującej poprawę warunków pracy nurków. Wiedziałem, że podczas mojej nieobecności dokument trafi do kosza. Pieprzony zarząd związku! Wycierali sobie gęby szlachetnymi frazesami, ściskając pod stołem dłonie dyrektorów lokalnych firm. Poczucie obowiązku

wygrało z chęcią zawrócenia i zdemaskowania spisku. Nie potrafiłem zawieść pracowników małej firemki, którzy czekali na wsparcie. Po śmierci swoich dwóch kolegów odmówili schodzenia pod wodę. Sprawa była o tyle zagadkowa, że nie działał numer telefonu, pod który kazali dzwonić. Wrzuciłem bieg.

Przyhamowałem, widząc na asfalcie szeroki, ciemny ślad. Tłumnie obsiadły go owady. Dodałem gazu, opony nieprzyjemnie mlasnęły, buchnął smród siarkowodoru. Kaszlałem i przecierałem załzawione oczy. Musiałem przystanąć. Wsiadłem, żeby wymiotować. Odwróciłem się, słysząc szczęk odbezpieczanej broni.

– Ręce do góry! – Siwy mężczyzna w masce płetwonurka celował do mnie z myśliwskiej strzelby.

Kompletnie zaskoczony, posłusznie uniosłem dłonie nad głowę. Nie spuszczać mnie z muszki, nieznajomy usiadł za kierownicą, zawrócił i odjechał.

\*\*\*

Przeżony pobiegłem w przeciwnym kierunku. Zanim zdążyłem się zasapać, zobaczyłem stalową kratownicę mostu. Pod nogami zadudniły deski. Minąłem podziurawioną kulami tablicę:

„SŁONE MOCZARY Witaj w krainie najsmaczniejszych krewetek”.

Niszczące, pokryte białym nalotem domy, stały na palach przy „głównej ulicy”, będącej przedłużeniem grobli. Choć minęła dopiero czternasta, panował szary półmrok. Zatrzymałem się przed drewnianym pałacykiem o strzelistym dachu. Dawno temu odwiedzały go pewnie tłumy amatorów wędkowania z Arkadiany, a nawet Starego Deloreanu. Pośród mlecznych oparów zdawały się rysować kontury bocznokołowców o wysokich kominach, widma murzyńskich orkiestr bezgłośnie grających ragtime, duchy dżentelmenów w melonikach i dam dzierżących koronkowe parasolki.

Uniosłem dłoń ku zaśniedziałej kołatce w formie rybiej głowy, lecz nim zdążyłem zastukać, wewnątrz ktoś podbiegł do drzwi.

– Co pan tu robi?! – spytał zdenerwowany, kobiecy głos.

– Szukam Grega Szkunera.

– Szkunera?! Pan ze związku?

– Tak, Bertrand Keson.

– Chwileczkę! – Za drzwiami rozległo się szuranie i łomot przesuwanego mebli.

Zgrzytnął zamek. Młoda brunetka stała przede mną, trzymając strzelbę. Trwożliwie rozejrzała się dookoła.

– Szybko! Niech pan wchodzi.

Starannie zabarykadowała drzwi. Poprowadziła mnie skrzypiącymi schodami na piętro. Elegancki niegdyś apartament zagracali sterty mebli. Przy oknie stały cztery łóżka i stół na którym leżała broń: rewolwery, karabiny oraz raketnice. Obok pudełka amunicji, a nawet laski dynamitu.

– Przepraszam, że się nie przedstawiłam: Berta Szkuner.

Wymieniliśmy uścisk dłoni. Miała krzepę.

– Co się tu dzieje?! Jakiś dziad ze strzelbą zabrał mi wóz!

– Odjechał? – spytała z nadzieją w głosie.

– Niestety.

Westchnęła z ulgą.

– Bałam się, że będę musiała go zastrzelić. Mąż i pozostali lepiej to panu wytłumaczą, jak przyplyną.

– Czemu wypływają?! Co ze strajkiem?

– Strajkiem? – Machnęła dłonią. – Pan Spinaker, ich szef, oszalał. To jego pan spotkał.

– Czemu nie uciekliście? Nie wezwaliście pomocy?

Pokręciła smutno głową.

– Chłopcy uparli się, że muszą pomścić kolegów i ocalić zatokę, a może i całe wybrzeże.

Poza tym linie telefoniczne i elektryczne są zerwane, ciężarówka ma zatarty silnik, a ucieczka pieszo nie wchodzi w grę.

– Też wolałbym nie spotkać potwora, którego widziałem po drodze. Zostawił cuchnący ślad na asfalcie. Ciarki przechodzą, jak sobie przypominam.

– W biały dzień?!

– Tak.

Odłożyła broń, zabrała laskę dynamitu i lont.

– Szybko! Chodźmy!

– Co się tu do cholery...

– Sam pan zobaczy.

Wybiegliśmy przed hotel.

Zbladłem, widząc, że z mgły wyłania się znajomy, upiorny kształt. Sunął prosto na nas, obrzydliwie skrzypiąc i mlaskając. Podpaliła lont. Celnie rzuciła.

– Musiał przywlec się za panem. Uciekamy!

Schowani za drzwiami hotelu, daremnie czekaliśmy na eksplozję.

– Cholera, zgasł. Na górę! – zakomenderowała.

Błyskawicznie pokonaliśmy meblowy labirynt. Otworzyła okno i strzeliła w dynamit.

Wybuch był słabszy, niż się spodziewałem, ale unicestwił chrzęszczące „coś”. Z daleka usłyszeliśmy stłumione przez mgłę buczenie okrętowej syreny.

– Wracają! – Po raz pierwszy jej twarz rozjaśnił cień uśmiechu.

\*\*\*

Pobiegliśmy na pomost. Z mgły wyłonił się niewielki holownik. Za okienkami sterówki dostrzegłem zarys męskiej sylwetki.

– Greg! Spinaker uciekł! Zabrał auto pana ze związku – krzyknęła na powitanie, wskazując mnie skinieniem głowy. – Gdzie Makarel i Szyper?

Brodaty mężczyzna wyłączył silnik, spuścił głowę i rzucił nam cumy. Zaczęła szlochać. Skoczyłem na pokład. Dopiero teraz zauważyłem dwa podłużne kształty zawinięte w brezent. Greg podał mi gumowe rękawice. Przerzucił na pomost wąski trap.

– Pomoże mi pan? Trzeba to zrobić tak, żeby nie dotknąć ciał. Musimy je zanieść do chłodni.

Skinąłem bez słowa.

Berta poprowadziła nas ku postawionej na ceglach, izotermicznej budwie zdjętej z ciężarówki. Przystanęła przed blaszanymi wrotami. Głęboko nabrała powietrza i szarpnęła za klamkę. Smród uderzył mnie w twarz. Na hakach wisiały wyschnięte resztki stworów o wielkich kłach. Z niepokojąco doskonałych hybryd płaszczek i nietoperzy odłaziła płatami skóra, linały ryby pokryte futrem, schły pozbawione pigmentu, ślepe, głębinowe węże.

Ciała Makarela i Szypra złożyliśmy na podłodze. Przez ułamek sekundy zobaczyłem potwornie okaleczoną dłoń jednego z martwych nurków. Od lat zajmowałem się wypadkami przy pracy – tego rodzaju głębokie oparzenia powodował kontakt z silnie żrącymi substancjami.

– Co się tu dzieje? – spytałem Szkunera w drodze do pałacyku.

– Potem, potem, proszę...



Na ponad godzinę zniknął w łazience. W międzyczasie zapadły ciemności. Bez przerwy słyhać było złowieszcze „bę, bę, bę” boi kołyszącej się na martwej fali. Berta przyniosła trzy talerze fasoli z boczkiem, suchary i whisky. Zasiedliśmy do kolacji przy świecach wstawionych w kandelabr pochodzący z czasów świetności rezydencji na palach.

– Greg Szkuner.

– Bertrand Keson. – Stuknęliśmy się szklankami.

Rozmowę kontynuowaliśmy dopiero po opróżnieniu butelki do połowy i wmuszeniu w siebie jedzenia. Państwo Szkuner chciwie zaciągali się zaproponowanymi przeze mnie papierosami.

– Niepotrzebnie pana w to wplątaliśmy. Przepraszam. – Greg potarł palcem skroń. – Alarmując związek, myśleliśmy, że to wina starego sprzętu.

– A co pan myśli teraz?

Wychylił jednym łykiem zawartość szklanki, po czym gestem poprosił o jej uzupełnienie.

– Miesiąc temu marynarka zorganizowała manewry. Zamknęli dla żeglugi pas wybrzeża prawie do Starego Deloreanu. Całą dobę brzęczały samoloty, widzieliśmy łodzie podwodne. Nie wiem, co wyczyniali, ale raz huknęło tak solidnie, że musieliśmy wymienić część szyb. Trzy tygodnie później zamiast ryb na obiad, zaczęliśmy wyławiać paskudztwa, które pan widział w chłodni. Rumpel i Hanza pierwsi zeszli pod wodę. Nie odpowiadali na wezwania przez telefon nurkowy. Wyciągnęliśmy ich najszybciej jak się dało, ale obydwaj już nie żyli. Policjanci kazali czekać na wyniki sekcji zwłok. Wtedy zadzwoniliśmy do związku. Spinaker dowiedział się o tym i chciał nam udowodnić, że jest bezpiecznie. Osobiście zszedł wczoraj pod wodę. Z początku wszystko wydawało się być w porządku. Potem zaczął przeraźliwie krzyczeć. Natychmiast wydobyliśmy go na powierzchnię. Wrzeszczał bez przerwy, toczył pianę z ust. Nie powiedział ani jednego sensownego słowa. Pod wieczór opadł z sił i zasnął, zresztą może tylko udawał. Rano chwycił za strzelbę. Dobrze, że spudłował. Wymknął się, gdy próbowaliśmy go obezwładnić.

– Co jest pod wodą?! Widział pan to?

– Nie. Ubezpieczałem ich z powierzchni. Pilnowałem pomp dostarczających powietrze. Obsługiwałem wyciągarkę.

– A oni?

Greg westchnął ciężko.

– Makarel opowiadał, że jest wielkie jak zbiornik gazowni. Wygląda jak... jak pulsująca, galaretowata szyszka, otoczona nitkami czarnej mazi. Twierdził, że jej „łuski” to

szybko dojrzewające larwy potworów. Podejrzewał, że nocami uwalnia ich kolejne warstwy. Po śmierci Rumpla i Hanzy ciągle o niej mówił. Często bez sensu.

– Jak to bez sensu?

– Zamęczał innych pytaniami, czy „matka oceanu” ich woła – wtrąciła się Berta. – Albo mamrotali coś z Szyprem o potworach strzegących wraków galeonów na dnie zatoki.

– Sam pan słyszy. Mogę jeszcze jednego? – Wyjął papierosa z podanej mu paczki, pstryknęła zapalniczka. – Rumpel i Hanza zginęli podczas zakładania ładunków dookoła tego „czegoś”. Spinaker, zanim oszalał, podpiął kable. Makarel oraz Szyper połączyli je z głównym przewodem i odciągnęli na bezpieczną odległość. Chwilę po tym, gdy przestali odpowiadać, wypłynęła pława z uwiązany do niej przewodem. Jutro musimy ją wyłowić, podpiąć kabel do detonatora, odpłynąć jak najdalej i wysadzić to coś. Niech pan obejmie pierwszą wartę. Spokojnej nocy. – Ziewnął szeroko i zachichotał, chowając się pod koc.

Podzieliłem się z Bertą papierosem. Na zewnątrz coraz częściej rozległy się wysokie, przenikliwe dźwięki. Wyobraźnia natychmiast podsunęła ohydne sylwetki latających płaszczyk. Kobieta zdmuchnęła świecę.

– Światło je przyciąga – szepnęła. – Jeśli cokolwiek się tu wdrze, albo będzie próbowało, proszę strzelać. Niech mnie pan obudzi o drugiej.

Graniu boi coraz głośniejsz wtórował nienaturalny szum i chlupot. Od czasu do czasu rozlegał się, odległy na szczęście, brzęk tłuczonej szyby, trzask pękających desek i głuche uderzenia. Bum! Coś łupnęło w okiennice. Serce przyspieszyło. Zaszło w ustach. Dźwięk się nie powtórzył. Oblany zimnym potem, pociągnąłem prosto z butelki. Odbezpieczyłem rewolwer. Nie potrafiłem przestać wyobrazać sobie grasujących na zewnątrz bestii. Obudziłem Bertę o ustalonej porze.

Ciemność w pomieszczeniu lekko się rozproszyła. Harmider na zewnątrz zaczął cichnąć. Wracający do wody ostatni, potworni maruderzy przewrócili z hukiem coś blaszanego. Szkuner wstał rażno, otworzył okno i uchylił okiennice.

– Dobra jest. Holownik stoi. Zbieramy się!

\*\*\*

Uzbrojeni po zęby opuściliśmy pałac. Dookoła widać było ślady czarnej mazi. Starannie ich unikając, odcumowaliśmy i wskoczyliśmy na pokład. Wolno opuściliśmy przystań.

– Niech pan wypatruje pławy. – Greg podał mi lornetkę.

Dłuższą chwilę obserwowałem martwą niczym ołów tafłę zatoki. Czerwona kula unosiła się po prawej, nie dalej niż sto metrów od holownika.

– Tam. – Wskazałem dłonią kierunek.

Podpłynąwszy bliżej, zauważyliśmy, że pokrywają ją nitki czarnego śluzu.

– Co robimy? – Berta zgasiła papierosa.

Szkuner nałożył kaptur sztormiaka, zabrał bosak oraz kanister.

– Spróbujemy to spalić. Niech pan przejmie stery! Jeśli zobaczycie, że coś mi się stało, dawajcie całą naprzód. Musicie odpalić ładunki!

Oczy Berty wypełniły łzy, lecz powstrzymała szlochanie, skarcona surowym spojrzeniem męża.

Wyszedł ze sterówki. Puścił do nas oko i zaczął rozlewać benzynę za burtą holownika.

– Pława nie zatonie? – krzyknąłem przez uchylone okienko.

– Nie. Powoli wstecz!

Wykonałem polecenie.

– Jeszcze, jeszcze. Dobra, stop!

Odpalił zapalniczkę. Mocno rzucił ją ku odległej o kilkanaście metrów, oleistej plamie. Buch! Zapłonęła woda. Niebieskawe płomyki na szczęście nie sięgały burty. Greg odwrócił się do nas z uśmiechem. Triumfalnym ruchem podniósł bosak.

Nagle dookoła plamy zaczęły wyskakiwać spod powierzchni latające płaszczki. Jedna, druga, trzecia!

– Ogień je przyciągnął! – wrzasnęła Berta.

Szkuner wywijał bosakiem, opędzając się od nisko przelatujących bestii.

– Niech pani trzyma ster! – Sięgnąłem za siebie po karabin, ostrożnie wychyliłem się ze sterówki. Trudno było precyzyjnie celować w poruszające się z prędkością myśliwców maskary. Spudłowałem za pierwszym razem. Za drugim też. Przeładowałem. Strzeliłem. Jeden z potworów opadł bezwładnie w płonąca wodę. Szkuner dosięgnął drugiego bosakiem. Wrzasnął nieludzko, gdy płaszczka spadła wprost na niego. Trzecia zanurkowała pod powierzchnię. Potrzebowałem chwili, by dotarło do mnie to, co widziałem. Berta zemdląła. Ubranie i skóra Grega dymiły. Konwulsyjnie miotająca się, kąsająca go ryba, znieruchomiała po chwili, intensywnie brocząc czarną mazią.

– Pani Szkuner!

Otworzyła oczy. Trzęsła się i szczękała zębami, bezskutecznie próbując coś powiedzieć. Mogłem liczyć wyłącznie na siebie. Obok nadbudówki znalazłem kilka bosaków, nałożyłem rękawice. Zdumiony swoją nadludzką siłą, błyskawicznie wyrzuciłem za burtę

sczepione zwłoki Szkunera i latającej płaszczki. Pława szerniała, ale unosiła się na powierzchni. Po kilku próbach ją wyłowilem. Szczyrykiem odciąłem od niej przewód i połączyłem jego końcówkę z detonatorem. Wróciłem do nadbudówki, ostrożnie dałem pół naprzód. Obserwowałem, jak głębiny pochłaniają kolejne zwoje kabla. Szpuła rozwinęła się niemal do końca. Zastopowałem maszynę. Wyszedłem na pokład i opuściłem wajchę detonatora.

\*\*\*

Słup wody upstrzonej porwanym z dna odłamkami wystrzelił ku niebu. Grzmot przetoczył się nad zatoką. Po pierwszym wybuchu nastąpiły kolejne. Wysokie fale mocno zakolysały holownikiem. Miałem nadzieję, że ostatecznie załatwiłem sprawę. Podziwiałem odwagę tych, którzy bez wahania zeszli na dno, by przygotować ładunki. Przecież mogli wyjechać zaraz po śmierci Hanzy i Rumpla. Nic ich nie łączyło z tym miejscem na zadupiu, które miało do zaoferowania jedynie słabo płatną, niebezpieczną robotę. Pomściłem ich, przynajmniej tyle.

Znalezionym w bakiście kocem okryłem drżącą Bertę. Mgła powoli ustępowała błękitowi. Pierwsze promienie słońca rozświetliły fale. Rozejrzałem się dookoła. Jediną pozostałością Słonych Moczarów były resztki drewnianego mostu.

Płynęliśmy wzdłuż brzegu, wypatrując przystani. Od strony Starego Deloreanu dobiegło narastające, minorowe buczenie. Hydroplan przeleciał nisko nad wodą. Wychyliłem się ze sterówki. Zacząłem machać. Błękitno-szara, wojskowa maszyna zawróciła.

Lufy karabinów na skrzydłach bez ostrzeżenia plunęły ogniem. Skoczyłem do wody, zanim druga, celniejsza seria zabiła Bertę i posiekała mostek. Najwyraźniej armia zdecydowała, by nikt nie mógł opowiedzieć o tym, co zdarzyło się w Słonych Moczarach. Na próżno usiłowałem ukryć się za burtą. Trzecia seria ostatecznie załatwiła wszystkie moje sprawy. Bezpieczeństwo przede wszystkim, zwłaszcza narodowe.



rys. Roman Panasiuk



# KLATKA SCHODOWA

Magdalena Lewańska

Sebastian wracał do domu. Późnym wieczorem, z knajpy, gdzie pił. Ale niewiele. Mimo to nie obyło się bez problemu.

Z niedowierzaniem przetarł oczy:

– No przecież wypilem niewiele!

Stał przed bramą, a właściwie przed dwiema identycznymi bramami i w tym właśnie tkwił ów problem.

Sąsiadka, starsza pani, wyprowadzała jamnika. Pies sikał na latarnię.

– Nie jest pan pijany, sąsiedzie? – spytała. – Trzeźwy?

– Jak świnia, jeśli mi wolno użyć tego określenia.

– Ale widzi pan dwie bramy?

– Identyczne. Jedna obok drugiej – przyznał i zainteresował się: – Skąd pani wie?

– Znam się na tym.

Pies przestał sikać, powęszył i szarpnął się na smyczy.

– Duduś potrzebuje ruchu przed snem. Do końca ulicy i z powrotem. Zaraz wracam. Wejdziemy razem. Pan na mnie poczeka, bo...

Niecierpliwy jamnik pociągnął ją w mrok zaułka.

Sebastian wzruszył ramionami. Dlaczego miałby czekać, aż jakiś Duduś się wybiega? Sytuacja wydawała się prosta: jedna brama prowadziła do klatki schodowej, druga natomiast była złudzeniem zmęczonych oczu – projekcją na ścianie budynku.

– Jabłuszko, truskawka i śliwa, ta brama być musi prawdziwa – odliczył i wyciągnął rękę w stronę klamki, na którą padło.

– No, proszę, udało się!

Wszedł. Drzwi zatrzasnęły się za nim z ogłuszającym łomotem. Wewnątrz panowały nieprzeniknione ciemności. Sebastian obmacywał ścianę. Gdzieś tu powinien być przełącznik. Może wyżej? Może niżej? Może dalej? Potknął się o pierwszy stopień. Aua! Wpełził na czworakach na półpiętro. Zadudniło na schodach. Ktoś zbiegał w szalonym tempie. Sebastian nie zdążył cofnąć dłoni.

– Aua!

Właściciel ciężko obutej nogi nie zatrzymał się.

– Co za idiota czołga się po ciemku? – burknął Sebastian i potruchtał na dół.

Nagle usłyszał pstryknięcie przełącznika i prawie jednocześnie łomot zatrzaskiwanej bramy. Zajarzyła się żarówka. Zgasła po paru sekundach, chłopak zdążył jednak zarejestrować w pamięci położenie przełącznika na pierwszym piętrze i ruszył po ciemku w tamtym kierunku. Trzymał się poręczy i stawiał ostrożnie stopy. Liczył stopnie. Stał na dziewiątym, gdy gdzieś na wyższej kondygnacji rozległ się wrzask. Trwał dwie sekundy i umilkł. Cisza. Nie otworzyły się żadne drzwi, nie odezwały się zaniepokojone głosy sąsiadów. Sebastian podjął wędrówkę. Myśli miał zajęte wrzaskiem i brakiem reakcji mieszkańców – zapomniał o liczeniu schodków. Gdy się skończyły, puścił poręcz, wyciągnął rękę i szurając nogami, żeby nie potknąć się o coś, ruszył przed siebie.

Trafił dłonią w przełącznik. Pstryk i zaświeciła się żarówka. Cały, przed chwilą jeszcze pusty podest, pomiędzy mieszkaniem z lewej a tym z prawej, roił się od ludzi. Sebastian nie znał nikogo z tłumu. Wszyscy stąpali cicho w filcowych bamboszach. Ci, którzy wychodzili z mieszkania po prawej, nieśli parujące naczynia kuchenne: garnki, rondle i patelnie. Znikali w ciemnej czeluści lokum po lewej stronie, skąd wychodził skierowany w odwrotnym kierunku strumień niosących mięso: ogromne, krwawe ochłapy ze sterczącymi gdzieśgdzie kośćmi.

– Dobry wieczór – witali Sebastiana, ale nikt się nie zatrzymał z wyjątkiem jednej kobiety.

Stała przed nim.

– Światło zgaśnie za dwadzieścia sekund. Niech pan się lepiej pośpieszy.

Nieznajoma w obu dłoniach trzymała serce i chyba płuca. Przyciskała organy do bluzki. Na jednym guziku zawisły jakieś różowobiałe, wilgotne włókienka.

Sebastian pośpieszył się, ale choć przeskakiwał po parę stopni, nie zdążył na następne piętro. Spadła na niego ciemność i zatrzymała gdzieś pomiędzy pierwszym, a drugim piętrzem. Jak poprzednio, tak i teraz, uchwycił wzrokiem położenie następnego przełącznika. Stał bez ruchu. Nasłuchiwał. Cisza. W myślach analizował zapamiętany obraz. Pusty podest, na ścianie przełącznik. Tak jak piętro niżej. A potem: skąd wzięli się nagle ci wszyscy ludzie?

– Kanibale! – podpowiedziała podświadomość. Tchórzliwa, zabobonna podświadomość.

Co zobaczy teraz, gdy znów zrobi się jasno? Sebastian niechętnie podjął wędrówkę. Skończyła się poręcz, skończyły stopnie, dosięgnął przełącznika.

Pstryk. Jasno. Pusto. Cisza.

Rozejrzył się. Klatka schodowa wyglądała jak zawsze. Zwyczajnie. Po lewej stronie na drzwiach wizytówka: „Klimczak”. Sebastian zamieniał czasem parę uprzejmych słów z profesorem Klimczakiem, słynnym psychologiem.

Zgasło światło.

Pstryk. Jasno. Pusto. Cisza.

Po prawej stronie mieszkają Mellerowie. Nic się nie zmieniło. Sebastian zaczął się odprężyć.

Zgasło światło.

Pstryk. Jasno. Pusto. Cisza.

Sebastian stał niezdecydowany. Iść w górę, czy zejść piętro niżej i sprawdzić, czy znów pojawi się ten cichy, makabryczny pochód?

Zgasło światło.

Pstryk. Jasno.

W otwartych drzwiach po lewej stał profesor Klimczak. W ręce trzymał procę.

– Dobry wieczór, panie profesorze!

Psycholog zmierzył Sebastiana chłodnym spojrzeniem, wycelował w niego zabawkę:

– Spierdalaj gnoju – wysyczał. Uniósł widełki, strzelił i roztrzaskał żarówkę.

Drugi pocisk trafił Sebastiana w czoło. Trzeci w szyję, czwarty w ucho. Następne

padały jak grad, trafiając w różne części ciała uciekającego chłopaka i stukając o drewniane stopnie. Sebastian potykał się, padał, czołgał. Kanonada ustała, gdy znalazł się za zakrętem. Podczołgał się do kolejnego pietra. Nie odważył się wstać, by sięgnąć do przełącznika. Skóra piekła go w wielu miejscach, nie był jednak poważnie ranny. Bardziej zabolalo go obraźliwe, pełne nienawiści zachowanie profesora; tego przemilego przecież, trochę nieśmiałego pana starej daty. Co tu się działo u licha?

Już tylko dwie kondygnacje dzieliły Sebastiana od własnego mieszkania. Postanowił przemierzyć je po omacku. Chwycił poręcz i natychmiast ją puścił, gdy poczuł drganie. Oparcie brzęczało jak szyny, gdy zbliża się pociąg. Dźwięk wzmógł się, coś zjechało w szalonym pędzie, powiew powietrza rzucił Sebastiana o ścianę. Podparł się dłońmi i zaraz odskoczył z obrzydzeniem, bo zagłębiły się w jakiejś cuchnącej mazi. Wytarł je o podłogę. Pragnienie znalezienia się we własnych czterech kątach przesłoniło wszelkie inne myśli. Pełził środkiem schodów, nie próbował już zapalać światła. Dusząca woń przyprawiała go o mdłości, ból i zawroty głowy. Bał się stracić przytomność. Parł naprzód.

*Gdzie ja jestem?*, przestraszył się w przeblysku świadomości. *To nie jest mój dom, to nie jest moja rzeczywistość!*

Przerażenie uderzyło go w żołądek jak pięść. Zwinął się z bólu i krzyknąłby, ale przerażenie zaparło mu dech w piersi, zasznurowało krtań. Serce tłukło o żebra i przeponę, jakby miało eksplodować. Mózg usłużnie zwizualizował myśl: przywołał pod powieki klatkę schodową zachlapaną krwią, krwawe fragmenty tkanki rozprysnięte i spływające po ścianach. Sebastian zobaczył siebie rozerwanego na strzępy, kończyny i głowę nie połączone korpusem – bo korpusu już nie było – zsuwające się, turlające po schodach. Widział rozwarte grozą oczy, ciągle świadome tego, co się stało.

Przez długie minuty leżał skulony, w każdej sekundzie spodziewał się straszliwego końca.

Nic się nie działo. Serce stukało coraz spokojniej.

Gdzieś cicho grało radio.

Na wyższym piętrze marudził dziecięcy głosik.

Burczał odkurzacz.

Zaszczekał pies i zaraz ucichł, bo ktoś zawołał: „Leżeć Bubu, spokój!”.

Wszystko było jak zawsze – zwyczajne.

Sebastian odprężył się. Co go właściwie tak przestraszyło? Ludzie z garnkami, którzy przechodzili z jednego mieszkania do drugiego? Co w tym dziwnego, że sąsiedzi odwiedzali się? Że częstowali się potrawami? Co z tego, że trafił rękami na zabrudzoną akurat w tym



miejscu ścianę?

A mięso? Mięso? Czy rzeczywiście widział mięso, jakieś ochłapy? Ile można zobaczyć w ciągu paru sekund jasności, żeby zrozumieć, co się widzi?

– Sto lat, sto lat! – odezwał się śpiew skądś z dołu.

Oto odpowiedź, ucieszył się Sebastian. Na dole odbywa się przyjęcie urodzinowe. Wnoszono potrawy, a wnoszono jakieś przedmioty, żeby nie zawadzały w niewielkim mieszkanku. A profesor Klimczak? Może żartował? Może zachował się tak niecodziennie w ramach eksperymentu psychologicznego?

Sebastian znów wsłuchiwał się w otaczającą go ciemność. Nadal nic się nie działo. Gdzieś cicho grało radio, a może telewizor. Marudził dziecięcy głosik. Burczał odkurzacz. Zamiauczał kot. Gdzieś wyżej trzasnęły drzwi. Kroki. Znów drzwi. Kobięcy głos: „Zapomniałeś zabrać śmieci!”. Mężczyzna: „To podaj”.

Kroki, ktoś zbiegał po schodach.

Wszystko było jak zawsze – zwyczajne. Uff...

Tylko dlaczego... Dlaczego ten sąsiad nie zapalał światła? A jednak biegł tak pewnie... Kroki dudniły coraz niżej. *Zaraz tu będzie. Stratuje mnie*, pomyślał Sebastian i zaczął wstawać. Jedną ręką podparł się o ścianę – suchutką, zwyczajną ścianę, drugą akurat zmacał poręcz, gdy zbiegający znalazł się w tym samym miejscu. Kroki zadudniły na schodach, na których stał Sebastian, a on, choć zastawiał całą przestrzeń od poręczy po ścianę, nie poczuł nic. Ani zderzenia, ani szturchnięcia, ani nawet powiewu powietrza.... Nic.

Ze wszystkich mieszkań buchnął śmiech, złośliwy, rozbawiony rechot, a chłopak zrozumiał, że został oszukany.

Nic nie było jak zawsze.

Najbliżej miał do własnego mieszkania, zaledwie parę kroków. Przemierzył je po ciemku. Dotknął drzwi, przesunął po nich dłońią. Tak, tu mieszkał – rozpoznał metalowy uchwyt kołatki; on jeden miał na drzwiach kołatkę. Z kieszeni wygrzebał klucz, zmacał palcem dziurkę i w tej samej chwili ból przeszył mu palec. Powietrze zadrżało brzęczeniem, wściekłym brzęczeniem setek os. Odskoczył z okrzykiem, upuścił klucz. Uciekał. Po ciemku, na oślep, schodami w górę, potykając się i padając, czołgając na brzuchu lub na czworakach. Gdy natrafiał na podłogę podestu, nie miał już pojęcia, czy znajduje się na półpiętrze czy piętrze, ani na którym. Wreszcie, gdy zabrakło mu sił, zwolnił i wstał. Nikt go nie gonił. Po lewej stronie powinna być ściana. Wysunął rękę na wysokość ramienia. Szedł dalej, aż natrafił na przełącznik.

Pstryk. Jasno.

Na stopniach siedzi młoda kobieta. Patrzy na Sebastiana pięknymi, smutnymi oczami. Sebastian znalazł tę dziewczynę, to była jego dawna sąsiadka, Marta. Mieszkali drzewo w drzwi, a potem... Kobieta uśmiechała się, przyciskając dłoń do szyi. Spomiędzy białych palców sączyła się krew.

– Jesteś ranna!

– To nic – odpowiedziała ona.

– Wezwę pogotowie – odparł Sebastian, zdziwiony, że dotychczas nie pomyślał o telefonie. Wsunął rękę do kieszeni. Wymacał smartphona. Ratunek. Połączenie z realnym światem.

– Nie trzeba. Najważniejsze, że tu jesteś. Usiądź koło mnie.

Sebastian usiadł. Światło nie gasło.

– Nie widziałem cię od roku. W twoim mieszkaniu mieszka ktoś inny. Nie pożegnałaś się.

– Sebastian... Jak dobrze, że tu jesteś.

Jeszcze w kieszeni nacisnął przycisk i wyciągnął jarzące się białe urządzenie. Z ekranu patrzyły na niego smutne, piękne oczy Marty.

– Nie uda ci się nigdzie zadzwonić – rzekła głosem zniekształconym przez mikrofon. Marta, siedząca obok, milczała. Marta w telefonie przyciskała dłoń do szyi. Spomiędzy palców sączyła się krew.

– Jesteś ranna – załkał Sebastian.

– To nic – odpowiedziała Marta w telefonie, odejmując dłoń od szyi. Odsłoniła w ten sposób długą, czerwoną szramę. Z taką raną nie można było żyć. Marta to wiedziała i odchyłała głowę, rozwierając cięcie szerzej i szerzej. Telefon wypadł Sebastianowi z ręki, uderzając ze stukiem o schody. Telefon i coś jeszcze, coś znacznie cięższego toczyło się w mroczną otchłań. Sebastian odwrócił się ku Marcie.

Dziewczyna nie miała głowy.

Sebastian nie czuł już strachu, a jedynie rozpacz, bezbrzeżną rozpacz.

Światło wciąż nie gasło. Sebastian zszedł na półpiętro, otworzył okno i wyskoczył na ulicę.

\*\*\*

Wokół ciała zebrało się parę osób.

– On jeszcze żyje – zawołał ktoś i zadzwonił na pogotowie.

Podeszła starsza pani z jamnikiem na smyczy. Przykucnęła przy rannym.

– Dlaczego pan nie poczekał, aż wrócę? – spytała.

Pies chleptał świeżą krew.



# PRZEZ ŻOŁĄDEK DO SERCA

Piotr Borlik

Stał przed otwartą szafą i zastanawiał się, w co ubrać mamę. Zdołał już przemóc nieśmiałość względem jej nagości, lecz kobieca garderoba wciąż stanowiła dlań wielką tajemnicę. Sukienki, spódnice, żakiety, bluzeczki, kamizelki, nie wspominając o mnogości wzorów i kolorów, od kilku tygodni spędzały mu sen z powiek. Skąd miał wiedzieć, czy koszula z żabotem pasuje do sztruksowych spodni, a luźna sukienka w maki nie powinna zostać uzupełniona przyciągającym oczy dodatkiem? Przynajmniej tu nie pozostawiono mu wyboru – mama dawno spieniżyła większość biżuterii, pozostawiając sobie jedynie dwie pary połączonych klipsów z ciemnozielonymi kamieniami.



Ostatecznie zdecydował się na grantową sukienkę. Zdjął ją z wieszaka i ostrożnie przebrał rodzicielkę z nocnej koszuli, po czym cofnął się o krok i przyjrzał krytycznym okiem. Niestety, ostatnimi czasy mama znacznie schudła, przez co wszystko wisiało na niej jak na wieszaku. Nie, żeby za życia była otyła, po prostu sprawiała wrażenie jakby bardziej... kościstej. To była jego wina. Nie opiekował się nią prawidłowo, zaniedbał regularne przynoszenie pełnowartościowych posiłków.

Mama zawsze powtarzała, że najważniejsze to zjeść porządne śniadanie. Była idealną rodzicielką. Przykładała szczególną wagę, by podawać jedzenie o stałej porze, codziennie przyrządzając pożywną porcję owsianki. Ktoś mógłby pomyśleć, że trąca to monotonością, ale nie, nic z tych rzeczy. Płatki gotowane na mleku, na wodzie, na ciepło i zimno, z jogurtem – a to dopiero początek! Do tego dochodziły wszelakie dodatki – banan, maliny, siemię lniane, odtłuszczone kakao, miód albo jego ulubione tarte jabłko i szczypta cynamonu.

Na samą myśl poczuł, jak cieknie mu ślinka do ust. Z czułością pogłaskał mamę po nieco zapadniętym policzku i ruszył do kuchni, by przygotować dwie porcje owsianki. Bose stopy nieprzyjemnie kleiły się do wyłożonej terakotą podłogi. Spojrzał na lodówkę, na drzwiach której poprzyczepiał taśmą klejącą widokówki z ich wspólnych podróży. Mama latem zawsze zabierała go do nadmorskiego kurortu, gdzie spędzali całe dwa tygodnie. Kołobrzeg, Ustka, Mielno... Aż łezka kręciła się w oku. Kobieta zawsze dbała o niego, smarowała plecy kremem, czuwała, gdy wchodził do wody, nawet kupowała potrawy przyrządzane przez niego z mokrego piasku. Razem z nim wymachiwała plastikową łopatką, by dokopać się do wody.

Może powinien ją gdzieś zabrać? Będzie potrzebowała nowego stroju kąpielowego, wszak niegdyś pokaźny biust prawie całkowicie zanikł, a biodra straciły w obwodzie. Tylko jak tu dobrać odpowiedni rozmiar?

Westchnął w zadumie i otworzył szafkę z garnkami. Tu niestety czekało go rozczarowanie – półki były puste. Rzucił wzrokiem na zalegające w zlewie naczynia i aż się wzdrygnął. Ze wszystkich obowiązków domowych najbardziej nie cierpiał zmywać.

Przez moment rozważał, czy dla śniadania warto się poświęcić i zakasać rękawy, czy też wytrzymać o pustym brzuchu. Po chwili jednak przypomniał sobie o mamie, cierpliwie czekającej na smaczną owsiankę. Zdecydował się na kompromis – za zakupami także nie przepadał, ale lepsze to niż zmywanie brudnych naczyń. Jutro. Pozmywa jutro.

– Skoczę do sklepu – oznajmił, wkładając buty.

Nie odpowiedziała, co odebrał jako zgodę na skorzystanie z maminego portfela. Wciąż miał problemy ze znalezieniem pracy, ale na szczęście jej limit debetowy pozwalał na zakup podstawowych produktów.

– Może po drodze wpadnę do Ali, ale to jeszcze zobaczę – skłamał na odchodne. Mama od dawna wspominała, jak to marzy o wnuczku, więc pewnie się ucieszy, że ma dziewczynę. Drobne kłamstewko nie zaszkodzi. Ostatnio wprawdzie była mniej rozmowna, lecz on dobrze wiedział, że co wieczór modli się o rozkosznego bobaska, którego będzie mogła rozpieszczać. Przynajmniej jego słowa sprawią kobiecie przyjemność.

W sąsiedztwie miał Biedronkę i piętrowe centrum handlowe, gdzie nie dość, że ceny były niskie, to liczbą asortymentu przebijali wszystkie okoliczne sklepiki. Nie przepadał jednak za supermarketami, w których spotykał stanowczo zbyt wielu ludzi. Wolał przewietrzyć umysł i przejść nieco dalej, by wesprzeć interes pani Aldony, tak narzekającej na nieuczciwą konkurencję. Poza tym nie mógł wrócić zbyt szybko do mieszkania, jeśli chciał sprawiać wrażenie, że rzeczywiście spotykał się z Alą.

\*\*\*

Odkąd pamiętał, pani Aldona zawsze wyglądała tak samo. Krótko obcięte włosy w odcieniu wściekłego pomarańcza, intensywny makijaż i to wrogie spojrzenie, jakby każdego klienta podejrzewała o potworne zbrodnie. Jedyne zmiany w wyglądzie widoczne były na podbródku kobiety, który z podwójnego rozrósł się w potrójny, lekko kołyszący się przy każdym ruchu.

– Dzień dobry – rzucił, wchodząc do sklepu.

Nad głową usłyszał irytujący odgłos dzwoneczka, nieodmiennie towarzyszący przekroczeniu progu. Od dziecka dźwięk działał mu na nerwy, uniemożliwiając przemknięcie do środka sklepu niezauważonym. Skromne kieszonkowe nie pozwalało mu wzbogacać drugiego śniadania andrutami czy gumą Turbo, toteż musiał pomagać sobie drobnymi kradzieżami. Przez ten cholerny dzwoneczek zawsze błąkał się między półkami dobre kilkanaście minut, czekając na kolejnego klienta, który przejmie wzrok wścibskiego babska.

Wystrój sklepu na wzór swojej właścicielki nie szedł z duchem czasu. Kobieta nie uległa powszechnej modzie, by odmalować mu ściany lub choćby zamiatać kurz ze wszystkich półek, nie tylko tych na wysokości wzroku. Niemniej pani Aldonie należały się słowa uznania za wyjątkową umiejętność upychania towaru w każdym możliwym zakamarku, dzięki czemu w ofercie miała praktycznie wszystko, co tylko człowiek mógł sobie wymarzyć.

– Panie Mireczku, a jak tam małżonka? – Usłyszał jej szorstki głos, gdy zwracała się do innego klienta. – Dawno do mnie nie zachodziła.

– Umarła w zeszłym roku – odpowiedział niewzruszony mężczyzna, jakby rozmawiał o prognozie pogody na nadchodzący tydzień.

Pani Aldona odchrząknęła i podała przez ladę siatkę z zakupami.

– To będzie dwadzieścia złotych i osiemdziesiąt groszy.

Że też nie mogła być taka rozmowna dwadzieścia lat temu. Pewnie przeczytała kilka książek o obsłudze klienta. Kiedyś milcząco wbijała niechętny wzrok w każdego, kto zaszedł do jej sklepu, patrząc mu na ręce, podczas gdy teraz każdy mógł spokojnie napychać kieszenie czym popadnie.

– Mogę być winna końcówkę? – Jej głos nagle zabrzmiał słodko niczym śpiew ptaków. Pan Mirek odmruknął coś potakująco. No no, pani Aldona rzeczywiście nauczyła się marketingu, w efekcie czego właśnie zainkasowała całe dwadzieścia groszy napiwku. On będzie musiał być czujny, by nie naciągnęła go w podobny sposób.

Na wszelki wypadek schował do kieszeni kurtki dwa odświeżacze toaletowe i kuchenną gąbkę. Teraz nawet jeśli zostanie złapany na handlową sztuczkę, to i tak będzie do przodu.

Garnki na półce niczym się od siebie nie różniły, toteż wziął najtańszy i spokojnym krokiem podszedł do kasy. Pan Mirek z siatką pełną towaru skinął głową w jego kierunku, po czym ruszył w stronę wyjścia. Dzwoneczek nie omieszkiał wszystkich o tym poinformować.

– O, Jacuś, jak miło cię widzieć. – Wypowiedziane słowa nijak nie pasowały do wyrazu jej twarzy, która zdawała się wołać „Czego, śmieciu?!”. – Co, mama garnek przypaliła?

Skinął głową, unikając spojrzenia sprzedawczyni.

– Swoją drogą dawno jej nie widziałam. Co u niej? Wszystko w porządku?

– Umarła w zeszłym roku. – Przez chwilę patrzył na nią z grobową miną, po czym rozciągnął wargi w uśmiechu. – Żartowałem, chciałem nawiązać do wcześniejszego klienta.

Kobieta parsknęła przez nos i zacisnęła usta. Wyrwała rondel z jego ręki, jakby chciała go nim zdzielić. Na wszelki wypadek odsunął się o krok.

– Coś jeszcze? – spytała, cedząc słowa przez zęby. – Piętna...

– Płatki owsiane – wszedł jej w słowo. – Tylko nie błyskawiczne, bo mama mówi, że są do niczego. Ma pani górskie?

– A co mam nie mieć? Łącznie dziewiętnaście złotych i piętnaście groszy.

W maminy portfelu znalazł jedynie dwudziestozłotowy banknot i karty płatnicze. Pani Aldona wycwaniła się i nie przyjmowała płatności kartą, więc został skazany na gotówkę. Ale był dobrze przegotowany na pertraktacje.

– Mogę być winna...? – rzuciła pewna siebie, nie wyliczając nawet dokładnej kwoty.

– Nie.

Spojrzenie, którym go obrzuciła, dało mu jasno do zrozumienia, że nie ma po co więcej tu przychodzić. Nie zamienili ani słowa więcej, ale czuł się w pełni usatysfakcjonowany. Utarł nosa babsztyłowi żerującemu na mieszkańcach okolicznych bloków. Gdyby nie fakt, że nie było jeszcze południa, a mama czekała na obiecane śniadanie, to z chęcią wypiłby za zwycięstwo.

\*\*\*

Czekała tam, gdzie ją zostawił. Leżała przodem do telewizora, choć twarz opadła jej na poduszkę. Albo była bardzo zmęczona, albo nieuważnie ułożył pozbawioną włosów czaszkę, skazując mamę na nieplanowaną drzemkę.

Chcąc jak najszybciej przypodobać się rodzicielce, włączył palnik i położył na nim nowy garnek. Niestety czekała go kolejna przykra niespodzianka – mleka wystarczyło zaledwie na jedną porcję. Powinien był przed wyjściem na zakupy sprawdzić zawartość lodówki, ale najważniejsze, że mama nie będzie już głodna.

Mieszając łyżką zawartość garnka, ponownie zaczął rozważać pomysł wspólnego wyjazdu. Czemu nie? Założy rodzicielce słomiany kapelusz, ubierze ją w długi rękaw i dresowe spodnie, w efekcie czego nikt nie zauważy tej chwilowej niedyspozycji. Znowu spędzą miło czas.

– Wolisz bardziej czy mniej rozgotowane? – krzyknął w kierunku pokoju, choć dobrze wiedział, że mama woli gęstszą konsystencję. Po cichu liczył na rozmowę, ale widocznie wciąż była obrażona za pozostawienie w niewygodnej pozycji.

Zaraz mu wybaczy. Zobaczy ciepłutką, pyszną owsiankę posypaną płatkami kokosowymi, to od razu polepszy jej się humor. Potem wspólnie coś obejrzą i będzie jak dawniej.

Podbudowany tą myślą zdjął garnek z palnika, po czym rozejrzał się i zaklął cicho pod nosem. Na śmierć zapomniał o kupnie miseczek, których również zabrakło wśród czystych naczyń. Nie wróci przecież do pani Aldony, zresztą ta pewnie i tak ze złości zamknęła sklep i poszła wyżyć się na kotach.

Z duszą na ramieniu ruszył do salonu. Może widok smacznego śniadania zrekompensuje mamie brak odpowiedniego naczynia. Jedzenie owsianki prosto z garnka nie było niczym przyjemnym, ale przecież nie mogła oczekiwać, że będzie skrobał te ohydne, brudne garnki i talerze w niedzielny poranek!

– Mamuś, przygotowałem pyszne śniadanko.

Nie czekając na odpowiedź, postawił rondel na stoliku, złapał ją za ramiona i delikatnie podciągnął do pozycji siedzącej, opierając bezwładną głowę o oparcie. Zdawało mu się, że coś strzyknęło jej w kościach.

– Przepraszam, że nie w miseczce, ale za to zobacz, czym posypałem.

Nabrał pełną łyżkę owsianki i ostrożnym ruchem włożył jej do otwartych ust. Większość spłynęła po kościstej twarzy, brudząc ubranie i kanapę. Zaklął w myślach, ale ze stoickim spokojem wytarł dekolt kobiety chusteczką i nabrał drugą łyżkę. W takim skupieniu obserwował owsiankę, starając się zmieścić wszystko pomiędzy wargami, że zauważył ruch dopiero, kiedy wyschnięta ręka dotknęła jego dłoni.

– Mamo? – Odruchowo odskoczył, upuszczając łyżkę, która z brzękiem potoczyła się po podłodze. – Jakim cudem...

– Kozuch, kurwa! – krzyknął trup, wycierając brodę.



# **SZORTAL**

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje  
newsy o konkursy o forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**



www.kostnica.com.pl

# KOSTNICA

**POZORNIE MARTWA STRĘPA**

HORROR THRILLER KRYMINAL SENSACJA FANTASTYKA



[www.kostnica.com.pl](http://www.kostnica.com.pl)

RECENZJE  
OPOWIADANIA  
GALERIE  
NOWOŚCI  
KONKURSY  
FILM  
KSIĄŻKA  
GRA  
KOMIKS



# TAJEMNICE ZIMOWYCH NOCY

Paweł Cieliczko

*Trudno sobie wyobrazić piękniejszy widok niż podalpejskie niemieckie miasto kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia. Przekupnie oferują świąteczne prezenty i ozdoby, tłumy przechodniów ciągną pomiędzy straganami stylizowanymi na góralskie chatki, choinki rozświetlają kolorowe lampki, a dachy domów opatula śniegowa pierzynka. Do tego jeszcze dobiegające zewsząd dźwięki najpiękniejszej kolędy świata – „Cicha noc”, lodowe sopte wiszące malowniczo pod rynnami oraz rozchodzące się wokół cudowne aromaty cynamonu, goździków, szafranu i sosnowych igieł. Tak zapamiętałem moje ukochane zimy spędzone*



*czterdzieści lat temu w Monachium, podobnie wygląda świąteczny czas na wiedeńskim Praterze u progu 1944 roku.*

Pięćdziesiąt lat mija od ostatniej dobrej zimy w moim życiu. W 1894 roku mieszkałem w Monachium, miałem wtedy niespełna trzydzieści lat, nie musiałem troszczyć się o rodzinne majątki, nie musiałem spełniać niczyich oczekiwań, mogłem zostać artystą. Wszystkie drogi stały przede mną otworem. To był czas, gdy wszystko było jeszcze możliwe i nic nie zostało jeszcze przesądzone. To była ostatnia taka zima w moim życiu. Dlatego tak bardzo lubię Wiedeń zimą, bo przypomina mi Monachium tamtej zimy, kiedy nikt nie słyszał o Hitlerze, a określenie Polak znaczyło tyle co artysta, było przepustką do najlepszych lokali i afrodyzjakiem, działającym na najpiękniejsze dziewczęta.

Tamtego cudownego czasu nikt mi nie podarował. Musiałem zań zapłacić bardzo wysoką cenę. By poczuć się przez chwilę wolnym człowiekiem, odrzuciłem to, co oferowało mi moje szlachetne urodzenie. Myślę czasem, że może właśnie wtedy, ponad pół wieku temu, zgrzeszyłem tak ciężko, że wszystko, co się potem wydarzyło, było tylko karą za tę pierwszą winę, za ten grzech rodem ze Starego Testamentu. Nikt nie ma wszak prawa do zmieniania boskich planów, nikt nie może bezkarnie rezygnować ze swego pierworództwa. Ja swojego nawet nie sprzedałem za miskę soczewicy, jak Ezaw Jakubowi, ja jeszcze dopłaciłem by przekazać je Ignacemu.

Ojciec długo się wahał, zanim dał wiarę moim zapewnieniom, że młodszy brat będzie najlepszym dziedzicem starożytnego nazwiska, tytułu i majątku Mielżyńskich. Zgodził się w końcu, bym oddał się sztuce, a w ręce Ignacego złożył przyszłość rodu. Znałem mego brata jak zły szeląg i wiedziałem, że z hrabiowskich atrybutów posiadał tylko pychę, rozrzutność oraz skłonność do hazardu i rozpusty. Nieraz spłacałem jego karciane długi, wykupowałem z burdeli, ale nigdy go nie wydałem. Każdy występki brata brałem na swoje barki, a on kochał mnie za to. Nie wiedział, że tak naprawdę robię to tylko dla siebie. Ojciec uwierzył, że mam naturę artysty i utracjusza, pozwolił mi studiować malarstwo w Monachium, a Ignacego uczynił dziedzicem i spadkobiercą.

Przyjaciołom z monachijskiej kolonii artystycznej imponowałem hrabiowską fantazją, studia prawnicze szły mi gładko, a do malowania pejzaży miałem prawdziwy talent. Polska kolonia artystów zgromadzona wokół Józefa Brandta to była moja prawdziwa rodzina, to byli moi bracia, to było moje wymarzone życie. Malowaliśmy, spieraliśmy się o sztukę, bawiliśmy z aktorkami, słowem: żyliśmy. Szczęście zbudowane na oszustwie nie może jednak trwać zbyt długo. Moje skończyło się nagle, tej pamiętnej zimy 1894 roku. Tłumaczyłem sobie

potem, że nie podejrzewałem nawet, iż ojciec może postąpić tak nieroztropnie i oddać bratu pełnię władzy nad majątkiem. Ale wiem, że to nieprawda. Zawsze przeczuwałem nadciągający dramat, od początku wiedziałem, że musi nadejść, jednak poświęciłem wszystko dla tych kilku chwil osobistego szczęścia.

Nie znajdowałem się wtedy w Poznaniu, ale o tamtej zimowej nocy słyszałem tylekroć, że czuję, jakbym tam był. Jakbym cucił matkę, gdy straciła przytomność, jakbym ratował siostrę przed podcięciem żył, jakbym opatrywał ojca, który z rozpaczony wraził sobie nóż w pierś, a zwłaszcza – jakbym siedział obok brata, podbijając stawki przy pokerowym stoliku. Stawki były niezwykle, przez dziesiątki lat wspominano te pamiętne rozdania i licytacje w Hotelu „Bazar”, podczas których Ignacy przegrał swój majątek i posag siostry. Całe dwieście pięćdziesiąt tysięcy marek. Można było za nie wtedy kupić kilkanaście wiosek. Tej zimowej nocy, gdy ja piłem grzane wino w monachijskiej winiarni, a potem zaległem w łóżku z aktorką, której imienia, twarzy ani ciała nie pamiętałem, moja siostra straciła posag, rodzice przeklęli syna, syn przegrał majątek, a ja wolność. Brat został wydziedziczony i musiałem wrócić, by ratować to, co pozostało z rodzinnych włości. Tej zimy na moich barkach spoczęła przyszłość rodu. Gdyby ojciec wiedział, jak się z tej roli wywiążę, wydziedziczyłby raczej mnie, a z powrotem przywołał brata. A może wcale by tak nie postąpił? A może byłby ze mnie zadowolony? Wszak na powrót uczyniłem nasze nazwisko sławnym, przywróciłem ród Mielżyńskich do rzędu największych w Wielkopolsce, a jakimi uczyniłem to sposobami... myślę, że to mego ojca szczególnie nie kłopotalo.

\*\*\*

*Kilka dni brakuje do Bożego Narodzenia. Przedświąteczny czas to okres gdy (z)widuję ją znacznie częściej. W tych dniach nie mogę przestać o niej myśleć. To, że od jej śmierci minęło już trzydzieści lat, niczego nie zmieniło. Wydaje mi się nawet, że z każdym rokiem moje napięcie narasta, jakby coraz silniej przywoływała mnie ku sobie, jakby wiedziała, że nieubłagane zbliża się czas, gdy przejdę na drugą stronę i znajdę się w jej mocy. Jest silniejsza ode mnie, staram się o niej nie myśleć, zapomnieć, wygnać ją z pamięci, a ona powraca jeszcze mocniejsza. Alkohol już od dawna nie pomaga mi wyłączyć świadomości. Leki już też nie działają. Szczęście, że o morfinę w czasie wojny znacznie łatwiej. Tylko morfina potrafi uśmierzyć mój ból. Tylko morfina pozwala mi wytrzymać. Jednak, gdy nadchodzi zima, nawet morfina nie jest w stanie jej odpędzić.*

Znałem takiego malarza, który zachwycił się przyprószonymi bielą wiejskimi pejzażami, a namalować potrafił kilkadziesiąt rodzajów śniegu. Nie rozumiałem jego fascynacji, dla mnie zima na wsi to najokropniejsza z pór roku. Chłopi lubią tę porę roku, bo nie muszą wychodzić w pole, a gdy oporządzą inwentarz, mogą zalec na zapiecku i bezmyślnie popatrywać na swe baby. Ja zimą wypadałem z kieratu codziennych obowiązków i wtedy wracały do mnie wspomnienia o życiu, które utraciłem i za którym tak bardzo tęskniłem. Spoglądając przez okno na brnących w śniegowym błocie parobków, myślałem że bliżej mi do nich, niż do moich przyjaciół z artystycznej kolonii w Monachium. Patrzyłem na wiejskie dziewczki, z których każda chętnie rozgrzałaby moje łoże, nie oczekując niczego w zamian, lecz nie mogłem się przemóc do tych, znanych przecież od wieków, sposobów na przepędzanie zimowej chandry.

Zatrudniłem się jako elew u najbogatszego wielkopolskiego ziemianina, mego wuja, hrabiego Bolesława Potockiego. Ojciec chciał, bym praktykował, bym nauczył się nowoczesnej uprawy, hodowli i zarządzania wielkimi majątkami – majątkami, jakie należne były naszemu rodowi. Nie wiem, jak ojciec chciał sprawić, by nasza, zbankrutowana rodzina znów powróciła do bogactwa przodków. To go nie nurtowało, był głęboko przekonany, że do tego dojdzie. Chciał, abym umiał rządzić na rodzinnych włościach, gdy wreszcie je posiadziemy. A może wiedział już wtedy o mojej skazie i próbował ułatwić mi dokonanie tego, co i tak miało nastąpić. Łudzę się takimi myślami, zawsze łatwiej uwierzyć, że to przeznaczenie, posłuszeństwo ojcu, rodowe narowy czy złe geny, a nie tylko własna decyzja kierowały zbrodniczą ręką.

Hrabiemu Potockiemu szczęściło się we wszystkim, czego dotknął. Miał największe majątki ziemskie w księstwie, ufundował miejski teatr, posiadał kamienice, a nawet własny bank. Dzieci – dwaj synowie i dwie córki – również mu się nadzwyczajnie udały. Ludzie gadali, że takie szczęście musi być wynikiem działania sił nieczystych. Jak to bowiem możliwe, że gdy inni tracili majątki i dobre imię, a problemy topili w alkoholu, jemu tak dobrze się układało? Od chwili, gdy mnie zatrudnił, szczęście się od niego odwróciło. Chcę myśleć, że byłem tylko narzędziem w ręku Boga, który postanowił doświadczyć hrabiego, tak jak przed wiekami doświadczył wiernego Hioba.

Pierwsza zatruta strzała ugodziła w starszą córkę wuja, która zmarła w wyniku powikłań chorobowych, zarażona jakąś zamorską chorobą, osierocając maleńkiego synka Teofila. Po niej zły los spotkał synów hrabiego, służących w armii najjaśniejszego pana. Nieszczęśliwe wypadki z bronią się zdarzają, ale żeby tak rok po roku, bez żadnej wojny, ginął kolejny syn wielkiego pana, to wyglądało niemal na przekleństwo. Po synach pozostały

listy pochwalne od samego cesarza i białe trumny w rodzinnej krypcie. Klątwa jest wytłumaczeniem dobrym dla maluczkich, bliscy tłumaczą to zwykle tragicznym zbiegiem okoliczności, a mądrzy wiedzą, że kadeci nie giną ani od klątwy, ani od zbiegu okoliczności. Zaliczałem się do mądrych, wiedziałem, że kuzyni nie postrzelili się przy czyszczeniu broni; broń, z której zginęli, nie była nawet w ich rękach. Spędziłem wszak kilka lat w sztabie pruskiej armii i miałem tam oddanych przyjaciół. Wiedziałem...

Nienawidziłem wuja Potockiego i jego rodziny. Nienawidziłem go czystą nienawiścią. Nie, nie chciałem go zabić. To byłoby zbyt proste. Chciałem zniszczyć to, co kochał najbardziej. Chciałem patrzeć, jak będzie wił się w cierpieniach. Musiał odpokutować za moje złamane życie. Pozbawił mnie marzeń i sławy, a moją rodzinę pozycji i majątku. On przecież potwierdził czek mego brata wystawiony w jego banku; powiedział, że czek ma pokrycie w złocie złożonym na posag mej siostry, a brat może nim swobodnie dysponować. Pragnąłem być niewinny, nie chciałem, by winnym był mój brat, więc całą odpowiedzialność zrzuciłem na najbogatszego pana w Wielkopolsce. Na nim mogłem dokonać pomsty, na nim mogłem szukać rewanżu. Zemsta smakowała słodko. Hrabia nie wiedział, skąd przychodzą ciosy. Nie mógł się przed nimi obronić ani nawet uchylić. Był najpotężniejszy, ale wobec mojej zemsty był bezsilny jak dziecko.

\*\*\*

*Ona towarzyszy mi w każdej chwili dnia. Gdy przymykam powieki, widzę jej twarz, jej uśmiech, jej skórę, każdy detal jej ciała. Wydaje mi się, że mógłbym ją odmalować tak idealnie, że oddałbym każdy włos, każdą zmarszczkę, najdrobniejszy grymas. Jednak gdy otwieram oczy i stoję przed sztalugami, nic z tego nie wychodzi. Staje się nieuchwytna, eteryczna, rozpuszcza się w powietrzu. Gdy jestem o ruch pędzla od uchwycenia jej istoty, jej duszy, znika, a to, co pozostaje po niej na moim płótnie, nie jest nawet jej namiastką, nie jest warte zachowania.*

Hrabiemu Potockiemu pozostała tylko najmłodsza córka. Na nią przelał całą rodzicielską miłość. Rozpieszczał ją do niemożliwości, a ona pozwalała się rozpieszczać. Była najpiękniejszą, najbogatszą i najbardziej pożądaną panną w Wielkim Księstwie, a może nawet w całym cesarstwie. Jej uroda, pozycja i majątek czyniły z niej wymarzoną partię dla najbogatszych hrabiów, ba, nawet książąt Rzeszy. Postanowiłem jednak inaczej rozporządzić jej ręką. Postanowiłem, że piękna hrabianka Felicja wyjdzie za mnie, że zostanie żoną

najbardziej zbankrutowanego hrabiego w cesarstwie, żoną mężczyzny, który jej nie kocha, który jej nie pożąda, mężczyzny, który pojmie ją za żonę tylko po to, by zniszczyć jej szczęście, upokorzyć ją i zemścić się na jej ojcu oraz odbudować potęgę swego rodu.

Służba w sztabie pruskiej armii nauczyła mnie, że projekty najbardziej nawet zuchwałych operacji należy skrupulatnie planować i rzetelnie realizować, a wówczas także te zupełnie szalone mają szanse powodzenia. Nigdy nie można się poddawać emocjom, nie można ulegać przy pierwszych przeszkodach, trzeba mieć warianty awaryjne. Taktykę można modyfikować, ale zawsze trzeba mieć przed oczami cel, do którego się zmierza. Do akcji pojęcia za żonę kuzynki Felicji zabrałem się jak do planowania wojennej operacji. Zarządzałem częścią mienia jej ojca i były to jego najlepiej zarządzane majątki. Wuj wielokrotnie wystawiał moją uczciwość na pokusy i nigdy się na mnie nie zawiódł. Matce hrabianki godzinami opowiadałem o jej tragicznie zmarłych synach, mówiłem o nich, jakbym był ich najlepszym i najwierniejszym przyjacielem.

Najwięcej czasu jednak spędzałem z Felicją. Mówiłem jej o literaturze, o sztuce, jeździłem z nią na konne przejażdżki, zabierałem do Poznania. Nie czyniłem przy tym żadnego gestu, który mogłaby odczytać jako wyraz mego zainteresowania. Obojętnie przyglądałem się umizgom paniczyków zabiegających o jej uwagę, uczucie, rękę i majątek. Byłem niewzruszony jak kamień, kompletnie nią niezainteresowany. Stałem się jej najlepszym przyjacielem, nieobecnym bratem, odpowiedzialnym opiekunem. Hrabia Potocki traktował mnie niemal jak syna, akceptował moją obecność, widział, że nie jestem zainteresowany jego córką, może nawet uważał, że wolę chłopców, w każdym razie wiedział, że w moim towarzystwie hrabianka jest absolutnie bezpieczna. Tak przed innymi jak i przede mną.

\*\*\*

*Zimą towarzyszy mi każdego dnia, w każdej godzinie, niemal w każdej chwili. Nie jestem w stanie nigdzie się przed nią ukryć. Każda poznańska kamienica, każdy skrawek pola, każda droga czy polna ścieżka przypominają mi chwile, które z nią spędziłem. Gdy nadchodzi zima, myślę o niej najczęściej. Jej obrazy atakują mnie zewsząd. Dlatego uciekam przed nią z Poznania, dlatego tę zimę, tak jak poprzednie, spędzam w Wiedniu. Wśród secesyjnych wiedeńskich kamienic, wśród świątecznych widoków i aromatów, staram się o niej zapomnieć. Staram się przed nią uciec.*

Zimą 1897 roku, tuż po świętach Bożego Narodzenia, wszyscy, którzy cokolwiek znaczyli w Wielkim Księstwie Poznańskim, zjechali na wielki bal organizowany w Hotelu „Bazar”. W miejscu, gdzie mój brat stracił rodzinny majątek, postanowiłem zorganizować swój wielki rewanz. To miała być ta decydująca bitwa, do której sposobem się od kilkunastu miesięcy. Najbardziej zuchwała akcja się uda, jeśli plan jest precyzyjny i gdy wróg się niczego nie spodziewa. Mój plan był perfekcyjny, a wróg niczego się nie obawiał. Nie podejrzewał nawet, że jest moim wrogiem.

Zapłaciłem orkiestrze, by w przerwie, gdy wszyscy zasiądą przy stołach, zagrała muzyczny podkład. Kiedy gwar rozmów ucichł i wszyscy rozglądali się zaskoczeni, czekając na to, co nastąpi, a czego nie było w programie balu, wstałem z krzesła i ruszyłem w kierunku hrabiego Potockiego. Kompletnie nie wiedział, czego ma się spodziewać, gdy stanąłem przed nim w postawie zasadniczej. Wśród galopujących mu przez głowę myśli nie było żadnej, która naprowadziłaby go na właściwy trop. Przedłużyłem nieco tę chwilę, sycąc się jego zakłopotaniem, patrzyłem, jak nerwowo przygryza górną wargę, pławiłem się w otaczającej nas ciszy. Dwustu najznamienitszych mieszkańców prowincji nie spuszczało ze mnie wzroku. Gdy uklęknałem przed nim i poprosiłem o rękę jego córki, cisza stała się jeszcze głębsza, jakby wszyscy wstrzymali oddech. Patrzyli na hrabiego, którego twarz spurpurowiała, czoło zmarszczyło się, przygryzł kilka razy wargę, jakby miał w ustach odpowiedź, po czym grzecznie, acz stanowczo odmówił mi ręki swojej jedynaczki.

Podniosłem głowę i poszukałem spojrzeniem hrabianki. Mój pełen tęsknoty wzrok spotkał się z błękitem jej całkowicie zdumionych oczu. Zwróciłem się ku hrabiemu, jego twarz wracała już do normalnych barw, potrząsnął głową, jakby chciał mnie odpędzić, jakby chciał powiedzieć, bym nie kontynuował tej sceny, bym nie stawiał go w niezręcznej sytuacji i nie zmuszał, by miał publicznie uzasadniać swoją odmowę, czym sprawiłby mi dodatkową przykrość. Podniosłem się, ukloniłem wujowi oraz mojej niedoszłej małżonce, stuknąłem obcasami i sztywnym krokiem przeszedłem przez salę. Nim kelnerzy zamknęli za mną drzwi białej sali, podniósł się gwar. Każdy chciał skomentować niecodzienne zdarzenie, jakiego przed chwilą był świadkiem, o którym po dworach będą rozprawiali przez długie zimowe wieczory. Kolejny hrabia Mielżyński był sprawcą wielkiego, towarzyskiego skandalu. Nikt z nich nie przypuszczał jednak nawet, że to nie koniec, ale dopiero preludium.

Nie spodziewałem się przecież, że wuj zgodzi się oddać mi rękę swojej córki, kiedy go o nią poproszę. Planował dla jedynaczki cudowną przyszłość, do której drogą miał być wspaniały mariaż. W jego opinii małżeństwo ze mną niewiele różniło się od małżeństwa ze stangretem. Hrabia jednak nie obśmiał mojej prośby, nie poniżył mnie, nie zbeształ, nie

skompromitował, a tylko grzecznie odmówił. Zszokowane spojrzenie hrabianki dowodziło, że była kompletnie zaskoczona moją deklaracją, traktowała mnie dotąd jak brata, jak opiekuna, nie przypuszczała nawet, że żywię wobec niej jakieś uczucia. Pierwsza potyczka zakończyła się porażką. W otwartym polu nie miałem szans na zwycięstwo. Musiałem działać podstępem. Tak zakładałem od początku.

Hotelowy pokój zarezerwowałem już przed miesiącem. Usiadłem w wygodnym fotelu i spokojnie czekałem na dalszy rozwój akcji. Przerwa dobiegła końca, usłyszałem przygłuszone dźwięki orkiestry, pojedyncze pary wychodziły powoli na parkiet, większość pozostała jednak zapewne przy stołach i komentowała to, co się przed chwilą wydarzyło. Jedni mówili pewnie, że żeniąc się z posażną panną, chciałem zdobyć jej majątek; inni, że to miłość zaślepiała mnie tak bardzo, że pragnąłem niemożliwego; jeszcze inni szeptali o szaleństwie, jakie dopadło w tym pokoleniu wszystkich synów naszego rodu. Wyobrażałem sobie też Felicję, która siedziała sama, odmówiła tańca kilku hrabiczom, była wciąż pod wrażeniem niezwyklej sceny, która się przed nią rozegrała. Analizowała moje postępowanie, gesty, rozmowy, milczenie i odnajdywała oczywiste dowody głębokiego uczucia, jakim od dawna ją darzyłem. Ktoś z gości już pewnie zaniepokoił się o mnie, przypomniał, jak mój brat po przegraniu majątku w pokera, chciał popełnić samobójstwo, rzucając się z hotelowego okna i od śmierci uratował go tylko... daszek nad wejściem, na którym się zatrzymał.

Muzycy przestali grać. Głosy na sali przycichły. To, co wydawało się szeptem, gdy grała orkiestra, teraz brzmiałoby jak krzyk. To był dokładnie ten moment, na który czekałem. Sięgnąłem po leżącą pod łóżkiem fuzję i strzeliłem w okno. Huk wystrzału zlał się z dźwiękiem tłuczonego szkła, a nim ten przebrzmiał, usłyszałem krzyki dochodzące z sali oraz tupot butów po hotelowych schodach. Uśmiechnąłem się do myśli, że jednak ich zaskoczyłem, że jednak do mnie należało ostatnie słowo, a raczej ostatni wystrzał. Przyłożyłem strzelbę do piersi i pociągnąłem za spust.

\*\*\*

*Ujrzałem ją znów dziś rano. Szła dostojnym krokiem, przepływając niemal pośród świątecznego tłumy wypełniającego Prater. Podążyłem za nią aż do katedry, a potem dalej do ratusza. Nie mogłem oderwać od niej wzroku. Szedłem za nią jak zahipnotyzowany. Wpatrywałem się w jej suknię, płaszcz, etolę. Zatrzymałem się obok niej, gdy kupowała świąteczne ozdoby na straganie. Dyskretnie spojrzałem na jej twarz. Nie ujrzałem jej,*

*zobaczyłem ptasie oblicze wiedeńskiej nauczycielki muzyki. W niczym jej nie przypominała. Nie była do niej nawet podobna.*

Drzwi do hotelowego pokoju pozostawiłem otwarte. Strzeliłem do siebie, ale nie chciałem stracić życia. Wbiegli, gdy osuwałem się z fotela. Jej przerażona, blada twarz była ostatnim, co zobaczyłem, nim straciłem przytomność. Najlepsi poznańscy medycy w balowych strojach zamiast fartuchów ratowali mnie, tamowali krwawienie, opatrywali rany i cucili. Gdy odzyskałem przytomność, siedziała przy moim łóżku, ściskając moją rękę. „Felicjo” – wyszeptałem, nim otworzyłem oczy. Usłyszałem jej szloch, zapewnienia o miłości i deklarację prędkiego ślubu. „Felicjo” – powtórzyłem tylko i zapadłem w ożywczy sen. Wygrałem.

Wiedziałem, że zwyciężyłem, gdy zobaczyłem ją wbiegającą do mojego pokoju. Widziałem przerażenie, jakie pojawiło się na jej twarzy, gdy ujrzała mnie broczącego krwią. Przed oczami stanęły jej wszystkie ballady o nieszczęśliwych kochankach, którzy wolą zginąć niż żyć bez ukochanej. Pokochała mnie za to, że uczyniłem ją bohaterką romantycznej opowieści. Inni kandydaci mogli jej dać majątek i pozycję, ale to wszystko już posiadała, tego wcale nie ceniła. Ja zaofiarowałem jej swoje życie, tego nie można kupić za żadne pieniądze, tej oferty nikt nie zdołałby przelicytować. Nie mogła odrzucić tak wielkiej miłości, nie mogła oddalić wielbiciela, który niemal zginął z własnej ręki, odrzucony przez ojca nieczulej kochanki. Jak Danusia z powieści Sienkiewicza zakrzyknęła: „Mój ci on! Nie oddam go śmierci! Do mnie on należy! Mi on przyrzeczony!”. Sprawilem, że stała się nie tylko najbogatszą i najpiękniejszą panną w Wielkopolsce, ale także bohaterką najbardziej romantycznej opowieści.

\*\*\*

*Błąkam się godzinami po wiedeńskich trotuarach, szukając modelki, która mogłaby pomóc mojej pamięci. Kiedy łudzę się, że takową właśnie znalazłem, ta okazuje się pospolitą wiedeńską nauczycielką, urzędniczką magistratu czy panią domu. Wędruję po ulicach, muzeach, salonach mody, kawiarniach i restauracjach, a wreszcie po lupanarach. Wiem, że jej nigdy nie odnajdę. Wiem, że jej już nie ma. Wciąż mam jednak nadzieję, że ujrzę jakiś jej rys na obrazie w galerii, ułożenie szaty, gest, uśmiech, grymas czy chociaż skrawek ciała – coś, co będzie mi ją przypominało. Wszystko okazuje się namiastką, każda spotkana kobieta okazuje się niegodna, nieodpowiednia, niedostateczna i tylko uświadamia mi, że nigdy nie da*



*się naprawić tej straty. Wpadam wtedy w coraz głębszą, bezdenną rozpacz. Do domu wracam, gdy zaczyna szarzyć świt. Wtedy dopiero się kładę. Nie mogę powrócić do domu nocą. Nocą myślę tylko o niej. Przypominam sobie po raz tysięczny każdą sekundę tej nocy – nocy, kiedy zginęła, nocy, podczas której bezpowrotnie ją utraciłem.*

Po kilku tygodniach wydobrzałem na tyle, że lekarze pozwolili mi chodzić. Felicja nie odstępowała mnie na krok, zapewniając o swej miłości i odsuwając z zasięgu mojego wzroku wszelką broń, a nawet ostre noże. Bała się, że znów targnę się na życie. Przemieszczałem się ponury, milczący, smutny, a ona to wszystko brała za moje miłosne cierpienia. Myślała, że niemożność spełnienia marzenia o małżeństwie była powodem moich złych nastrojów i cierpień. Bardzo chciała temu zaradzić.

Wiedziałem, że przekonuje ojca do naszego małżeństwa i byłem pewien, że go przekona. Wuj nie potrafił niczego odmówić swojej ukochanej córeczce. Gdy tylko nadeszły święta Wielkiej Nocy, Felicja została moją żoną. Hrabia Potocki zgodził się na nasz ślub, zadbał jedynie o to, by żadne, przyziemne sprawy majątkowe nie zakłócały romantycznej sielanki. Wymógł na mnie, bym podpisał intercyzę małżeńską, w której zrzeknę się wszelkich praw do majątku Potockich. Liczył może, że będę chciał coś dla siebie wytargować, zrzekłem się jednak wszystkiego, chciałem jedynie ręki Felicji, nasz syn wszak i tak odziedziczyłby wszystko.

Felicja myślała, że teraz, gdy spełniło się moje najbardziej sekretne marzenie, gdy wreszcie została moją żoną, przemienię się z ponuraka w szczęśliwego kochanka i będziemy żyli długo i szczęśliwie. Nie wiedziała, że romantyczne miłości, o których czytała, są takie piękne dlatego, że nigdy nie zostają skonsumowane. Nigdy nie kończą się małżeństwem. Gdyby Julia została żoną Romea, romantyczny Monteki przemieniłby się pewnie w zazdrosnego Otella i zamknąłby ją pod strażą w swoim *palazzo*, gdzie szybko by go znienawidziła.

Moja małżonka myślała, że wywożę ją na wieś, by się nią cieszyć z dala od ludzkich oczu, a ja uwięziłem ją w pałacu na krańcu świata, by była tylko moja, całkowicie mi poddana i żeby urodziła mi syna, o którym będę wiedział, że na pewno jest moim potomkiem. Nie traktowałem jej jak kochanki z romansowych powieści, a jak żonę, która ma mi dać dziedzica. Felicja już następnej zimy powiła nasze pierwsze dziecko – córkę. Następnej zimy na świat przyszła kolejna. Zacząłem podejrzewać, że ciąży nade mną jakaś klątwa, że na mnie skończy się męska linia Mielżyńskich. Uroda Felicji zaczynała gasnąć, moja żona dużo chorowała, była coraz słabsza. Zapytywałem siebie wielokrotnie, dlaczego nie porzuciła

mnie, gdy pojęła, że jej nie kocham, nie pragnę i nie pożądam. Może się wstydziła, może była zbyt dumna, by przyznać się do porażki, może wciąż wierzyła, że jest w stanie mnie zmienić. Trudno jej było powiedzieć, że popełniła błąd, że wybrała nierozważnie, że dała się złapać na prosty podstęp. Nienawidziła mnie, ale wciąż pozostawała moją żoną.

Hrabia cierpiał, widząc, jak bardzo męczy się jego córeczka z gburem, którego wzięła sobie za męża. Chciał, żebyśmy się rozwiedli, ale się na to nie zgodziłem, zagroziłem skargą nawet do papieża, jeśli zechcą rozwiązać nasz święty związek. Wiedzieli, że nie żartuję, nie chcieli kolejnego skandalu. Wuj zaproponował mi bogate życie i wielkie splendory w zamian za spokój jego córki. Co roku wypłacał mi okazałą rentę, wynajął dom w Berlinie i zadbał o to, bym po kolejnych wyborach zasiadał w ławach poselskich berlińskiego Reichstagu. Gdyby było to możliwe, wykupiłby mi najchętniej fotel w brytyjskiej izbie lordów albo w amerykańskim kongresie, tak bardzo pragnął, bym znalazł się jak najdalej od jego ukochanej córeczki. Przeczucia nie myliły starego hrabiego. Miał rację, chcąc mnie oddalić, słusznie obwiał się, że najgorsze, co spotka jego córkę z mojej ręki, dopiero nadejdzie.

\*\*\*

*Płatki śniegu wirują w powietrzu. Skrzą się w kolorowych światłach ulicznych latarni. Zbliża się Boże Narodzenie. Wkrótce wszystkie szczęśliwe rodziny zasiądą przy wigilijnych stołach. Podzielą się opłatkiem i będą sobie życzyć wszystkiego najlepszego na nowy, 1944 rok. Ja z nikim się nie spotkam, z nikim się nie przelamię, nikomu nie będę niczego życzył, będę starał się po prostu przeżyć ten dzień, nie dopuścić do siebie myśli, które nie pozwalają mi zasnąć. Pragnąłem się schować, choć wiedziałem, że przed nią nie można uciec.*

Boże Narodzenie 1905 roku pamiętam doskonale. Przyjechałem wtedy do jej majątku w Dakowach Mokrych, przywiozłem z Berlina wspaniałe prezenty dla niej i dla naszych córek. Były wniebowzięte, mi także udzieliła się ich radość, Felicja uśmiechała się, patrząc, jak bawię się z nimi. Była jeszcze piękniejsza niż wówczas, gdy ją poznałem, jej uroda rozkwitła, cieszyła się względami licznych mężczyzn, jednak to ja byłem jej mężem, ojcem jej córek, posłem Reichstagu, hrabią, a do tego bardzo przystojnym mężczyzną. Razem stanowilibyśmy piękną parę, brylowalibyśmy na najlepszych salonach stołecznego Berlina. Poprosiła, bym pozostał na Wigilii, potem na święta, razem pojawiliśmy się na sylwestrowym balu w Hotelu „Bazar”. Znów byliśmy na językach całego Poznania, tym razem jako szczęśliwie zakochani, którzy odnaleźli się po latach. Tylko hrabia Potocki nie wierzył

w moją przemianę. Bardzo bał się, że zranię jego córkę. Nawet on nie domyślał się jednak, jak mocno ją skrzywdzę.

Jeśli nie wszyscy wierzyli w szczerłość naszych intencji i w to, że wróciliśmy do siebie naprawdę, to wkrótce otrzymali dowód. Hrabina znów była w ciąży, a po dziewięciu miesiącach urodziła mi syna, upragnionego dziedzica nazwiska Mielżyńskich i fortuny Potockich. Ten mały człowieczek miał spełnić marzenia dziadka, naprawić błędy stryja, zmyć winy ojca i sprawić, że nasze nazwisko znów będzie wypowiedane w Wielkopolsce z największym podziwem.

Potomek stał się moim oczkiem w głowie. Miałem pretensje do żony, że nie jest dla niego dobrą matką, że nie dba o niego odpowiednio, że nie pielęgnuje go, że nadal chce błyszczeć i żyć swoim życiem, zamiast poświęcić się macierzyństwu.

Małżeńska sielanka nie trwała długo, następne Boże Narodzenie upłynęło w ponurej atmosferze, a gdy nadeszły styczniowe mrozy, nasze relacje stały się wręcz lodowate. Wkrótce mieliśmy dla siebie tylko arktyczny chłód.

\*\*\*

*Ta kobieta do złudzenia ją przypominała. Ten chód, ta gibkość talii, ten gest wyższości, jakim wskazała mi bym za nią ruszył. Jej twarz także była doskonała, ukryta za lekką woalką, dawała możliwość puszczenia wodzy fantazji. Szedłem za nią, nie dowierzając własnemu szczęściu. Nie miałem jeszcze pojęcia, co uczynię, ale wiedziałem, że ona jest tą, której szukałem. Miała pewnie osiemnaście, może dwadzieścia lat. Tyle co Felicja wówczas, gdy ją poznałem. Podążyłem za nią, widząc w tym ścieżkę do odkupienia moich grzechów, zacząłem wierzyć, że wszystko mogę naprawić, mogę zacząć od początku, mogę wszystko uratować. Gorączkowe myśli biegały mi po głowie, gdy starałem się nadążyć za szybkim krokiem dziewczyny.*

To nie był napad nagłej furii, to nie był nieszczęśliwy wypadek, od wielu miesięcy planowałem tę noc, moją ostatnią noc z Felicją. Miałem nadzieję, że gdy ta noc się skończy, gdy przebudzę się bladym świtem, to wówczas zacznę nowe życie, życie wolnego człowieka. W jednej chwili uwolnię się od obowiązków wobec rodu, rodziny oraz społeczeństwa i wreszcie będę mógł zostać artystą, artystą przeklętym. Nie chciałem, by nasze dzieci były świadkami tej krwawej sceny. Córki uczyły się w szkole zakonnej i miały nie przyjeżdżać na święta, syn planował zaś spędzić Boże Narodzenie w majątku mego brata. Felicja nie

sprzeciwiała się temu, nie przejawiała szczególnego zainteresowania dziećmi – moimi dziećmi. Tak naprawdę to napisałem jej, że tej zimy, podczas tych świąt ustalimy zasady naszego rozstania. Obiecałem, że dam jej wolność, a w zamian ona da mi syna. Dlatego właśnie oczekiwał na moje przybycie w majątku Ignacego.

Berlin żegnał mnie świątecznymi iluminacjami i proszącym powoli śniegiem, który swą czystą bielą przykrywał całe miasto. Gdy mijalem granice Wielkiego Księstwa, wszystko się zmieniło. Tutaj zima była zupełnie inna. Nie było śniegu, nie było mrozu, nie było lodu, przypominała raczej przedwiośnie. Drogi rozlewały się w grzaskie mokradła, wozy tonęły po osie w potokach błota. Mróz miał przyjść dopiero po świątach.

Hrabiny nie było w pałacu, a majordomus powiadomił mnie, że wyjechała po świąteczne sprawunki do Poznania. Mówił sztywno, lecz uśmiech błakał mu się pod wąsami. Usiadłem w salonie, przyniosłem swe myśliwskie strzelby, położyłem je na stole i zacząłem rozkładać, czyścić, oliwić. Służący z oburzeniem patrzyli na to, jak beczeszczę biel świątecznego obrusa, ale nikt nie śmiał mi zwrócić uwagi, woleli usunąć się poza zasięg mego wzroku i fuzji. Metodyczne ruchy uspokajały mnie, rozkładałem, składałem, sprawdzałem i odkładałem nabite strzelby do szafy. Gdyby tak można było uczynić z życiem. Rozłożyć na elementy, wyczyścić, naoliwić, a potem na powrót złożyć i żyć długo i szczęśliwie. Taki właśnie miałem plan.

Hrabina przyjechała wieczorem. Krótco po niej pojawił się syn jej zmarłej siostry, jej cudowny siostrzeniec – Teofil Miączyński. Całkiem o nim zapomniałem. Gdy jego matka zmarła był wszak dzieckiem, przez dwadzieścia lat wyrósł na pięknego młodzieńca. Najstarszy wnuk hrabiego Potockiego miał lepsze prawa spadkowe od mego syna. Póki co Felicja była główną dziedziczką, ale gdyby coś jej się stało, mój syn zostałaby z niczym. Felicja zaś zakochała się w pięknym młodzieńcu. Stała się dla niego więcej niż troskliwą ciotką. O ich romansie szeptano w całej Wielkopolsce, a nawet w stołecznym Berlinie. Teraz siedzieli obok mnie. Byli weseli, pobudzeni, radośni, na lekkim rauszu. Zabraliśmy się do kolacji. Dbałem, by ich kieliszki były pełne. Obok mnie stały dwie puste karafki. Myśleli, że je wcześniej opróżniłem. Wymawiając się zmęczeniem i alkoholem, szybko udałem się na spoczynek. Leżałem z głową opartą na splecionych rękach, słuchałem ich głosów dobiegających z salonu, ich szeptów, ich tłumionych śmiechów. Czekałem. Usłyszałem, jak się żegnają, jak Felicja zamyka drzwi swojej sypialni, jak Teofil wspina się po schodach i wali się na łóżko w pokoju obok. Czekałem. Byłem doświadczonym myśliwym. Wiedziałem, że cierpliwość jest niemniej ważna niż dobre oko i pewna ręka.

Doczekałem się. Po kilkudziesięciu minutach sprężyny łóżka w sąsiednim pokoju zatrzeszczały. Teofil podniósł się, otworzył drzwi, zszedł po schodach. Stąpał cicho, pewnie zdjął buty, szedł tylko w skarpetkach. Mój napięty słuch pozwolił mi usłyszeć szelest otwieranych drzwi do sypialni hrabiny. Poczekałem jeszcze kilka minut. Tak jak przed laty w hotelowym pokoju, tak i teraz sięgnąłem po sztucer leżący pod łóżkiem. Tym razem wylotu lufy nie zamierzałem skierować ku swojej piersi. Zszedłem cicho. Słyszałem ich szepty. Myśleli, że śpię nieprzytomny. Nie sądzili, bym mógł im przeszkodzić. Szedłem z zamkniętymi oczami. Przekręciłem dźwignię zasilania i cały budynek pogrążył się w ciemnościach. Wtedy otworzyłem drzwi i otworzyłem oczy. Zobaczyłem go wyraźnie na tle okna rozświetlanego księżycowym blaskiem, przyłożyłem sztucer do ramienia i z kilku metrów trafiłem go w samo jabłko Adama. Spojrzałem niżej. Felicja siedziała skulona w pościeli. Zamarła ze strachu jak sarna, która nagle wpada w snop światła. Nie wiedziała, co się dzieje. Nie wiedziała nawet, że to ja stoję w drzwiach. Patrzyła bezradnie swymi błękitnymi oczami. Przeładowałem sztucer, przymierzyłem i strzeliłem. Prosto pomiędzy te jej chabrowe oczy.

\*\*\*

*Szedłem za nią krok w krok. Nie odrywałem od niej wzroku. Staralem się za nią nadążyć. Nie miałem czasu rozglądać się po mijanych uliczkach i zaułkach. Nie znałem tej dzielnicy, nie wiedziałem, gdzie jestem. Nie zastanawiałem się nad tym, nie myślałem o ryzyku, pragnąłem ją zatrzymać, pragnąłem się jej przyjrzeć, pragnąłem jej dotknąć. Nie zważałem na to, że moje buty grzęzną w śniegowej brei, moje przemoczone stopy były przemarznęte, ale nie zatrzymywałem się. Nie wiedziałem, czy jeszcze kiedykolwiek uda mi się ją znaleźć. Od niej zależało moje życie.*

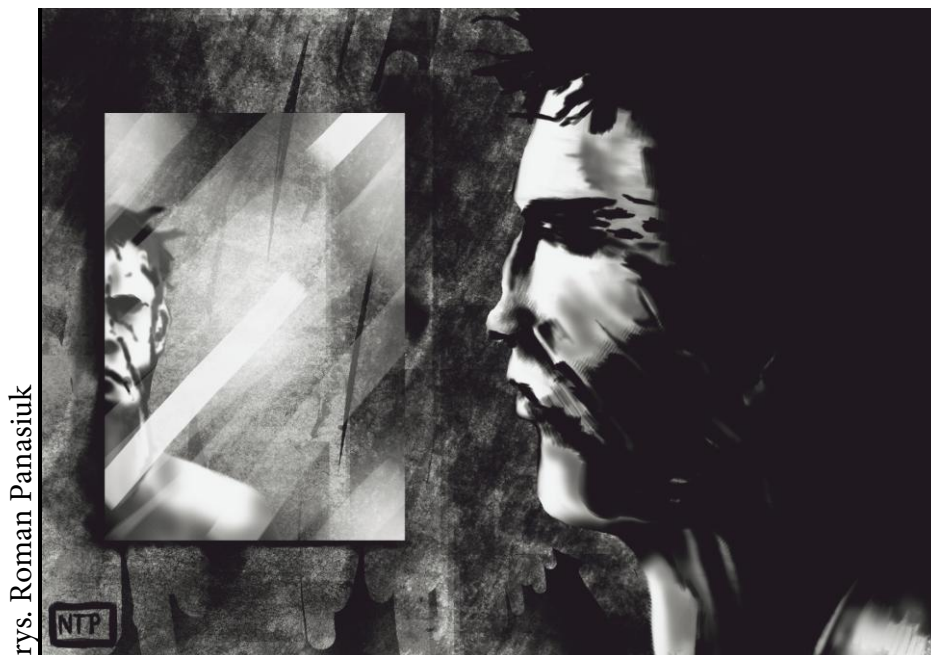
Cała niemiecka prasa żyła tym procesem. Wszyscy ekscytowali się możliwością poznania życia intymnego najwyższych sfer. Nowa procedura karna niedawno weszła w życie. To ława przysięgłych miała zdecydować o mojej winie, a sędzia pokoju Motty – jeśli by doszło do skazania – ustaliłby tylko stosowny wymiar kary. Byłem spokojny. Tamtej nocy miałem plan awaryjny, teraz przyszedł czas, by z niego skorzystać. Moja opowieść o miłości do żony i jej rozlicznych zdradach, a przede wszystkim o romansie z własnym siostrzeńcem, musiała poruszyć zgromadzonych słuchaczy. Stary hrabia Potocki zadbał jednak, by służba jak najlepiej wypowiadała się o jego córce i wnuku. Nikt nie złożył

obciążającego ją zeznania. Byłem na to przygotowany. Wezwałem na świadka hrabinę. Zadbałem, by osobiście przemówiła przed ławą przysięgłych. Płakałem, gdy adwokaci czytali listy miłosne, jakie pisała do swego kochanka, syna swojej siostry. Przysięgli mnie uniewinnili, niemiecka opinia publiczna stawiała mnie jako wzór moralnej postawy, w Wielkopolsce stałem się jednak bardziej martwy niż Felicja. Nikt ze mną się nie spotykał, nigdzie mnie nie zapraszano, byłem bojkotowany.

Bardzo chciałem pokazać jak bardzo się mylą, udowodnić że to ja zasługiwałem na życie, że to ze mnie rodacy będą dumni. Wystawiłem własny oddział w wojnie bolszewickiej, organizowałem śląskie powstanie, ratowałem narodowe wydawnictwa i dziedzictwo kultury. Wszystko na nic. Musiałem ją odnaleźć. Tylko ona mogła mnie uratować. Czulem jej obecność.

\*\*\*

*Wszedłem za nią do bramy kamienicy. Prowadziła mnie po schodach na drugie piętro. Znalazłem się wewnątrz przytłaczającego, secesyjnego mieszkania. Otworzyła drzwi do ciemnego pokoju, gestem nakazała mi wejść. Zdjąłem wierzchnie okrycie i usiadłem na szezlongu. Czekałem, aż przyjdzie. Wokół panował półmrok. Usłyszałem szmer otwieranych drzwi. Spojrzałem w kierunku nich i zobaczyłem majaczącą postać. Nagle uderzyła mnie luna jasności. Musiałem zasłonić oczy dłonią. Silne elektryczne światło oślepiło mnie. Mrugając powiekami, starałem się zobaczyć stojącą przede mną dziewczynę. Była do niej niezwykle podobna. Wydawało mi się, że widzę Felicję. Otworzyłem szeroko oczy, wyciągnąłem ku niej rękę. Starałem się dostrzec rysy jej twarzy. Usłyszałem huk wystrzału. Poczulem ciepło zalewające mi twarz. Przecierałem oczy, żeby ją dojrzeć. Szła ku mnie. Świetlny tunel otaczał ją, a ona wyciągała ku mnie rękę. Widziałem ją dokładnie. Wreszcie ją znalazłem. Chciałem pędzić ku niej. Chciałem się podnieść. Osunąłem się na podłogę. Błogość rozlewała się po moim ciele. Odnalazła mnie w końcu. Przywołała mnie ku sobie. Nic nas już nie rozdzieli.*



# TEORIA KOSZMARU

Damian Zdanowicz

Zasypiałem w zniszczonym fotelu i nawet kłujące sprężyny wypatroszonego siedziska nie były w stanie odegnąć senności. Proces ten zachodził niepostrzeżenie dla moich zmysłów, zorientowałem się dopiero wtedy, gdy ktoś zadrwił z mojego pochrapywania, rozśmieszając towarzystwo. Poderwałem głowę. Byłem nieprzygotowany na zaczepki, myśli miałem w rozsypce i odczuwałem ogólną niechęć do jakichkolwiek interakcji z gośćmi Tomasza. Nie lubiłem ich, tych ludzi obcych, ludzi z zewnątrz, nieprzystających do miejsca, które uważałem, jeśli jeszcze nie za swoje, to przynajmniej za ustronne i bezpieczne. Tej nocy mieszkanie Tomasza zmieniło swój charakter, tej nocy zostałem w nim zamknięty z nieznanymi i kłębami drażniącego, papierosowego dymu, a ucieczka nie wchodziła w rachubę – jako przyjaciel gospodarza byłem gościem honorowym... i nie widziałem drzwi. Widziałem za to zawieszane w ciemnościach, błyszczące szkiełka okularów, które odbijały światło latarni wpadające przez szpary w okiennych roletach. Słyszałem chichot, jak chrobot szczurzych pazurów o ciemne zakamarki pokoju. Lodowaty dotyk potu spłazł w dół moich

pleców, a w trzewiach poczułem szarpnięcie niepokoju. Nie bałem się gości Tomasza, ale tego, że niemal przy nich zasnąłem. Zasnąć przy obcych, to byłaby katastrofa! Nie spałem nawet przy Marcie, kiedy jeszcze byliśmy razem.

Na szczęście stracili mną zainteresowanie, ich uwagę przykuło coś innego, brzemień płonących białą okularów ześlizgnęło się ze mnie i mogłem odetchnąć. Z walącym sercem odczekałem jeszcze chwilę, żeby upewnić się, czy aby na pewno o mnie zapomnieli, po czym dźwignąłem się z fotela. Musiałem się ruszyć, pobudzić ciało do życia, odegnąć senność. Nogi powiodły mnie w najbardziej ustronne miejsce, a ci wszyscy ludzie noszący maski z nikotynowego dymu rozptywali się przede mną, jakbym ich sobie uroił. To oczywiście nieprawda. Nie byli moim wymysłem, przyszli tu na specjalne zaproszenie Tomasza, a fakt ich efemeryczności tłumaczył charakter, który dzielili. Wszyscy z nich mieli tylko jeden charakter – ulegający małym odchyleniom ze względu na płęć i dotychczasowe doświadczenia – charakter obserwatora. Nie zostawili chyba żadnego śladu swojej bytności na tej planecie. Trudno mi było uzyskać pewność co do ich wyglądu, bo ciągle rozptywali się w dymie i ciemnościach albo oślepiali mnie refleksami swoich szkieł, lecz odnosiłem wrażenie, że wszyscy wyglądają tak samo, a czasem – ale wtedy musiałem być już bardzo bliski snu – że wszyscy są nijacy, pozbawieni płci, nawet biologicznie niezdefiniowani. Goście Tomasza co do jednego byli żakami, a kiedy pytałem ich o kierunki studiów, żaden nie chciał udzielić mi odpowiedzi – migali się gładzeniem o indywidualnym rozwoju. Wszyscy wspominali o artystycznych projektach, w których biorą udział. Oczywiście nie było na tym świecie żadnych plonów tych projektów, tak jak nie było śladu po ich wcześniejszych dokonaniach, bo zwyczajnie ta zbieranina dziwaków nie osiągnęła w swoim życiu niczego i niczego nie stworzyła. Ich twórczość była dymem rozwiewającym się między moimi palcami. Skrywali przede mną swoje tajemnice, a ja kluczyłem w labiryncie tych amputowanych osobowości, szukając jedynie wyjścia lub bezpiecznego kąta, nie pragnąc zagłębiać się bardziej w żadną z nich. Mimo tego dochodziły mnie szepty, z których mogłem upleść wspólny cel ich przybycia w to miejsce, bo wszyscy oni mieli jeden tylko cel – napęlić się jakimś pseudoartystycznym, najwyraźniej cenionym w ich środowisku pierwiastkiem, jakąś esencją natchnienia, którą mógł im zaoferować Tomasz. Mieli nadzieję, że gospodarz da im doświadczyć czegoś *prawdziwego*.

Chwyciłem za klamkę i przestąpiłem próg łazienki. Zamykając drzwi, zwróciłem uwagę, że goście Tomasza patrzyli na mnie, dziesiątki lśniących szkieł, dziesiątki żarzących się czerwienią papierosów. Przerwali prowadzone przez siebie rozmowy. Zatrzasnąłem drzwi.



Byli dziwni i denerwujący, ale zawdzięczałem im ocalenie przed koszmarem. Gdyby ich śmiechy mnie nie obudziły, mógłbym zepsuć dzisiejszy wieczór, wrzeszcząc przez sen i rzucając się w fotelu. Wyszedłbym na wariata, ofiarę eksperymentalnego *performance* Tomasza, co zniechęciłoby samych gości do wzięcia udziału w artystycznym przedsięwzięciu mojego przyjaciela, które było przewidziane na dzisiejszy wieczór. Oczywiście koszmary męczyły mnie od dzieciństwa, niedawny pomysł Tomasza nie miał z nimi nic wspólnego, ale jego goście o tym nie wiedzieli. Zapewne opuściliby mieszkanie, bojąc się o własne bezpieczeństwo. Dla Tomasza nie miałyby to znaczenia. Znam go od dawna – wzruszyłby ramionami, wyciągnąłby nogi na zwolnione miejsce i otworzyłby kolejne piwo. Wszystko byłoby dobrze, do czasu, aż poruszyłby z nudów temat moich snów. Za wszelką cenę chciałem tego uniknąć.

Tomasz chciał mi pomóc. Próbował ukuć teorię, dlaczego koszmary wciąż do mnie wracają, lecz jak sam twierdził, ciągle nie mógł uchwycić sedna sprawy. W rozmowie ze mną zmieniał swoje argumenty, obracał je na języku i szlifował jak poeta wersy, zastępując pojedyncze słowa innymi. Czynił najsubtelniejsze zmiany, w najprostszy sposób przestacząc sens znaczeniowy całych logicznych konstrukcji, co doprowadzało mnie do cichej, wewnętrznej furii. W tym płynnym środowisku jego teoria nieustannie udzielała innych odpowiedzi i w końcu przestałem oczekiwać twardego sformułowania. Zaczynała działać mi na nerwy. Jej metamorficzny charakter zbyt przypominał moje sny, z początku proste i zrozumiałe, lecz ostatecznie komplikujące się, duszące i wariackie. Kiedy już teoria zaczynała się klarować, mój przyjaciel wysnuwał kontrargumenty, zaprzeczał sam sobie, co wymagało dalszych wynaturzeń tejże teorii, dalszych zmian i dalszego błędzenia w mroku niepewności. Czasami odnosiłem wrażenie, że demoniczna siła, z którą co noc toczyłem bitwy, wykorzystuje Tomasza, czyni z niego marionetkę, której zadaniem jest prześladowanie mnie i szarpanie mojej delikatnej psychiki do kompletnego zniszczenia. Zdarzało się, że kiedy rozmawialiśmy, szczypałem przedramię, żeby upewnić się, iż mój nieokreślony rywal nie wykorzystał Tomasza w jednej z naszych bitew. Nie zawsze, ale stanowczo zbyt często budziłem się wtedy w swoim łóżku, wśród skołtunionej, kwaśnej od potu pościeli, albo tylko wydawało mi się, że to już jawa, że już wynurzyłem się z mroku, zaś w rzeczywistości ciągle znajdowałem się gdzieś w głębokiej studni koszmarów, na jednym z jej obślizgłych poziomów i w beznadziejnym wysiłku dotykałem lśniących, gładkich kamieni, próbując rozpocząć wspinaczkę. Nie mogłem jednak znaleźć oparcia, a nadzieja na przebudzenie była równie nikła, jak blada księżycowa poświata opasająca wieko studni.

Bitwy toczone co noc w ramach większej wojny zostawiały ślady na mojej twarzy. W łazience Tomasza oglądałem ją w krzywo zawieszonym i nadtłuczonym na rogu lustrze. Była to twarz-pobojowisko, o popielatej cerze, oczach podkrążonych ciemnymi obwódkami i ciężkich powiekach, które nieustannie walczą: na jawie, by się nie zamknąć, we śnie, by się otworzyć. Twarz pasowała do brudnego lustra i do tła – obskurnych ścian z poszarpaną pajęczyną w rogu. Pająk był martwy, zaplątany we własną sieć. Nawet naga żarówka pod sufitem rzucała brudne światło. Zapragnąłem wydostać się stamtąd i znaleźć w ciemnościach salonu zapomniane przez wszystkich miejsce, gdzie mógłbym się ukryć i urznąć. Ciągłe pokładałem ufność w łaskawości cieni. Mimo tego zostałem w łazience, wpatrując się w swoje odbicie. Tym razem większą uwagę zwróciłem na nos. Zawsze wstydziłem się tego nosa. Złamał się parokrotnie, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, kiedy żadna wiedza o realiach tego świata nie ograniczała mojej lekkomyślności i chęci do zabawy. Tomasz twierdził, że mój charakter ukształtowały wypadki w wieku dziecięcym; że przez złamany nos stałem się zbyt poważny, ponury i nieskory do zabaw. Musiałem przyznać mu rację. Groteskowo duży i pofałdowany nos szpecił moją twarz, więc stroniłem od rówieśników. Kiedy bawili się w wojnę, klasy albo inne zabawy, niebezpieczne dla takiego pechowca z delikatnym nosem jak ja, ślezczałem nad książkami albo patrzyłem jak matka krząta się po domu. Nos złamałem jeszcze dwukrotnie, wkraczając w dorosłość. Raz, kiedy podjąłem próbę uprawiania sportu w daremnym wysiłku zahartowania mojego pająkowatego ciała, drugi raz, gdy pokłóciłem się z Tomaszem. Byliśmy wtedy młodzi i obaj kochaliśmy się w Marcie. Podczas bójki Tomasz uderzył mnie w twarz. Zalałem się gęstą, czarną krwią. Było tej krwi nadzwyczaj dużo, zupełnie, jakby wielki, nabrzmiały nos od lat zbierał ją na tę właśnie chwilę, na to decydujące uderzenie. Wrzeszczałem wtedy, nie z bólu, lecz z przerażenia, że przyjaciel oszpecił mnie do stopnia, przy którym wcześniejsze obrażenia nic nie znaczą. *Dopiero teraz*, myślałem, zdzierając sobie gardło, czując na ustach ciepłą krew i patrząc na przerażonego Tomasza. *Dopiero teraz wyglądam jak potwór, a ludzie będą krzywić się na mój widok i schodzić mi z drogi. Dopiero teraz zostałem pozbawiony wszelkich szans.*

Jakbym przyciągnął go wspomnieniami. Tomasz pojawił się w lustrze. Oboje zwróciliśmy uwagę na różnice między naszymi nosami. To wydarzyło się błyskawicznie, odruchowo – jeszcze zanim z ust Tomasza padł jakiś głupi, banalny żart – szybkie spojrzenia taksujące moją gąbczastą bryłę mięcha i jego lekko zadarty, trochę dziewczęcy nosek. Mężczyzna, dla którego zostawiła mnie Marta, miał podobny nos, równie delikatny i foremny.

Tomasz głęboko wciągnął powietrze, jego nozdrza rozszerzyły się, prezentując niebywałą sprawność.

– Śmierdzi tu jak w dupie – powiedział. – Powinienem kupić odświeżacz. Chodź, już zaczynamy.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Zrobiłem to samo, próbując nie spuszczać oka z mojego odbicia w pękniętym na rogu lustrze i prawie mi się to udało, prawie widziałem jak w srebrzystej tafli mój blady kark i krótkie czarne włosy oddalają się i zyskują wątle ciało, które wychodzi z łazienki i znika. Potem długo jeszcze nikt nie pojawił się w tym lustrze, wszyscy siedzieliśmy na jednej z obszarpanych kanap, a ci, dla których nie starczyło miejsca, stali w milczeniu za naszymi plecami. Wpatrywaliśmy się w czarny ekran płaskiego telewizora. Na koślawym stoliku przed nami rósł las butelek piwa. Ktoś zrobił miejsce na woreczek pełen różnokolorowych tabletek i grudki haszyszu. I mnie trafiła się jakaś tabletką, a krążąca od ust do ust fajka, której ustnik smakował szminką, znalazła się w pewnym momencie między moimi rozchylonymi wargami. Fascynował mnie falujący przed oczami dym, zasłaniający ekran telewizora, na którym wyświetlano jakiś statyczny, daleki obraz. Ktoś zabrał fajkę z moich palców, a dym rozwił się chwilę później. Mogłem teraz dostrzec tłum ludzi stłoczony pod drewnianym podwyższeniem na jakimś rozległym placu. Na podwyższenie wkroczył karzeł, a przynajmniej wydawało mi się, że to karzeł. W jego ruchach było coś niepokojącego, jakaś sztuczność nieprzystająca do płynnych ludzkich ruchów, przez którą zwątpiłem, że naprawdę jest to człowiek. Kamera płynęła wolno ponad tłumem, zbyt wolno, bym zdążył odkryć konkretne źródło mojego niepokoju, zanim karzeł podniósł katowski topór, a pierwsza osoba z tłumu dobrowolnie weszła na podwyższenie, klękła przed katowskim bloczkiem i złożyła na nim głowę. Dopiero kiedy topór uniósł się nad karkiem ofiary, kamera była na tyle blisko, bym mógł dostrzec, że lśniące ręce małego kata wykonane są z polerowanego drewna, że szerokie spodnie wiszą luźno na drewnianych puszczelach, a głowa jest kiepsko wyciosaną przez dłuto bryłą. Stawy wykonane z metalowych zawiasów błysnęły w słońcu, kiedy topór opadł na głowę skazańca i płynnym ruchem oddzielił ją od ciała. Nad marionetką nie było żadnego widocznego animatora, nie było nikogo, kto pociągałby za sznurki, podobnie jak nie było żadnych sznurków. Siła napędzająca małego potwora brała się z innego źródła, być może z jego wnętrza. Na scenę weszła następna osoba, a ekran zafalował i stał się czarny.

Po sekundzie wyświetlono kolejny obraz. Ujrzałem brukowaną ulicę oświetloną przez rząd latarni. Poznałem tę ulicę, przemierzyłem ją dzisiaj w tym samym celu, co setki razy wcześniej – by dotrzeć do mieszkania Tomasza. To samo pomarańczowe światło latarni, które

widziałem na ekranie telewizora, wpadało przez szczelinę w roletach i kładło się wąskimi smugami na podłodze i ścianie pokoju. Coś strzeliło, jak zatraskiwane drzwi, i obraz na ekranie telewizora uległ zmianie. Na niebie pojawił się okrągły księżyc, będący teraz jedynym źródłem światła, bo latarnie zastąpiły ogromne metalowe pale, z powbijanymi nań ludźmi. Z oddali dobiegał klekot, jakby ktoś uderzał o siebie drewniane pałeczki. Pełen obaw oderwałem wzrok od ekranu telewizora i poszukałem na podłodze i ścianie pomarańczowych smug. Na szczęście tam były, tygrysie pasy, co znaczyło, że w prawdziwym świecie przydrożnych latarni nie podmieniono palami. Tym razem, kiedy ekran rozmył się w czerń, goście Tomasza zaczęli bić brawo. Byli pod wrażeniem. Byli zadowoleni. Sam gospodarz skromnie uniósł dłoń, nakazując ciszę, bo chociaż wizualnie scena dobiegła końca, to słyszany wcześniej klekot robił się coraz głośniejszy.

Z czerni wyłoniła się, lewitując, marionetka, jej bezwładnie zwisające kończyny uderzały o siebie, zdradzając źródło dźwięku. Na szyi miała białą kryzę, na głowie długą czapkę z milczącym dzwoneczkiem na końcu. Z jej drewnianej twarzy wyrastało coś ohydneho, coś bulwiastego i organicznego. To był mój nos. Dotknąłem swojej twarzy, ale nie mogłem stwierdzić, czy nos ciągle jest na swoim miejscu. Przez chwilę wydawało mi się, że wszystko jest w porządku, później, że do twarzy przyczepiono mi drewniany klocek. Rozejrzałem się po gościach Tomasza. Żaden z nich nie zwracał na mnie uwagi, ale z pewnością musieli zdawać sobie sprawę z okrutnego żartu mojego przyjaciela. Przecież wcześniej widzieli mój nos, a teraz zobaczyli go na obliczu marionetki. Z walącym sercem czekałem na chichoty, które przerodzą się w śmiechy, a śmiechy w żarty na temat mojego defektu. Z przerażeniem oczekiwałem współczucia kobiet, które zaczną bronić mnie przed ciętymi komentarzami mężczyzn. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Goście Tomasza bez ruchu wpatrywali się w ekran telewizora, wszyscy w sztywnych pozach. Przypominali manekiny. Na ich twarzach błąkały się leciutkie uśmiechy, a może raczej jeden uśmiech, należący do jednej osoby. Miałem ochotę zniknąć, przestać istnieć, rozplynać się w mroku. Macałem nos, drapałem jego powierzchnię paznokciami, ale nie czułem bólu, ani nie widziałem spływającej z ran krwi. Wciąż nie wiedziałem, czy posiadam swój własny nos, czy nos marionetki. Doływający się z telewizora klekot uniemożliwiał mi stwierdzenie, czy drapię o chropowatą fakturę drewna, czy w lekko szeleszczącą fakturę mojego nosa.

Spojrzałem w stłuczone na rogu lustro. To w łazience Tomasza. Niestety zobaczyłem jedynie tył mojej głowy pokryty krótkimi czarnymi włosami. Sam już nie wiem, jak to się stało, że plecami dotknąłem ściany i osunąłem się po niej na podłogę. W pewnym momencie poczułem, że leżę w groteskowej pozycji, z ramionami i nogami rozrzuconymi pod

najróżniejszymi kątami, choć wcale nie czułem dyskomfortu, raczej otępienie i obojętność. Byłem jak marionetka porzucona przez animatora.

Drzwi otworzyły się i czyjeś silne ręce poderwały mnie w górę. Drewniane elementy mojego ciała klekotały, uderzając o siebie.

– Będziesz rzygał? – zapytał Tomasz. – Jeśli tak, kiwnij głową, jeśli nie, wracamy przed telewizor.

Nie chciałem wymiotować, nie wiedziałem nawet, czy w moim stanie dalej jest to możliwe, lecz jeszcze bardziej nie chciałem wracać przed telewizor. Spróbowałem pokiwać głową, ale nie mogłem, sznurek odpowiedzialny za tę część mojego ciała owijał mi się wokół szyi i spływał po owłosionych przedramionach Tomasza. Był bardzo długi. Razem ze sznurkami przyczepionymi do moich kończyn leżał w białym kłębowisku u moich stóp – brył jasnego drewna, na których ledwie zarysowano palce.

– Dziwacznie wyglądasz – stwierdził Tomasz. – Przestraszyłeś się filmu? Jeśli tak, to nie powinieneś uciekać. Pamiętaj, co mówiłem ci o twoich koszmarach? No chodź, jeśli nie zamierzasz rzygać, wracamy. Musisz obejrzeć do końca, żeby to miało jakikolwiek sens. Pamiętaj, jak kiedyś mówiłem ci, że każdy koszmar musi osiągnąć swój punkt kulminacyjny, żeby mógł się skończyć? Kiedy ściga cię facet z siekierą, zatrzymaj się i podłuż mu kark. Sen skończy się, gdy tylko ostrze dotknie twojej skóry. Jeśli śniesz o tym, że wieszają cię na gałęzi samotnego drzewa na skraju wioski, nie walcz z nimi. Obudzisz się nie przed, nie później, ale dokładnie po tym jak wykopią ci stołek spod nóg, i na chwilę przed tym, nim lina zdąży napiąć się i złamać twój kark.

Nigdy nie mówił mi niczego takiego. Pamiętałem każdy wariant jego teorii koszmarów, ale nie ten o podkładaniu szyi pod siekierę. Chciałem mu o tym powiedzieć, ale odkąd stałem się marionetką, utraciłem zdolność mowy. Tomasz posadził mnie w fotelu – tym samym na którym wcześniej prawie zasnąłem – i przysunął fotel pod ekran. Przez cały czas trwania seansu trzymał moje drewniane powieki w górze, żebym mógł wszystko widzieć i obudzić się z kosmaru, bo zgodnie z tym, co przed chwilą powiedział, zgodnie z teorią apogeum kosmaru, to był cel całego przedsięwzięcia: przestraszyć mnie na tyle, bym się obudził.

I wtedy do mnie dotarło. Śniłem. Kolejny raz dałem się oszukać tej nieznannej sile, która prawie co noc bawi się ze mną w kotka i myszkę, która ukrywa się gdzieś w ciemnych kątach pod sufitem, po to, by zmienić mnie w marionetkę, gdy tylko zasnę. Chociaż dostąpiłem oświecenia, wciąż pozostawałem w jej mocy. W żaden sposób nie mogłem się obudzić. Sprawdzony sposób polegający na uszczygnięciu się w przedramię leżał poza

zasięgiem sparalizowanego ciała. Nawet gdybym odzyskał władzę w rękach, nie sposób uszczypnąć drewnianego przedramienia.

– Koszmar jest naturalny – powiedział Tomasz. – Unosi się w powietrzu, którym oddychasz, dryfuje w wodzie, którą pijesz, rośnie w zakończeniach twoich nerwów, pulsuje, gdy zachodzi słońce, pulsuje, gdy wschodzi słońce i pulsuje, gdy słońce stoi w zenicie.

Na ekranie telewizora dostrzegłem siebie siedzącego na fotelu. Za moimi plecami wyrosła postać w lśniących białych okularach. Był to jeden z gości Tomasza. W dłoni trzymał nóż o czerwonej ręczce. Jego lodowate palce zacisnęły się na moich włosach i odchyliły głowę do tyłu. Na szyi poczułem ostrze noża, lodowata stal wnikała w fakturę mojej pękającej skóry. *Mam skórę, więc na powrót stałem się człowiekiem*, pomyślałem. Odbicie w ekranie telewizora potwierdziło moje domysły. W tym samym momencie, gdy dokonałem tego radosnego odkrycia, gość Tomasza poderżnął mi gardło. Reakcja moich rąk była błyskawiczna, dotknąłem piekącej szyi, zanim rana trysnęła krwią.

Zerwałem się z fotela, kiedy czyjeś zimne dłonie dotknęły mojej szyi. Coś ciepłego rozlało się po moim udzie.

– O cholera, stary. Oblałeś się piwem – stwierdził Tomasz. – Butelka się roztrzaskała, uważaj, żeby w to nie wleźć.

– To wszystko przez Monikę, jej dotyk jest bardziej przerażający od najgorszych koszmarów – powiedział ktoś o znajomym głosie. To mógł być chłopak imieniem Adam albo Artur. Jeden z wielu, których nie zdążyłem jeszcze zapamiętać.

– Spierdalaj. Przepraszam Tomek, myślałam, że jeśli go dotknę, to się trochę uspokoi. Nie chciałam psuć twojego eksperymentu. Nie gniewasz się, co?

Rozejrzałem się po mieszkaniu Tomasza. Było niemal takie same jak to ze snu, tyle że dużo jaśniejsze – zniknęły tygrysie pasy pomarańczowego światła, przegnane szarzystą bliskiego świtu. Papierosowy dym zdążył ulecieć przez uchylone okno. Wiatr potrząsał firanką. Pod oknem ułożyli się spragnieni tlenu goście Tomasza, spali wśród pustych butelek piwa, które mieniły się blaskiem wyspy szmaragdów i cuchnęły rzygowinami. Żaden z nich nie miał okularów, ich pleć była łatwa do zidentyfikowania, a wiele twarzy znałem i potrafiłem przypisać do imion, a imiona do charakterów.

– Nic się nie stało. I tak miałem cię budzić – powiedział Tomasz. – Zresztą to nie był żaden eksperyment. Po prostu patrzyliśmy na ciebie, kiedy zasnąłeś.

– I co? – zapytałem, pragnąc zyskać czas potrzebny na zebranie myśli.

– Właściwie nic. Trochę pojęczałeś, zacząłeś się pocić i parę razy rzuciłeś się na fotelu. No i dotykałeś nosa. Z zewnątrz te twoje koszmary wcale nie wydają się dużym problemem.

– Muszę się napić. Wody.

Zostawiłem ich i poszedłem do kuchni. Piłem prosto z kranu, a mój wzrok padł na nóż leżący na blacie. Miał czerwoną rączkę jak ten ze snu.

– Słabo oddychasz – powiedział chłopak, który żartował z Moniki. Wszedł za mną do kuchni i stanął w progu. – Zauważyłem to, kiedy spałeś. Musisz mieć skrzywioną przegrodę nosową. Na początku oddychałeś przez usta, wtedy koszmar chyba jeszcze się nie zaczął, bo byłeś spokojny. Kiedy usta ci wyschły, zacząłeś oddychać przez nos. Nosem nie możesz czerpać tyle tlenu co ustami i może dlatego masz koszmary. Nie jestem ekspertem, ale to wydaje mi się prawdopodobne. Higiena snu to ważna rzecz. Ja mam koszmary po żarciu z fast-foodów. Powinieneś pomyśleć o operacji.

Powiedziawszy swoje Adam albo Artur, zostawił mnie samego i dzięki mu za to. Przez cały czas patrzyłem na nóż z czerwoną rączką. Wziąłem go do ręki. Przyłgnął do niej, znalazł swoje miejsce. Nasłuchiwałem kroków. Nikt się nie zbliżał. Zamknąłem drzwi i przyłożyłem ostrze do szyi. Sam nie wiem, po co. Ciągle miałem w pamięci teorię Tomasza ze snu, tę o nadstawianiu karku pod siekiere, teorię apogeum koszmaru.

Czy gdybym teraz jednym ruchem przeciągnął ostrzem po krtani, to nagły atak przerażenia obudziłby mnie? Czy *ten* koszmar skończyłby się tuż po uczuciu pieczenia i tuż przed tryśnięciem krwi? Spojrzałem w górę, gotów ujrzeć tłoczącą się pod sufitem bezkształtną ciemność, burzową chmurę, której pioruny to linki animujące marionetkę. Nie było jej tam. Trochę cienia znalazłem w kątach pokoju, ale to nie była ciemność, której szukałem. Ona pojawia się tylko w nocy, tuż po moim zaśnięciu.

Odłożyłem nóż.

Miałem dość tego miejsca. Poszukałem Tomasza, żeby się z nim pożegnać. Siedział na fotelu, palił papierosa, a Monika wtulała głowę w jego włosy.

– Idę do siebie – powiedziałem.

– Chyba nie masz żalu, co?

– Nie lubię, kiedy ktoś patrzy, jak śpię. Nawet Marcie na to nie pozwalałem.

Tomasz zmrużył brwi.

– Jakiej Marcie?

Pożałowałem, że nie zabrałem ze sobą noża z czerwoną rączką. Może nie tylko samobójstwo jest w stanie uwolnić pokłady przerażenia potrzebne do osiągnięcia apogeum koszmaru, może wystarczy kogoś zabić?

– Rozstałem się z nią dwa tygodnie po naszej bójce – powiedziałem. – Pamiętasz? Połamaleś mi wtedy nos.

– Rzeczywiście, pamiętam. Z tej Marty to była puszczańska szmata.

– Na razie, Tomasz.

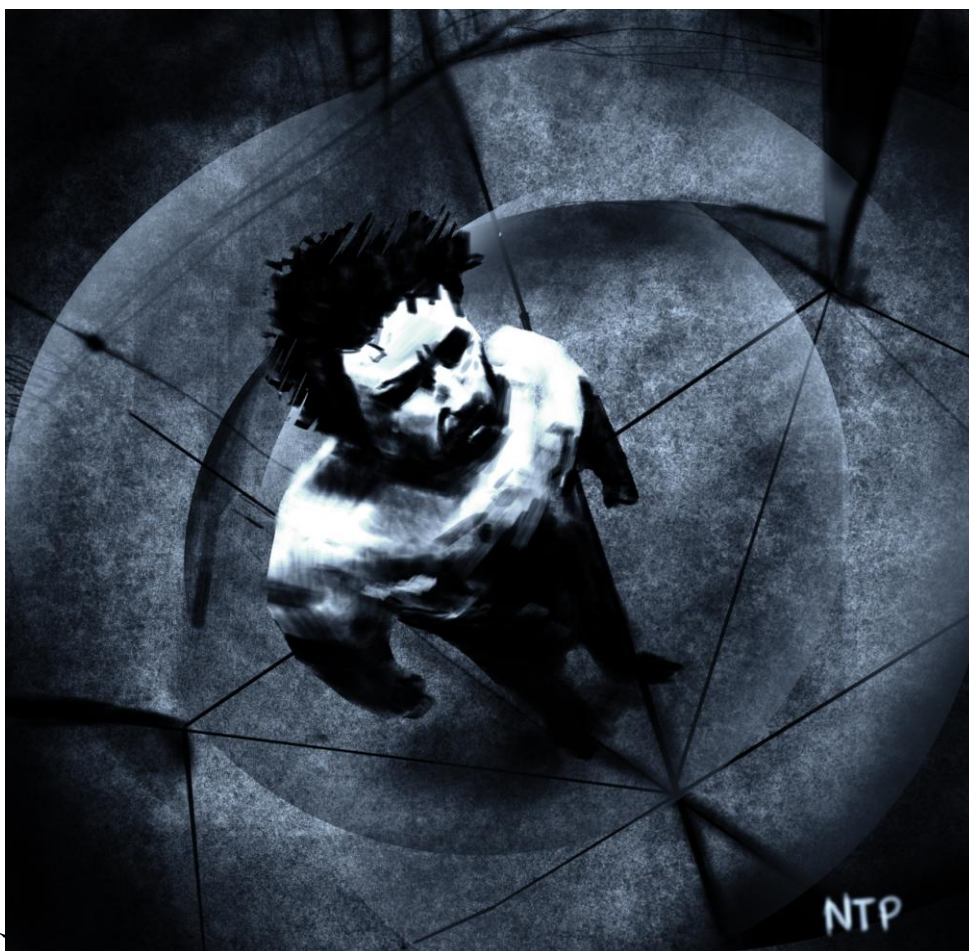
– Cześć, trzymaj się.

Wyszedłem z tego walącego się mieszkania na równie obskurny korytarz. W drodze na klatkę schodową mijałem drzwi do innych mieszkań. Wydawało mi się, że zza wizjerów obserwują mnie istoty z lśniącoymi szklami okularów i z ustami rozciągniętymi w delikatnym uśmiechu. Kiedy za moimi plecami trzasnęły jedne z mijanych wcześniej drzwi, zatrzymałem się na pierwszym stopniu schodów. Nie słyszałem żadnych kroków. Wewnętrzne obawy przerodziły się w nagły wybuch paniki. Uciekłem stamtąd, nie oglądając się za siebie.

Gdybym się obejrzał, bez wątpienia obudziłbym się... Obudziłbym się gdzieś albo do czegoś, bo to coś, co wyszło z jednego z mieszkań nie było człowiekiem. Kiedy stałem na pierwszym stopniu schodów, nasłuchując kroków, usłyszałem tylko jeden dźwięk – klekotanie lewitującej marionetki.



rys. Roman Panasiuk



# UKŁAD IMMUNOLOGICZNY

Damian Zdanowicz

Małeńki pokój na poddaszu kamienicy zadygotał, w jednej chwili przeniesiony w jądro nieznanego kataklizmu. Wyrwany ze snu mężczyzna poderwał się gwałtownie do pozycji siedzącej. Kurczowo chwycił metalową poręcz u wezłowia łóżka, jakby w obawie, że ściany rozpadną się w obliczu tej nieubłaganej siły, której źródła jeszcze się nie domyślał; że za chwilę upadną ostateczne bariery chroniące go przed szalejącym żywiołem i tym czymś,

co zawodziło na zewnątrz, w ciemnościach. Otwarte okno szamotało się w futrynie jak skrzydło oszalałego ptaka, tania porcelana spadała z szafek i pękała na podłodze, żyrandol wirował pod sufitem, papierowe kartki ożyły, poderwały się z biurka i uleciały w noc za oknem. Mury starej kamienicy jęczały, desperacko walcząc o przetrwanie. Mężczyzna krzychał i nikt, nawet on sam, nie słyszał tego krzyku, który ginął w metalicznej kakofonii i w błyskach światła.

Patrzył przez okno i przez chwilę rejestrował tylko szalony pęd, niezdolny do rozpoznania sylwetki pociągu. Zmizerniałe oblicza podróżnych widział przez ułamki sekund, a wszystkie były odczłowieczone przez prędkość, która zamazywała rysy i upodabniała je do roztopionych woskowych figur. *To majaki, przywędrowały tu z mojego snu, pomyślał, majaki albo martwi. Ludzie nieprawdziwi w każdym razie, są niczym innym jak towarem przewożonym z miejsca na miejsce, tam gdzie jest on aktualnie potrzebny.* Widział ich, starych i młodych, kobiety i mężczyzn, wracających lub śpieszących do pracy, lecz jego nikt nie widział, nikt nie widział jego rozciągniętej w krzyku i przerażeniu twarzy, jakby był duchem wyrzuconym poza rzeczywistość śmiertelników.

Mała apokalipsa dobiegła końca, pociąg przejechał, zostawiając w tyle rozkołysaną kamienicę i dygoczącego mężczyznę; oddalał się stukot kół i ponownie rozbrzmiał gwizd, jak drwina stalowego potwora, który żegnał się, ale obiecywał, że jeszcze wróci.

Mężczyzna podszedł na słaniających się nogach do okna, które – poruszane podmuchami wiatru – wciąż jeszcze uderzało o ścianę, ale przynajmniej nie usiłowało już wyrwać się z futryny i odlecieć w noc śladami ręcznie zapisanych kartek. Zniknięcie kartek – efektu wielomiesięcznej pracy – było katastrofą. Zamknął okno, ale nie przyniosło to żadnego skutku, bo szyba była stłuczona. Wiatr wciąż hulał po pokoju.

Oddychając głęboko, wpatrywał się w nocną panoramę miasta, a jego twarz omiały śmierdzące podmuchy. Im dłużej stał, tym wyraźniej czuł te wonie dochodzące z licznych fabryk, których kominy – filary zgęstniałej czerni na tle bezgwiezdного nieba – wyrzucały smoliste obłoki gryzącego dymu. Produkcja musiała trwać bez przerwy, w dzień i w nocy, bez ustanku, bez wytchnienia. W wielkich faktoriach, które wciąż pęczniały, pochłaniając betonowymi odwłokami dzielnicę za dzielnicą, pracowali wszyscy: starzy i młodzi, uczniowie, studenci, ludzie wszelkich zawodów i procesji mieli wydzielone godziny dyżurów. Musieli stawić się o danej porze we wskazanej fabryce, gdzie dostawali kaski i niezbędny sprzęt, po czym rozpoczynali pracę. Cała okolica poddała się temu szaleństwu pracy, tej niezmordowanej żywotności napędzanej przez zbiorową powinność, którą egzekwowały policja i sądy. Nie było w mieście włóczęgów, żebraków i bezdomnych, a chociaż byli pijacy,

to każdy z nich mógł liczyć na ciepły kątek w fabrycznej kotłowni. W centrum miasta wznosiły się te ogromne faktorie z kominami, wytrwale produkujące i wytwarzające, a wokół nich pyszniły się wyniosłe osiedla szarych blokowisk z betonu i szkła. Pośród wieżowców unosiły się iluminujące, czerwone sfery. Mężczyzna, chociaż nabył podczas studiów pewną wiedzę o mieście i żyjących w nim ludziach, nigdy nie dowiedział się, czym były te sfery i jaką pełniły funkcję, poza tym, że rzucały nagle, nieprzyjemne światło na podobieństwo upadłych gwiazd, które zapomniały o dawnym blasku.

Były więc ogromne faktorie jak cielska żrących i pęczniejących robaków. Ich kolejne dobudowania w poziomie wertykalnym i horyzontalnym, kolejne kondygnacje i kolejne parcele, całe dzielnice przemielone na gigantyczne hale produkcji, dzień i noc rozbrzmiewające odgłosami maszyn, łączyły się na zupełnie bezsensowne sposoby, niejednokrotnie utrudniając sobie funkcjonowanie, zamurując wejścia i wyjścia, wzajemnie pozbawiając się dostępu do pomieszczeń. A wszystko to narastało wokół ogromnych wieżowców mieszkalnych i w wyniku jakiejś inżynierskiej absorpcji poskręcane, absurdalne cielska faktorii anektowały wyniosłe, niechętnie drapacze chmur. Zdarzało się też, że niższe piętra jakiegoś wieżowca utkwily w ogromnych halach produkcji, a zdezorientowani mieszkańcy, którzy jeszcze wczoraj mogli korzystać z widoku na ulicę, teraz, podchodząc do okien, widzieli tylko taśmy produkcyjne, wielkie kotły, prasy i napędzane siłą mięśni koła zębate oraz uganiających się wokół tego wszystkiego pracowników z żółtymi kaskami na głowach. Co się tyczy robotników – nie znali oni odpowiedzi na pytania trapiące mieszkańców wieżowca; nie odpowiadali za to nagłe połączenie dwóch odrębnych bytów; im kazano stawić się do pracy, co też uczynili, nie zadając zbędnych pytań. Zresztą nie było komu zadawać pytań, bo na piśmie od zarządców miasta nie widniał żaden adres zwrotny i nikt nie wiedział, gdzie znajduje się ich siedziba, ani kto tak naprawdę odpowiada za wynaturzenia architektury. To absurdalne połączenie wieżowców i faktorii nie służyło ani pracownikom, ani mieszkańcom, którzy swoje fabryczne dyżury pełnili w innej części miasta, w innej ogromnej faktorii, gdzie musieli wysłuchiwać skarg lokatorów innego betonowego bloku. Nie dało się znaleźć odpowiedzi na pytania, których nie było komu zadać. Kiedy nie dowiedziano się „jak”, zaczęto dochodzić „dlaczego”, jednakże trudno było znaleźć racjonalne powody syntezy. Zapewne doszło do niej w nadziei, że mieszkańcy wesprą robotników, dając im szklanki z wodą lub zapraszając ich na obiady, a może nawet pomogą w pracy, ale nic takiego nie miało miejsca. Dwie grupy dzielił głęboki antagonizm; jedni czuli, że obecność drugich przysparza samych kłopotów i że niechciane towarzystwo przeszkadza im w tym, co robią. Mieszkańcy cierpieli z racji tego

nieoczekiwanego sąsiedztwa oczywiste nieprzyjemności, zaś pracownicy szeptali między sobą, jaka to idiotyczna polityka sprawiła, że aby przejść na drugą stronę taśmy produkcyjnej albo żeby odłożyć narzędzia do schowka, muszą obiec całą podstawę betonowego wieżowca. W rezultacie czas pracy wydłużał się i wszyscy byli niezadowoleni. Żeby zaradzić spadkom efektywności w ruch poszły następne śmiałe inżynieryjne koncepcje. Otóż we wieżowcu, w jego mieszkaniach, zaczęły pojawiać się maszyny produkcyjne – te elektryczne, napędzane parą, a także inne – wprawiane w ruch za pomocą siły mięśni. Z generatorami w hali produkcyjnej były spięte siecią kabli, rur i kół zębatach, a owe łączenia przeciągano zazwyczaj oknami mieszkań. Wyglądało to tak, jakby osobliwa synteza wieżowca i faktorii wchodziła w drugą fazę; w fazę, w której ewidentnie stroną dominującą była faktoria, zapuszczająca swoje sondy w rozkładające się truchło wieżowca. Betonowy blok nie stawiał żadnego oporu, nie było śladów żadnej repulsji, naturalnego odruchu na tak nagłą inwazję, przez co zdezorientowani mieszkańcy odnosili wrażenie, że wszystko odbywa się zgodnie z technicznymi planami projektantów i uspokajali się wzajemnie. „Najwyraźniej takie były przeznaczenie naszego wieżowca i nic z tym nie możemy zrobić” – mawiali jedni. „Należy przyzwyczaić się do nowej sytuacji, bo to już się nie zmieni” – dopowiadali drudzy. Mimo tego byli też i tacy, którzy wyrzucali maszynię za okna, a jeśli się nie mieściła, rozkręcali ją na części lub rąbali siekierami. Na nic zdawały się te wysiłki, bo prędzej czy później w mieszkaniach pojawiały się nowe modele maszyn, tym razem przytwierdzone do miejsca solidniej, bowiem wyrastające wprost ze ściany betonowego wieżowca. Słyszało się też o nielicznych przypadkach symbiozy maszynierii z samymi mieszkańcami, ale trudno dawać wiarę takim pogłoskom. Tak więc wyglądały dolne kondygnacje betonowych wieżowców pochłoniętych przez wszechmocne faktorie – ich mieszkańcy zostali zapędzeni do pracy i jeśli akurat nie pełnili dyżuru w hali produkcyjnej gdzieś po drugiej stronie miasta, musieli we własnych mieszkaniach pilnować z kartką i długopisem w ręku wskazań liczników lub napędzać domowe maszyny siłą swoich mięśni. Całe dolne kondygnacje buczały od generowanej mocy, oknami buchała para, powietrze trzeszczało od wyładowań elektrycznych, a wszystkie dźwięki dopełniał zgrzyt kół zębatach, napędzanych i konserwowanych przez całe rodziny. Z kolei górne kondygnacje zdawały się pozostawać nietknięte działalnością faktorii, trwały wyniosłe i nieporuszone, ciągle pamiętając o dawnej chwale, a wokół nich unosiły się czerwone sfery. W istocie tak znaczne różnice między trybem życia mieszkańców z dolnych i górnych pięter przełożyły się na ich wzajemne relacje. Ci „wyżsi” zaczęli gardzić tymi „niższymi” i szczerze nienawidzili konieczności zapuszczania się w dolne rejony, ilekroć byli zmuszeni opuścić wieżowiec i załatwić jakieś sprawy w mieście.

Obrzydzeniu i pogardzie towarzyszył lęk przed wcieleniem w zwariowany korowód pracy, jaki miał miejsce w hali produkcyjnej i na niższych kondygnacjach. Niejednokrotnie zdarzało się, że „wyżsi” padali ofiarą nieporozumień i byli zaganiani do pracy przy taśmach lub maszynach, a na ich głowach lądowały żółte kaski. Musieli wtedy przepracować cały dzień. Nikt nie słuchał ich wyjaśnień, a kiedy po cichu próbowali się oddalić, natychmiast zostawali pochwyteni. Jedynym glejtem był urzędowy list z poleceniem stawienia się do pracy w hali produkcyjnej gdzieś w innym rejonie miasta. Na liście widniał dokładny adres, data i godzina, a także stosowne podpisy i pieczęcie, więc żółte kaski były zmuszone puścić okaziciela na czas pełnionych przez niego obowiązków. „Wyżsi” zaczęli organizować się w zbrojne bandy, zdolne wywalczyć sobie niezależność wśród dzikiej hałastry dolnych poziomów, ilekroć musieli załatwić jakąś sprawę w mieście, która nie była związana z pracą w faktoriach. Rajdy, których celem najczęściej były zakupy w sklepach z artykułami spożywczymi, nie wyprawiały się na misje częściej niż raz na trzy, cztery dni, tak więc naturalnym następstwem nowej sytuacji stała się dla „wyższych” izolacja na ich górnych kondygnacjach. Coraz częściej tracili pracę z racji tego, że nawet o wczesnych porannych godzinach istniało ryzyko wcielenia w zastęp żółtych kasków rozpoczynających harówkę w hali produkcyjnej. Rozeźnieni pracodawcy mieli mało cierpliwości do podobnych wymówek, toteż coraz większa liczba „wyższych” w istocie trafiała do grona „niższych” – co kilka dni całe ich rodziny zamieniały się miejscami z rodzinami z dolnych kondygnacji i w ten sposób dzielono się pracą przy maszynach i wynikającymi z niej drobnymi zarobkami.

Każdy z mieszkańców wieżowca był jednocześnie żółtym kaskiem, a niemal każdy żółty kask mieszkał w wieżowcu. System rozdziału pracy został jednak tak obmyślany, żeby żaden lokator nie pracował w hali produkcyjnej w pobliżu własnego bloku. Mężczyzna wyglądający przez okno nie był częścią tego szaleństwa, tego zapętlenia ślepców, którzy na wyznaczonych odcinkach zegara stawali się albo ofiarami, albo oprawcami w tej samej wojnie. Chociaż obowiązywał go, tak jak każdego w mieście, przymus dyżuru w faktorii, to dzięki nietypowemu miejscu zamieszkania w minimalnym stopniu uczestniczył w konflikcie.

W ramach pracy absolwenckiej pisał o wszystkich tych sprawach, o konflikcie między mieszkańcami miasta i roli, jaką odgrywały w nim budowle. Waga tematu była ogromna, podobnie jak jego trudność. Mimo tego zbliżał się do samego jądra problemu. Czuł, że oświecenie czai się za rogiem, za kolejną zapisaną kartką. Niestety wszystkie notatki przepadły. Wyglądając przez okno widział je jeszcze, odlatujące jak stado białych ptaków coraz wyżej, coraz dalej. Nie miał najmniejszych szans ich odnaleźć. Większość osiadzie w kałużach i rynsztokach. Być może niektóre zostaną przeczytane, lecz nawet jeśli ktoś

zrozumie tekst naładowany fachowymi terminami, to nie będzie mógł znaleźć w nim sensu. Zabraknie mu całościowego ujęcia sprawy; ustęp wyrwany z kontekstu może jedynie rozpalic ciekawość, ale w niczym nie pomoże, niczego nie zmieni.

Student opadł na skrzypiące krzesło, które w wyniku wichury pokonało drogę z jednego końca pokoju na drugi. Załamany, ukrył twarz w dłoniach. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że ktoś podstępem otworzył okno, przez co wiatr, uciekając przed przejeżdżającym pociągiem, wtargnął do pokoju i porwał kartki. Mężczyzna zawsze zamykał okno na noc, więc musiał je otworzyć ktoś inny, ale kto – nie miał pojęcia. Obcy musiał posiadać klucz do drzwi jego pokoju, choć jedyny komplet student stale nosił przy sobie. Z pewnością dozorczyńni kamienicy miała klucz uniwersalny, który otwierał każde drzwi w posiadłości, ale ona znajdowała się poza kręgiem podejrzeń mężczyzny. Była to kobieta życzliwa, niezdolna do podobnych złośliwości, przypominająca w tym względzie swoją kamienicę – bezpieczną przystań leżącą daleko od konfliktów, zepsucia i degeneracji.

Dopuszczał tylko jedną możliwość: ktoś zakradł się do pokoju i otworzył okno. Natychmiast odrzucił koncepcję, jakoby szyba pękła pod naporem powietrza lub pod wpływem drgań. Przecież szkło wytrzymało już niejedną przejazd – zresztą nawet gdyby założyć, że skruszało bez niczyjej pomocy, to nie tłumaczyło, dlaczego okno było otwarte. Futryna nie została zniszczona i nawet pozbawiona szyby pozostałaby na swoim miejscu.

Student nabierał pewności, że padł ofiarą spisku, który miał na celu zniszczenie owoców jego pracy – albo przynajmniej jej zahamowanie, akurat w chwili, gdy wkraczała w krytyczną fazę. Być może spiskowcy liczyli na to, że w obawie o własne bezpieczeństwo zaprzestanie dalszego drążenia tematu. W kręgach akademickich niemal każdy wiedział o tym, jak niebezpieczne było badanie wzajemnych relacji między faktoriami a wieżowcami. Słyszało się doniesienia, że wszelkie próby studiowania tych zagadnień kończyły się niepowodzeniem: w najlepszym wariacie zagubieniem materiałów, a w najgorszym postradaniem zmysłów przez badaczy owych zjawisk, czasem nawet kompletnym szaleństwem i koniecznością izolacji. Profesorowie wydziału danego studenta zwoływali specjalne sympozjum, którego oficjalnym celem było omówienie ogólniejszego problemu badawczego, jednakże najgłośniejszymi wybrzmiewały umieszczane między wierszami treści, mające przekonać ucznia i jemu podobnych do zejścia z niebezpiecznej ścieżki. Bez wątplenia konspiratorzy byli świadomi cienia, jaki rzucali. Wiedzieli, że student mieszkający na ostatnim piętrze starej kamienicy będzie wystarczająco rozgarnięty, by potraktować z pozoru przypadkowe wypadki jako wyrazisty komunikat.

A więc spisek – jasne ostrzeżenie w postaci ciosu, który trafił bardzo celnie. Łatwo byłoby wycofać się teraz, gdy cała praca przepadła.

Pogrążony we własnych myślach, usłyszał kroki dopiero wtedy, gdy rozległy się tuż pod jego drzwiami. Nasłuchiwał. Dobiegło go ciche pukanie.

– Wszystko w porządku? – zapytała dozorczyńni, a zarazem właścicielka kamienicy.

Omijając potłuczoną porcelanę, zbliżył się do drzwi, ale czując nagłą nieufność, nie otworzył ich.

– Jak najbardziej, droga pani – powiedział do kobiety po drugiej stronie. – Przestraszyła się pani?

– Na dole tak nie kołysze – odparła. – Ale pan pewnie najadł się strachu. Mury jęczały głośniej niż zwykle, musiało mocno huścić.

Klamka drgnęła. Działając instynktownie, student spróbował ją unieruchomić. Czuł, jak poruszała się w jego mocnym uchwycie, nieustępliwie próbując opaść.

– Lokatorzy przyzwyczajają się po miesiącu – powiedziała dozorczyńni tonem zwyczajnej pogawędki, nie czyniąc najmniejszej pauzy, niczego nie dając po sobie poznać, lecz ciągle atakując klamkę. – Pan jest tu jeszcze za krótko. Piekielne pociągi! Czasami mam wrażenie, że konkurencja nasyla je, żeby w końcu zburzyły moją kamienicę.

– To prawdziwe utrapienie, proszę pani.

– Tak... Jak idzie praca?

– Dobrze, dziękuję.

– Mogłabym przysiąc, że te pociągi jeżdżą coraz szybciej. Kiedy są blisko, mój Czarnulek zawsze ucieka pod łóżko, ale teraz nie zdążył. Tak się przestraszył, że wbił pazurki w moje uda. Mówię panu, te pociągi przyśpieszają. Coraz szybciej, coraz szybciej, pęd! Panie kochany, pęd i stukot! Jak tak dalej pójdzie, to cały budynek się zawali. Wie pan, wyszłam na zewnątrz i znalazłam kilka rozbitych dachówek. Jeden rzygacz obluzował się i roztrzaskał o bruk.

– To straszne. – Klamka drżała w jego spoconej dłoni. – Chyba powinniśmy iść już spać. Jutro czeka na nas dużo pracy.

– Jak zawsze dużo pracy, tak, naturalnie, że tak. Praca jest bardzo ważna. Należy pracować, wszyscy to wiedzą, nawet dzieci. Ja też to wiem. Ciągłe przysyłają mi urzędowe pisma i na tych pismach są urzędowe pieczęcie i podpisy, nie mogę zapomnieć, chociaż jestem coraz słabsza, sił mam coraz mniej... Pójdę już, trzeba posprzątać wokół kamienicy. Dobranoc.

Student czuł, że coś po drugiej stronie drzwi wciąż naciskało na klamkę. To musiała być dozorczyńni, bo nie słyszał, żeby oddalała się po schodach.

– Jest tam pani jeszcze? – zapytał po chwili milczenia.

– Tak.

Cisza. Klamka szarpała się w jego uścisku.

– Chce pani sprzątać o tak późnej porze? Nocą kręcą się tutaj „wyżsi”, ci z wieżowców. Mogą zrobić pani krzywdę.

– Nie, raczej nie robią. Nikt nie zauważa mojej kamienicy, więc mnie też nie zauważą. Jestem małą kobietą, nie rzucam się w oczy.

– Niech pani uważa. Ja już jednak pójdę spać, dobranoc.

Tym razem nie było odpowiedzi i po chwili usłyszał kroki. Dozorczyńni schodziła po stopniach. Mimo tego został przy drzwiach jeszcze jakieś pięć minut, ciągle walcząc z upartą klamką, która próbowała wyzwolić się z uścisku, jakby ktoś po drugiej stronie wciąż na nią napierał.

– Jest tam kto? – wyszeptał student.

Nikt nie odpowiedział. Minęło kolejnych pięć minut, a może trochę więcej lub mniej czasu, kiedy wreszcie nacisk na klamkę zaczął słabnąć. Po chwili całkowicie zniknął, o ile student mógł to stwierdzić, bo po części stracił czucie w zmęczonej dłoni. Przyłożył ucho do drzwi, ale nie usłyszał żadnych kroków. Nagle odniósł kompletnie pozbawione sensu wrażenie, że przez cały ten czas, odkąd dozorczyńni zeszła na niższe piętro, po drugiej stronie drzwi nie było nikogo, kto mógłby naciskać na klamkę, zaś cała walka toczyła się między nim, a jakąś siłą, która nie była człowiekiem. Inaczej mówiąc, wydawało mu się, że drzwi usiłowały otworzyć się same z siebie; że taka była wola materii nieożywionej. W końcu puścił klamkę i nic się nie wydarzyło. Po kolejnych kilku minutach zebrał się na odwagę by nacisnąć przeklęty uchwyt, niemal oczekując, że coś po drugiej stronie stawi mu opór. Oporu nie było, lecz drzwi pozostały zatrzaśnięte – oczywiście, były zamknięte na klucz. Zawsze zamykał je przed położeniem się do łóżka. Mógłby użyć klucza, żeby je otworzyć, ale wolał tego nie robić. Czuł się już bezpieczniej, chociaż nie mógł pozbyć się wrażenia, że gdyby wcześniej pozwolił klamce opaść, drzwi otworzyłyby się bez względu na to, że wcześniej zamykał je na klucz.

Na słabnących nogach dowlóknął się do krzesła i opadł na nie. Wiedział, że już nie zaśnie. W dole słyszał pomrukiwania dozorczyńni sprzątajacej rozbite dachówki, szkło i kamienne elementy upadłego rzygacza. W samym fakcie, że kamienica została uszkodzona przez ostatni przejazd pociągu, było coś złowieszczonego i nie chodziło tu tylko o zagrożenie



zawaleniem się budynku, lecz raczej o symboliczne zaakcentowanie słabości ostatniej znanej studentowi ostoi w mieście ogromnych wieżowców i wiecznie pęczniejących faktorii. Pewnie w wąskich, zapomnianych alejkach istniały budynki podobne do tego albo speluny zamieszkałe przez ludzi, którzy dobrowolnie udali się na wygnanie, byle z dala od toczącego w całym mieście cichego konfliktu, lecz student nie wiedział o nich nic konkretnego, nie znał żadnego adresu, mógł tylko snuć jałowe domysły. Jeśli uszkodzenie budowli było robotą spiskowców, zapewne chcieli oni dać do zrozumienia, że już posiadli wpływy w tym miejscu i student nie może uznawać go za bezpieczne, jest więc całkowicie zdany na ich łaskę.

Zresztą, to wszystko było powiązane – tak, dopiero teraz zdawał sobie z tego sprawę. Ta noc, obłądana noc, była nocą przełomową, starannie zaplanowanym zwieńczeniem planu spiskowców, jeśli w ogóle można w tym przypadku mówić o spiskowcach czy spisku. Spisek zakłada bowiem tajność oraz istnienie świadomego zamysłu spiskujących, tymczasem mroczne oświecenie, które spłynęło na studenta lodowatą falą dreszczy, umocniło go w przekonaniu, że o żadnej tajności nie może być mowy; że wszystko odbyło się jawnie i na jego oczach, zaś o zamysle nie można mówić w ten sposób, w jaki definiują go ludzie. Bo spiskowcy, a raczej spiskowiec, który działał w tak bezczelny i drwiący sposób, że swoją akcją sprzęgł z przejazdem pociągu (świadom, iż hałas obudzi studenta), nie był w ogóle człowiekiem, nie mógł więc myśleć kategoriami ludzkimi. Chociaż, jak się okazało, z sukcesem naśladował arogancję oprawców lubiących znęcać się nad ofiarą. Tym właśnie była demonstracja siły, którą wykazał się przy drzwiach, kiedy to naciskał na klamkę. Torturował w ten sposób wcześniej obudzoną ofiarę poprzez obdarzenie jej poszlaką niezbędną do odkrycia tajemnicy – tajemnicy, której poznanie złamało już wielu. I student zrozumiał tę tajemnicę. Poczul się jak głupiec, który rozmawiał z mordercą nad ciałem ofiary, zupełnie nieświadomy, że zabójcę ma przed sobą. Dopiero kiedy zbrodniarz zniknął w taksówce, jego jawne poczynania ułożyły się w całość i student przejrzał na oczy.

Nietrudno sobie wyobrazić, że w kamienicy, gdzie drzwi same z siebie chcą się otworzyć, podobna ochota może najść zamknięte okno i to akurat w chwili, gdy po jego drugiej stronie zrywa się wiatr zdolny ponieść kartki w noc...

Spiskowiec otaczał go swoją obecnością – był ścianami pokoju studenta, był kamienicą, całą parcelą zamkniętą w ramy pobliskich ulic, był miastem ogarniętym instynktem świadomego organizmu, by stale powiększać swoje granice, nawarstwiać się na sobie, zastępować stare nowym i bez ustanku przetwarzać, wykorzystując do wszystkich tych rzeczy ludzką masę toczoną arteriami miejskimi w obszary, gdzie była aktualnie potrzebna.

Student chwycił kartkę i długopis. Koślawym pismem wyrzucił z siebie chaotyczne myśli. Serce łomotało mu w piersi.

*Miasto nasze jest rozległe, jego betonowe cielsko ciągnie się po horyzont – i jest to w istocie ciało – wszystkie organy są ze sobą połączone, podlegają mutacjom, realizując podstawowy cel żyjącego organizmu. Organizm broni się przed zagrożeniem, przed nielicznymi jednostkami, które odkryły bądź zbliżyły się do odkrycia tajemnicy. Być może jego działanie to jedna wielka bezmyślność, a element zastraszania ludzi jest kolejną reakcją wykraczającego poza nasze zrozumienie „układu immunologicznego”. Nie ma to najmniejszego znaczenia. Bez względu na to, czy w owym działaniu jest rozum, czy też go brak, istnieją poszlaki i domysły, jakkolwiek mgliste i niejasne, pozwalające snuć podobne przypuszczenia, które w innych okolicznościach byłyby czystymi fantazjami. Przypuszczenia, że miasto...*

Końcówka długopisu zawisła nieruchomo nad kartką. Chciał pisać dalej, ale artykulacja niewyraźnej koncepcji spisku sprawiała mu kłopot. Nie mógł jej z siebie wyrzucić. To było zbyt dziwne, zbyt potworne. Jego umysł wciąż próbował bronić się przed przyjęciem radykalnej teorii; starał się w ostatnim odruchu obronnym zracjonalizować poczucie obcej obecności i wytłumaczyć odczuwany niepokój przejazdem pociągu i gwałtowną pobudką, lecz świadomość bycia obserwowanym przez ściany kamienicy; myślał, że wszystkie dźwięki, każdy szmer i każde skrzypnięcie rozbrzmiewające w jej murach było w istocie dźwiękiem wydanym przez żyjącą istotę, ostatecznie zagnieżdżyła się w głowie studenta. Zalała go fala paniki. Chciał uciekać, ale nie miało to żadnego sensu. Był już pożarty – i to niezliczoną ilość razy. Odłożył długopis i wcisnął kartkę do kieszeni. I tak nie mógłby już niczego napisać, dłonie mu drżały, a myśli strzępiły się w połowie. Nasłuchiwał, a chociaż stara kamienica wzdychała jak zwykle, po staremu brzmiało wycie uwięzionego w jej wnękach wiatru, a skrzypienie podłóg i wiekowych murów nie różniło się od tego, które słyszał każdego wieczoru, to wszystko uległo zmianie. Świadom, że przekroczył pewien próg, czekał aż coś się wydarzy; aż ciche odgłosy osiągną moment kulminacyjny i zostanie zdarta cienka zasłona rzeczywistości, którą wyczuwał opuszkami palców. Cekał na czarne nawiedzenie, na opadnięcie klamki i otwarcie drzwi, za którymi nie będzie nikogo. Ale w głębi duszy wiedział, że powinien spodziewać się czegoś zupełnie przeciwnego a zarazem okrutniejszego – wiecznej niepewności i bezustannego wsłuchiwania się w nocne westchnienia starych murów.

# CARPENOCTEM.PL

PISZEMY O GROZIE OD 2003 ROKU

LITERACKI HORROR DLA ZAAWANSOWANYCH.  
GROZA WCIĄGA!

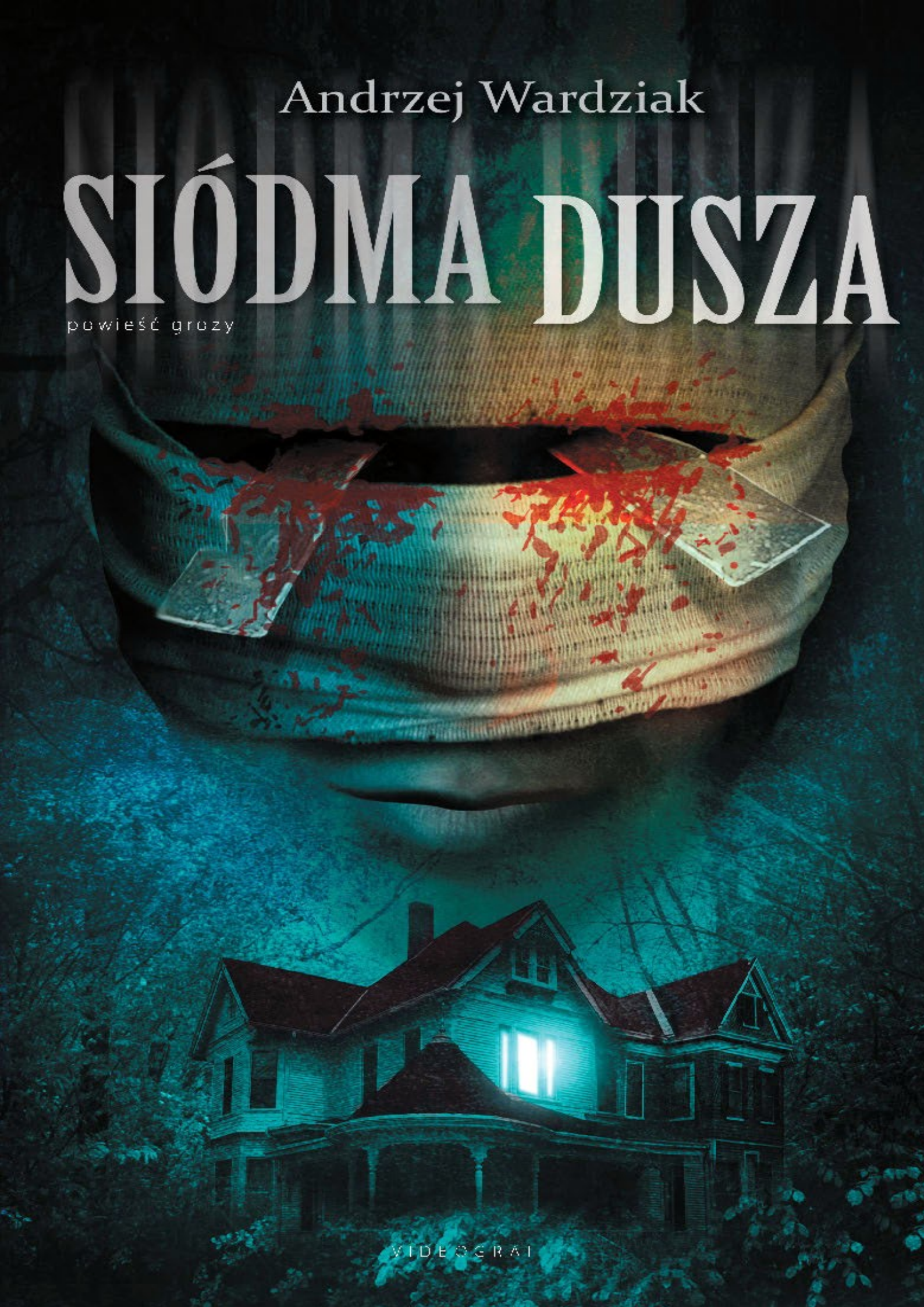




Andrzej Wardziak

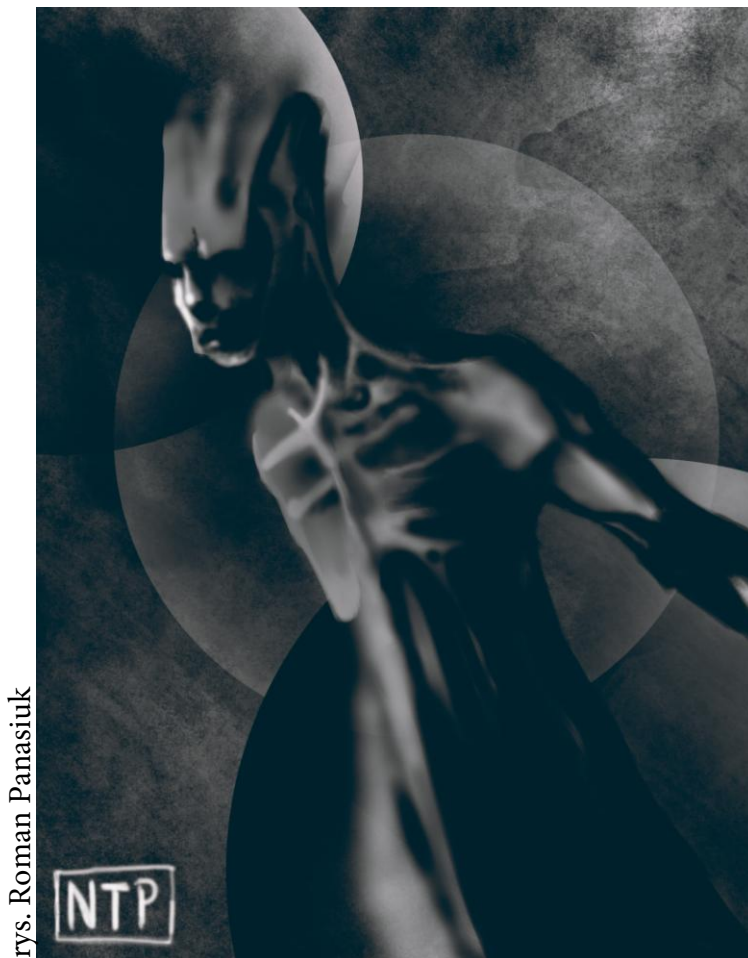
# SIÓDMA DUSZA

powieść grozy



VIDEOGRAFI





# URZECZYWISTNIENI

Norbert Góra

*Z oceanu błogiej nicości trafiłam wprost na rozpędzoną karuzelę wrażeń.*

Alexandra Adornetto

„Blask”

Był chłodny poranek siedemnastego grudnia. Wigilia zbliżała się ogromnymi krokami, dlatego ludzie cały czas pozostawali opętani zakupowym szałem. Zielona Góra, dotychczas cicha i spokojna, teraz stała się zatłoczonym miastem owładniętym przez chaos przygotowań świątecznych. Przepełnione autobusy woziły obywateli z Alei Wojska Polskiego prosto pod

Galerię Focus Park. W środku zmęczeni nawałem obowiązków doradcy klienta starali się nadażyć za kupującymi i ich oryginalnymi pomysłami na prezenty. Restauracje fast-food działały na pełnych obrotach i ciężko było chociaż o pięć minut przerwy.

Cezary minął przystanek autobusowy Palmiarnia i o mało nie został stratowany przez grupę pospiesznie wychodzących z autobusu ludzi, biegnących do galerii jakby uciekali przed demonem. Oparł się o wiatę przystanku i wygładził pomarszczoną kurtkę puchową w krzykliwym, jaskrawo-pomarańczowym kolorze.

*Niech was wszyscy diabli wezmą*, pomyślał i poczuł pilną potrzebę zapalenia papierosa. Poklepał po kieszeniach ciemnych, dżinsowych spodni i wyciągnął z lewej kieszeni niedawno napoczętą paczkę Marlboro, a z prawej plastikową, czerwoną zapalniczkę. Kiedy ukazał mu się tańczący na delikatnym, zimnym wietrze języczek ognia, przyłożył do niego końcówkę papierosa i zamrugął.

Z wnętrza galerii dochodziły odgłosy jazgotu, przeraźliwej wrzawy. Cezary wypuścił z ust pierwszego bucha i – z papierosem w ustach – obserwował, jak ze środka budynku wypada na zewnątrz przerażona, wrzeszcząca w niebogłosy ludzka masa. Jakaś kobieta popychająca czerwono-czarny wózek dziecięcy krzyknęła: „Jezu Chryste!”

*Co jest grane?*, zapytał siebie w myślach i postawił dwa kroki w kierunku galerii. Jakiś łysiejący mężczyzna w czarnej, połyskliwej kurtce i – podobnych do tych, które Cezary miał na sobie – granatowych spodniach, chwycił go za ramię i pokręcił nieznacznie głową.

– Niech pan tam nie idzie. Tam się coś w środku pojawiło, coś okropnego.

Cezary popatrzył na nieznanego zdziwiony, przypadkiem wypuszczając papierosa z ust.

– Co się pojawiło? Duchy?

Mężczyzna próbował jeszcze coś powiedzieć, ale z wnętrza galerii wypadł właśnie następny taran złożony z zakupoholików.

– To jakieś demony! – wrzasnął młody, zakapturzony chłopak i wyrzucił ręce w powietrze, po czym zaczął biec wzdłuż galerii, w kierunku centrum.

– Ciągłe ich przybywa – powiedziała z kolei starsza kobieta, ubrana w kremowy płaszcz, ze śliwkowym, tradycyjnym beretem, który złośliwi nazywali „moherowym”. Stała w pierwszym rzędzie ludzi otaczających galerię, w bezpiecznej odległości od drzwi, ale na tyle blisko, żeby można było obserwować, co się dzieje w środku.

Cezary wymienił porozumiewawcze spojrzenie z nieznanym w czarnej kurtce i rzucił się ku tłumowi. Przedarłszy się przez stłoczonych gapiów, słysząc za sobą obelżywe słowa i przykre wulgaryzmy, dotarł w końcu do pierwszego rzędu.

Nie mógł uwierzyć własnym oczom. W odległości zaledwie pięciu kroków od drzwi wyjściowych z galerii stało sześć wysokich, szczupłych istot, przypominających krzyżówki elfów znanych dotąd tylko z książek o fantastycznych, obcych światach i czegoś plugawego, demonicznego. Mierzyły ponad metr siedemdziesiąt wzrostu i miały długie, spiczaste uszy, a ich oczy były całkowicie czarne jak węgielki. Ubrane były w dziwne, seledynowe uniformy, na oko zdecydowanie lżejsze od wszystkich tych, które nosili astronauty.

– Niech ktoś wreszcie zadzwoni po policję – powiedziała na głos ta sama kobieta w berecie. Kilka chwil później męski, sympatyczny głos rzucił w kierunku swojej komórki: „Halo, policja? To aż trudno wyjaśnić, ale proszę przyjechać do galerii Focus Park”.

\*\*\*

Po piętnastu minutach Cezary dojrzał na horyzoncie błyskające na niebiesko koguty policyjne. Dwóch wysokich, dobrze zbudowanych funkcjonariuszy w oficjalnych uniformach wysiadło z toyoty i ruszyło w kierunku tłumu.

– One są w środku galerii, panie władzo – odparł mężczyzna, który ich wezwał.

Policjant po prawej – z kilkudniowym, czarnym zarostem na owalnej twarzy i zmęczonymi, szarozielonymi oczami – pokiwał głową.

– Proszę się natychmiast odsunąć na bezpieczną odległość! – krzyknął i dał znać ręką swojemu koledze po fachu.

Drugi funkcjonariusz – schludnie ogolony, z zapadniętymi policzkami i pełnymi życia, radosnymi, niebieskimi oczami – wyciągnął broń ze skórzanej kabury przypiętej do pasa i zmówiwszy w duchu szybką modlitwę, wszedł do środka galerii. Elfopodobne istoty zgromadziły się w dwóch trzyosobowych rzędach i stanęły w odległości czterech kroków od niego.

– Kim jesteście? – zapytał funkcjonariusz, zaciskając nerwowo kłykcie na broni. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę z zadziwiającego faktu. Tajemniczy przybysze nie mieli ust, tylko czarne kresczki komicznie małych rozmiarów.

Jezu Chryste, jak oni oddychają? – pomyślał zdziwiony policjant, mrugając.

W tej samej sekundzie usłyszał w swojej głowie spokojny głos: „Jesteśmy Urzeczywistnionymi”. To był telepatyczny, znany z filmów science-fiction przekaz.

– Urzeczywistnionymi? Kim są Urzeczywistnieni?

Dziwadła wpatrywały się w funkcjonariusza, nadal nie poruszając się. Błyskawiczna odpowiedź nadeszła tą samą drogą, jak uprzednio: „Pierwszymi mieszkańcami tej planety”. Policjant poluzował uścisk broni i poczuł delikatne mrowienie w opuszkach palców.

*Przestyszałem się?*, zapytał siebie w myślach, mrugając co rusz.

– Pierwszymi mieszkańcami tej planety? – powtórzył, jakby był głuchy albo zbyt głupi, żeby zrozumieć.

„Tak. Zamieszkivaliśmy te terytoria na długo, zanim wasz gatunek zdołał zrozumieć niepodważalne prawa nauki i techniki”.

Znów usłyszał ten głos w głowie i otworzył szeroko usta. Przełknąwszy ślinę, obrócił się w kierunku drzwi wyjściowych, wypatrując współtowarzysza. Stał tam, plecami do niego, uspokajając ludzi. Nie było innego wyjścia. Musiał go tu zawołać i przedyskutować, co robić dalej, jak się zachować.

– Franek, chodź! – krzyknął, wymachując rękami, aż zwrócił uwagę drugiego policjanta. Nieogolony funkcjonariusz zmarszczył brwi, wszedł do środka i stanął na tyle blisko drzwi, aby uniemożliwić komukolwiek innemu przejście.

– Normalnie nie wierzę – odparł niebieskooki policjant.

– Co się stało, Marcin? – zapytał Franciszek i spoglądał to na niego, to na dziwne istoty. – To są pierwsi mieszkańcy naszej planety, a przynajmniej tak twierdzą.

Franek wybałuszył gały i pokręcił głową na znak dezaprobaty.

– Co?!

– Nazywają się Urzeczywistnionymi. Franek, ja nic z tego nie rozumiem – stwierdził Marcin i opuścił bezradnie ręce.

– Czego chcecie, po co tu, do jasnej cholery, przybyliście? – warknął nieogolony policjant, stawiając krok do przodu. Cofnął się błyskawicznie, gdy w jego głowie odezwał się ten sam głos, który był obecny w jaźni drugiego funkcjonariusza.

„Wróciliśmy do swojego domu. Chcemy tu znowu mieszkać”.

– Słucham? – zapytał Franek, cały czas stojąc w miejscu. Poczuł ogromny ból we wnętrzu umysłu.

„To my zmieniliśmy tę planetę tak, abyście wy mogli normalnie na niej żyć. Teraz chcemy wrócić, żeby było jak dawniej”.

Dwa ostatnie komunikaty telepatyczne odebrał tylko Franciszek, ale Marcin nie miał żadnych wątpliwości, że cokolwiek przekazano jego współtowarzyszowi, nie było to nic dobrego dla nich ani dla milionów innych mieszkańców Ziemi.



– Trzeba wezwać wsparcie. Tylko pamiętaj, żadnych med... – Franciszek zaniemówił, kiedy obrócił się twarzą ku drzwiom wyjściowym, gdzie stał Cezary i wszystko filmował swoim telefonem komórkowym. Gdy tylko dostrzegł w jego oczach błysk, Cezary ulotnił się i zniknął w tłumie.

– Łap tego gnoja! – wrzasnął w stronę Marcina, a ten rzucił się w pościg za Cezarym.

\*\*\*

Cezary zdążył przeniknąć przez tłum i podbiegł ku wiacie przystanku Palmiarnia, gdzie było już zdecydowanie mniej ludzi. Wyciągnął telefon komórkowy i wystukał szybko numer.

– Słuchaj, mam temat życia. Przyjeżdżajcie szybko do galerii Focus Park, nie uwierzycie. Chyba pojawili się pierwsi obcy. Tak, tak, nie zwariowałem, mam wszystko nagrane. Jak słowo daję, przysięgam – mówił Cezary pośpiesznie, co jakiś czas się rozglądając.

Kiedy zauważył policjanta wyskakującego z ostatniego rzędu gapiów, krzyknął tylko do słuchawki: „Muszę kończyć!” i rozłączył się.

– Stać! Jest pan aresztowany w imieniu prawa – powiedział funkcjonariusz podniesionym głosem, patrząc na Cezarego z nienawiścią.

– Za co?

– Tajemnica państwowa – odparł policjant i już miał zamiar wyciągnąć kajdanki, gdy z placu Bolesława Chrobrego, prosto na Wrocławską, wjechał czarny bus, z widocznymi z daleka nalepkami na szybach – RTV Lubuska. Funkcjonariusz zmiął w ustach siarczyste przekleństwo i stanął w bezruchu, a Cezary wyszczerzył się zdradziecko.

– Nie powstrzyma pan wolnych mediów – odparł.

Uśmiech nie zniknął mu z twarzy.

\*\*\*

Godzinę później, na kilka dni przed Wigilią, temat Urzeczywistnionych i zielonogórskiej galerii handlowej był już obecny w wielu ogólnokrajowych mediach. Napawani przerażeniem ludzie siadali przed telewizorami i laptopami, obserwując stale zmieniające się zdjęcia Palmiarni, deptaku i Focus Parku.

Redaktorzy wieścili rychły koniec świata, ku niezadowoleniu gawiedzi i prześcigali się w próbach znalezienia odpowiednich synonimów do trwogi, jaka zapanowała w Zielonej Górze. Dziwadła wciąż pojawiały się i w krótkim czasie naliczono ich już ponad tysiąc. Prezydent miasta siedział w tym czasie przy swoim mahoniowym biurku, pocierając nerwowo podbródek i zasłaniając prawą dłonią usta.

W jego gabinecie przebywali również komendanci wszystkich zielonogórskich posterunków policji, a także członkowie rady miasta. Zgromadzone towarzystwo zerkało posępnie po sobie i wymieniało odgłosy zaniepokojenia.

Atmosferę w pomieszczeniu podgrzewał jeszcze fakt, iż z włodarzem Zielonej Góry skontaktował się sam prezydent Polski i nakazał zdecydowane działanie.

– Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Nie mamy większego wyboru. Musimy zainicjować działania o charakterze militarnym – odparł prezydent miasta i splótł ręce, uderzając nimi delikatnie o biurko.

– Panie prezydencie, ale może dojść wtedy do jakichś rozruchów na ulicach – stwierdziła członkini rady zielonogórskiej, ubrana w melanzową garsonkę, ze spiętymi w staromodny kok, kasztanowymi włosami. Jej jasnoniebieskie oczy promieniowały strachem.

– Jeśli tego nie zrobimy, ludzie sami oszaleją ze strachu – powiedział prezydent i zmierzył ją lodowatym spojrzeniem. Kobieta wycofała się i opuściwszy głowę, przyznała mu rację.

– Wyślijcie kilka przygotowanych patroli policyjnych. W pogotowiu niech czekają jednostki wojskowe. Macie mnie informować o każdym podjętym przez was kroku.

Prezydent wstał z drewnianego krzesła. Komendanci przytaknęli i opuścili jego gabinet. Atmosfera w powietrzu była tak gęsta, że można ją było ciąć nożem.

\*\*\*

Na terenie galerii handlowej policjanci utworzyli zwarty szyk – cztery rzędy po czterech funkcjonariuszy, nawzajem się ubezpieczających. Stali w bliskiej odległości od masy elfopodobnych przybyszy, których obecna liczba wynosiła już tysiąc dwieście. Nie wiadomo, skąd przybywali i jakim cudem materializowali się z nicości.

Kilkoro funkcjonariuszy wystrzeliło jednocześnie. Ku ich zdziwieniu, kule przeszły seledynowe uniformy istot, nie wywołując u nich najmniejszego uszczerbku na zdrowiu. Zupełnie tak, jakby to były duchy, wyimaginowane zjawy.

– Ja pierdolę – jęknął jeden z policjantów, nie dowierając własnym oczom. Wystrzelono kilka naboju, ale nic się nie stało. Elfopodobni nadal stali i wpatrywali się w nich.

Następni policjanci strzelali dalej, ale efekt był cały czas taki sam. Zero uszkodzeń. Naboje przechodziły przez kombinezony dziwadła i wbijały się tylko w ściany.

– Przerwać ostrzał! – wrzasnął któryś z funkcjonariuszy, podnosząc do góry ręce.

Kiedy pozostali go posłuchali, usłyszał w swojej głowie czyjś głos: „Słusznie”. Dźwięk, jaki sekundę później dotarł do uszu wszystkich zgromadzonych w galerii stróżów prawa, można było opisać jako symfonię miażdżonych po kolei skorupki jajek. Ku przerażeniu policjantów pistolety same zaczęły wyskakiwać im z rąk, jak gdyby natchniono je życiem.

„Wróciliśmy i chcemy tu zamieszkać”.

Tysiące telepatycznych wiadomości wbijało się w umysły funkcjonariuszy, jak siekiera w drewno. Zmaterializowało się sto kolejnych dziwadła. Elfopodobni zaczęli stawiać krok za krokiem w przód, w stronę policjantów, cały czas bombardując ich tymi samymi przekazami.

„Wróciliśmy i chcemy tu zamieszkać... wróciliśmy i chcemy tu zamieszkać... wróciliśmy... wróciliśmy”.

Szli nieprzerwanie. Tysiąc trzysta czarnookich. Tysiąc czterysta. Z każdą upływającą chwilą pojawiali się nowi i podążali śladem poprzednich. Policjanci, przy akompaniamencie okrzyków przerażenia, wybiegali kolejno z galerii i rozpraszali się, aby znaleźć się jak najdalej od tego festiwalu niewytłumaczalnych cudów.

„Wróciliśmy i chcemy tu zamieszkać... wróciliśmy”.

Telepatyczne komunikaty słyszeli już nie tylko przedstawiciele prawa. Dochodziły również do umysłów pozostałych obywateli Zielonej Góry. Kilka starszych kobiet zemdłało z wrażenia. Ktoś próbował jedną z nich ciągnąć po betonowej drodze, ale bał się, że zostanie stratowany przez rozbiegających się ludzi.

Piski różnych tonacji mieszały się, jakby były umieszczone w gigantycznym blenderze. Mieszkańcy siedzący na zielonych ławkach nieopodal Palmiarni ze zdziwieniem obserwowali przerażone, gwałtownie rozpraszające się tłumy. Niektórzy wyciągali telefony komórkowe i nagrywali całe zajście, a jeszcze inni robili zdjęcia.

\*\*\*

Prezydent chodził od ściany do ściany swojego gabinetu, gdy usłyszał podejrzane piski dochodzące zza okien, z zewnątrz. Zbita ludzka masa przesuwała się w błyskawicznym tempie po ulicy, pokrzykując, wymachując rękami, płacząc.

– Panie prezydencie, dzwoni jeden z komendantów. Tragedia, tragedia! – wrzasnęła sekretarka włodarza, wpadłszy do jego gabinetu bez pukania, wywołując na twarzy prezydenta zdumienie.

– Jaka tragedia? Co się stało? – zapytał, ale nie spojrział na nią, tylko rzucił się w kierunku telefonu stojącego na biurku. Sekretarka była biała jak ściana. Chciała coś powiedzieć, ale emocje zaciskały się na jej gardle jak sznur wokół szyi samobójcy.

– Co tam się dzieje? Raport! – krzyknął prezydent do słuchawki.

– Nie damy rady, naprawdę. To nie ma sensu... – mówił komendant i głos nagle rozpląnął się na linii. – Halo? Panie komendancie?! Halo!

Zanim wódarz odłożył słuchawkę na widelki, usłyszał ten dziwny, spokojny głos. Nie należał do komendanta, tego był pewien.

„Wróciliśmy i chcemy tu zamieszkać”. Powtarzał się, wciąż i wciąż. Jak stara, zacięta płyta.

– Halo, panie komendancie? Co się tam dzieje, u licha? Halo!

Ciągle ten sam głos.

„Wróciliśmy i chcemy tu zamieszkać. Wróciliśmy... wróciliśmy... wróciliśmy”.

Prezydent cisnął słuchawkę na widelki i podszedł do okna. Przyłożył prawą dłoń do ust i otworzył szeroko oczy. W kierunku budynku, w którym znajdował się jego gabinet, zmierzało właśnie kilka tysięcy elfopodobnych istot w seledynowych uniformach.

„Wróciliśmy i chcemy tu zamieszkać” – powtarzali jeden po drugim, cały czas, bez przerwy.

Słodki Jezu, pomyślał prezydent i wykonał w powietrzu znak krzyża. O dziwo bardziej bolała go świadomość, że nie spędzi tych świąt Bożego Narodzenia ze swoją rodziną niż fakt, iż nie dożyje następnego dnia.

rys. Czarek Marciński



# **W** MROKU SEMAFORÓW

Krystian Janik

## **PROLOG**

Mrok się sieje, dzień truchleje. Mrok się sieje, mrok się sieje. Mrok sływa na semafony. Pociąg Wrocław-Przemyśl, sypiąc iskry, wjeżdża w objęcia nocy. W Katowicach nie ma już słońca. Zostało w Zabrze. W Łąncucie powinno być jaśniej. Gdzieś w pobliżu przyczajony konduktor czeka, aż zasnę, żeby obudzić mnie i porazić moje złaknione snu oczy wyszczerzonymi kredowobiałymi zębiskami. Nawet jeśli nie zareaguję na bezczelne trącanie w ramię, to nic nie stanie mu na przeszkodzie, by zacząć szarpać za rękawy mojej marynarki. A jeśli szarpanina nie przyniesie oczekiwanego przez jegomościa rezultatu, to postąpi ze mną jeszcze bezczelniej niż poprzednio. Mianowicie odepnie przymocowaną do ściskającego granatowe spodnie skórzanego paska niewielką latarkę i wymierzy świetlisty strzał prosto w moje prawe oko. I wszystko po to, aby zadać najgłupsze pytanie, jakie może zadać konduktor, okrytemu pachnącą żywicą i papierosowym dymem peleryną Hypnosa pasażerowi:

- Bardzo pana przepraszam, ale czy sprawdzałem już panu bilet?
- Taak, sprawdzał pan.
- Ale czy na pewno? – dopyta podejrzliwie chłopina w granatowym uniformie.
- W Gliwicach, kurwa... – odpowiem najgrzeczniej, jak potrafię.
- Dziękuję panu bardzo – odpowie. A w myślach doda: *Kolorowych snów drogi pasażerze, bo w Mysłowicach wrócę i będę targał cię za szmaty. Tej nocy pociąg i twój sen należą do mnie.*

I właśnie takóŜ wszystko się odbyło: znowu przylazł, obudził, zapytał i poszedł szarpać za rękawy innych pogrąŜonych we śnie delikwentów. Nie miałem zamiaru wracać do słodkiej krainy sennych marzeń, albowiem moim obowiązkiem było czekać, aż jegomość w granatowym mundurku wróci, ŷeby sprawdzić, czy nie zasnąłem. Pomyślałem, ŷe najlepszą rzeczą jaką mogę teraz zrobić, będzie przemieszczenie się do wagonu dla palących i... wtedy zgasło światło.

## I

Pstryk! Światło zapaliło się, ale coś zmieniło się w moim wagonie. Pomalowane ceglastą farbą ściany pokryła czerwona tapeta, okraszona liliowymi wzorkami w kształcie przylegających do siebie trójkątów. Mocne i raŷące do tej pory światło przeistoczyło się w ledwo dychające, bladawe obłoki. W przedziale panował półmrok. Spojrzałem w szybę i ujrzałem za oknem sceny, których nigdy nie zapomnę. Widziałem odzianych w szare płaszcze ludzi, przedzierających się przez mokradła, którzy wracali do pachnących jaśminem domów, spełniwszy na rozstajnych drogach majowy obowiązek. Szli przez lasy, w których ucztowały zielonolice rusalki, mijali jeziora, spuszczać głowy na widok dziwoŷon piorących w zimnej wodzie swoje zdarte zębem czasu suknie. Przez gęstniejące ciemności prowadziło ich światło trzaskających w lampionach rozŷarzonych okruców. Nie mogąc zrozumieć tego, co zobaczyłem za szkłem, odwróciłem głowę. Wtedy ujrzałem siedzącą przede mną staruszkę, opatuloną w brązowy płaszcz zakrywający praktycznie całe mizerne ciało. Głowa kobieciny była szczelnie owinięta podwójnie złożoną ciemnoszarą chustą, spod której spoglądały na mnie dwa zielone, lecz wyblakłe kryształy. Twarz staruszki była pomarszczona i pokryta hebanową farbą, co sugerowało, ŷe moja towarzyszka podróŜy przez większość ŷycia pracowała w palącym skórę słońcu.

– Kochany panie, taki pan młody i krzepki. Oj, taki młody, taki młody, jak mój syn. On też był młody i krzepki, jak go Niemce zabrali do lasu i zastrzelili – odezwała się miodowym głosem przygarbiona staruszka.

– Przepraszam panią, ale skąd właściwie pani się tutaj wzięła? – zapytałem kobiecinę, która w tej samej chwili wyciągnęła z kieszeni płaszcza szmacianą chusteczkę i głośno wysmarkała nos.

– Kochany panie, proszę wysłuchać starej kobiety – odpowiedziała, jednocześnie ignorując moje pytanie.

– Dobrze... niech pani mówi, zamieniam się w słuch.

Starowina spojrzała przez okno i zaczęła snuć swoją opowieść:

– Patrz pan, tam, hen za okno. Tam, gdzie te stawy. Widzi młodzieniec?

– Tak, widzę.

– Na tej łące ongiś były cztery stawy, a tam w tych stawach gnieździły się strachy. Raz, to było jakoś tak na jesień... w październiku chyba, albo początkiem listopada... Jakoś tak to było, bo słońce wtedy jeszcze świeciło i grzało, ale już czuć było, że zima idzie, bo wiatr zimny wiał od północy. No, tam gdzie te stawy były, tam... – Wskazała zakrzywionym palcem znajdujące się za oknem wielkie wyżłobienie, porośnięte dookoła żdźbłami zroszonej trawy. – Tam jechał na koniu niemiecki żołnierz i wjechał pomiędzy te stawy. Coś tam w krzakach, co to rosły przy stawach, zaczęło drzeć się i ksykać, aż się koń zląkł i poderwał, a żołnierz poleciał na ziemię... a jak zleciał, to granat rozerwał mu plecy.

Stara kobieta snuła opowieść, a ja w tym czasie ponownie spojrzałem na odgrywające się ze szybą sceny, jakby wyjęte z minionych lat.

Czerń opadała na przydrożne krzyże, zlewała się z wodą w rzeczulkach, ukrywając niewielkie drewniane mostki. Przeszedłszy przez przegniłe dębowe deski, z których ułożone były dwa spojone w jeden mosty, nocni wędrowcy przyspieszyli kroku, aby jak najszybciej ominąć wydrążone w skałach pieczary.

– Patrz, no patrz, młodzieńcze. Tam, gdzie te grotty. W tych grotach mieszkały diabły. Zdarzyło się raz, jak wracaliśmy do chałupy z majówki, że jeden wyszedł nam na przywitanie i powiedział, że pokaże nam, jak dłonią dosięgnąć gwiazd. Wyobraża to sobie młodzian? Wszystkie żeśmy wtedy uciekły, a chłopcy to zostali z nim, ale w porę się opamiętali i też uciekli.

Noc rozsiewała na niebie gwiazdy. Pociąg rozsiewał iskry, dojeżdżając do Mysłowic, ale za szybą świat rządził się swoimi prawami. Tam, gdzie sięgał wzrok, roilo się od diabłów.

A były to diabły, które wyskoczyły z poematu reformackiego księdza Klemensa Bolesławiusza i ballad Adama Mickiewicza. Mojej zacnej towarzysze nieobce były diabły.

– Za siostrą mojej mamy na zabawie chodził chłopak, ale ona go nie chciała. Powiedziała mu, że wolałaby z diabłem pójść tańczyć niż z nim. On wtedy popatrzył na nią i się strasznie głośno zaczął śmiać. Śmiał się i nie mógł przestać, ale siostra moja machnęła na niego ręką i poszła do naszych chłopaków. Potem muzyka zaczęła grać, wszyscy zaczęli tańczyć. Ja też tańczyłam, kумы moje tańczyły, ciotka i chłopaki od nas ze wsi. Wszyscy tańczymy, a tu nagle siostra moja patrzy na tego chłopaka, a on na kopytach tańczy. A ona mu wcześniej powiedziała, że wolałaby z diabłem, wolałaby... a to diabeł był, prawdziwy... W imię Ojca, Syna, Ducha – wyszeptła staruszka, wykonując prawą dłonią znak krzyża. Nocni wędrowcy wracali do pachnących wędzoną kielbasą, kaszanką i słoniną domów. Pachniał też dziurawiec, dziki bez i truskawki. Dłonie rozgrzewał rozpalony w piecu ogień. Twarze zaś rumieniła wódka.

## II

Pstryk! Zgasło światło. Pstryk! Zapaliło się ponownie i znalazłem się w moim starym, ceglстым przedziale. Nie wiedząc, czy staruszka była zaświatową marą, czy może tylko wytworem mojej zaburzonej mrokami nocy percepcji, postanowiłem wynieść się z obecnie zajmowanego wagonu. Tak więc wstałem, wydobyłem z pomiętej paczki Cameli nieco pogniecionego papierosa i nie zważając, że jestem jeszcze w wagonie dla niepalących, włożyłem go do ust i odpaliłem zapalniczką. I tak z papierosem pomiędzy wargami i skórzaną torbą na ramieniu opuściłem wagon numer siedemnaście i zawitałem w puściuteńkim wagonie szesnastym. Zanim zdążyłem rozsiąść się wygodnie w fotelu, to... zgasło światło. Miałem już dosyć gasnącego światła, ale jeszcze bardziej niepokoiła mnie perspektywa jego ponownego zapalenia. Pstryk! I znowu się cholerstwo zapaliło! Tym razem znalazłem się w ciasnym wagonie, którego ściany pokrywała czerń, a szyby były zasłonięte ciemną firanką, przywodzącą na myśl żałobne kiry.

– Myśli pan, że kiedy życie zetrze nasze marne materialne powłoki na proch, to powrócimy piękniejsi i silniejsi? – zwrócił się do mnie siedzący naprzeciw jegomość.

Był to mężczyzna na oko czterdziestoletni, ubrany w kruczoczarny garnitur i ściśniętą pod szyją, także czarnym krawatem, białą koszulę. Włosy mojego nowego towarzysza były zaczesane do tyłu, ale na ich powierzchni dało się zauważyć smugę atramentowej emalii. Jego



twarz natomiast wyglądała, jakby spływała na nią poświata miesiąca. Hiszpański wąs i szpiczasta bródka upodabniały jegomościa do filozofa lub inkwizytora.

– Zadałem Panu pytanie, ale najwidoczniej nie jest pan zbyt rozmowny. Czyżby w pociągu szukał pan tylko snu? – zareagował na moje milczenie szpiczastobrody.

– Yyyy... proszę mi wybaczyć, ale nie wiem, czy dobrze pana zrozumiałem – odpowiedziałem zmieszany. – Wydaje mi się, że istnieje życie pozagrobowe, ale nie potrafię... Wie pan, nigdy nie miałem żadnego doświadczenia... – bełkotałem od rzeczy.

– Nigdy nie widział pan zmarłych? Czy to pan chciał powiedzieć?

– Taak.

– Mój panie, nie widzi pan zmarłych, ale zmarli pana widzą. Każdego dnia przeciska się pan przez miliardy dusz, które szukają swego miejsca. Każda dusza, która opuściła swe ciało, po jakimś czasie – czy będzie to dzień, dwa, czy też kilka, czy nawet kilkaset lat – połączy się z fizycznym bytem, do którego została przeznaczona w chwili narodzin, a może jeszcze wcześniej, w innym świecie. To, o czym mówię, zowie się metempsychoza – wielka wędrówka dusz ludzkich w poszukiwaniu materialnych kadłubów.

Słuchając mojego towarzysza, poczułem, że zaczynam się pocić. Na moim czole pojawiły się gorące krople i zaczęły spływać po twarzy. W wagonie zrobiło się niewyobrażalnie parno, jeszcze nigdy nie miałem do czynienia z tak wysoką temperaturą. Było tak gorąco, że przez chwilę myślałem, iż moja skóra zacznie się rozpuszczać. Gorąca atmosfera nie przeszkadzała jednak szpiczastobrodemu w snuciu opowieści szytej grubymi nićmi filozofii i religii. Mężczyzna uniósł zasłaniające okno żałobny kir i rzekł:

– Proszę wyjrzeć. Proszę się nie bać, nic panu nie grozi – uspokoił mnie, widząc, że jeszcze się waham. – Niech pan spojrzy na niosącą dziecię kobietę.

Wlepiłem wzrok w szybę i spostrzegłem, że wcale nie znajdujemy się w Mysłowicach, tylko w jakiejś kompletnej odrealnionej rzeczywistości.

– Gdzie my w ogóle jesteśmy? – zapytałem mojego kompana.

– W Groniu, mój przyjacielu, jesteśmy w Groniu.

Nie mogąc pozbierać myśli, a także znaleźć odpowiedzi na kłębiące się pod czaszką pytania, ponownie wlepiłem wzrok w to, co przebiegało za oknem. Widziałem ogromne sosny sięgające szpicami aż do chmur, których majestat przyprawiłby o drżenie nawet najśmielszego z podróżnych. Widziałem wierzby o korze imitującej wykrzywione grymasem bólu ludzkie twarze. Ujrzałem także ją – kobietę niosącą na rękach niemowlę. Piękna, może dwudziestolatka, wydawała się sterylnie czysta. Zbyt czysta, aby była prawdziwa, aby mogła żyć. Skóra jej twarzy i odsłoniętych dłoni świeciła śnieżną bielą, suknia jej wydawała się być

utkana z płatków . Mrozącą krew w żyłach postać zwiędzały płomienie, albowiem kolor jej włosów był czerwony, ale tak intensywnie czerwony, jakby ktoś podpalił krew. Biała dama przytulała do piersi owinięte w śmiertelne płótno dziecko, którego małeńkie czoło szpeciła paskudna blizna w kształcie pięcioramiennej gwiazdy obróconej rogami do góry.

– Ofiarowała swe dziecię piekielnemu bóstwu, Bafometowi – odezwał się szpiczastobrody. – Była żoną potężnego maga zamieszkującego najwyższy szczyt Tatr. Człowiek ów, przepełniony żądzą odkrycia tajemnicy dualności świata, zwrócił się o pomoc do Bafometa, obiecując mu w zamian swego pierworodnego syna. Tak, mój panie, to co rozwiązane należy związać.

Krocząca pomiędzy wierzbami kobieta przyłożyła do oczu chustę i zebrała z powiek krwawe koraliki łez. Pociąg sunął dalej i dalej, ale obraz za oknem stał zakłęty w miejscu. Za plecami kobiety pojawiło się mnóstwo odzianych w białe szaty postaci o bladych twarzach. Nocny pochód widm zmierzał w stronę potężnej katedry, z oddali zaś dało się słyszeć przeraźliwy skowyt.

– To pieśń Bafometa. Wsłuchaj się w jego głos, o którym wtajemniczeni mawiają, iż został wyszlifowany w kamieniach mogił. Za każdym razem, kiedy ciszę nocy przetnie głos Bafometa, w kościołach nazajutrz kreślone są nekrologi – rzekł w zamyśleniu mężczyzna w czerni.

– Ale... przecież to nie dzieje się naprawdę – wydusiłem ochrypniętym głosem.

– Wszyscy jesteśmy uwięzieni w wielkim kole narodzin i zgonów – odparł mój towarzysz. – W kole, którego wnętrze wypełnione jest duszami zmarłych, a przeszłość i przyszłość wzajemnie się przenikają. Teraźniejszość to efemeryczna iluzja wymyślona przez ociężałych na umyśle hochsztaplerów. Teraźniejszość nie ma prawa bytu, albowiem, to co właśnie zobaczyłeś, to odtwarzana przeszłość, która nigdy nie zdoła się rozpuścić i zawsze będzie elementem przyszłości. Tak więc teraz to kiedyś. Teraz to śmierć, to trup, to gnicie i rozkład.

Lampy w wagonie obsiadły ćmy. Duszna atmosfera pompowała i malowała na wiśniowo moje policzki. Szpiczastobrody mężczyzna rozpływał się w gęstniejącej mgle. Najwyższy czas zmienić wagon.

### III

Wagon numer trzynaście. O tak, to wystarczająco daleko. Kiedy przechodziłem przez pociąg kilkakrotnie gasło i zapalało się światło, więc tak naprawdę nie wiedziałem, co mnie

czeka w wagonie trzynastym. Miałem jednak nadzieję, że nie spotkam w nim żadnej widmowej postaci.

– Kochany chłopcze, proszę usiądź obok mnie – zwrócił się do mnie odziany w alabastrowe futro mężczyzna. – Nie lękaj się wariata, wszakże wariatów się nie wybiera. Cha! Cha! Cha! Z wariatami się koegzystuje! – krzyknął, wybuchając głośnym śmiechem, mój nowy towarzysz.

Był to człowiek w wieku pięćdziesięciu lat, może trochę starszy. Jego alabastrowe futro uzupełniał czarny podłużny beret i okrągłe okulary z przyciemnianymi szkiełkami. W prawej obleczonej w czarną, skórzaną rękawiczkę dłoni trzymał wyrzeźbioną z kości słoniowej fajkę, natomiast w lewej dzierżył monumentalnych rozmiarów róg wypełniony po brzegi gorzałką.

– Czy pan jest prawdziwy? – zapytałem, przecierając zmęczone oczy.

– Prawdziwa jest tylko czysta forma! – odpowiedział podekscytowany.

– Czyżby nazywał się pan...

– Ptaszyno moja! – nie pozwolił mi dokończyć. – Posłuchaj, bo chciałbym ci o czymś opowiedzieć. Cha! Cha! Cha! Obudziłem się wczoraj przed południem w góralskiej chacie... Cha! Cha! Cha! – zaśmiał się, a następnie pyknął kilkakrotnie ze swojej białej jak śnieg fajki. – Tak, obudziłem się, tak, a obok mnie leżało piękne i zupełnie pozbawione ubrania dziewczę. Pierś jej zachwyciłaby niejednego Rubensa. Cha! Cha! Cha! Posłuchaj mnie... moja dama, moja święta... zrozumiała wszystko, co chciałem jej powiedzieć, ale zabrakło mi odwagi... zabrakło narkotyków, tak, narkotyków przede wszystkim! Ech, no czort nie kobieta!

Wpatrując się w wypełniony gorzałką róg, spostrzegłem, że z góry coś kapie, więc podniosłem głowę i zobaczyłem na suficie ogromny naciek, z którego sączyła się krystalicznie czysta woda. Krople spadały prosto pod nogi mojego towarzysza i zamarzały w mgnieniu oka, tworząc na podłodze lodową kałużę. Spojrzałem w okno, żeby przekonać się, co uległo zmianie na zewnątrz, ale nie ujrzałem nic, albowiem szybę pokrywała gruba warstwa szronu. Nie mogąc powstrzymać ciekawości, zacząłem go zdrapywać.

– Ech, do czorta! Mówię ci, czort nie kobieta! Czort! Cha! Cha! Cha! Czort! A piękna jak przytłoczona śniegiem limba!

Mój roześmiany kamrat, widząc, że bardziej niż jego przemową interesuję się zdrapywaniem szronu z szyby, odłożył fajkę i prawą ręką sięgnął pod futro, z którego wydobył po chwili wieczne pióro. I wtedy stało się coś zupełnie nieoczekiwanego – o ile tej nocy można było mówić o czymś oczekiwanym. Dżentelmen odkręcił stalówkę, po czym pozostałą część pióra przyłożył sobie do lewej dziurki u nosa i intensywnie pociągnął nosem.

Następnie ten sam zabieg powtórzył, tyle że z prawą dziurką. Spojrzałem w jego stronę, a on zamocował stalówkę i schował pióro do kieszeni znajdującej się po wewnętrznej stronie futra. Zanim wyciągnął na wierzch dłoń, pogrzebał jeszcze chwilę w kieszeni i wyciągnął z niej karty.

– Hej! Mój kochaneczku! Może partyjkę w faraona? – zwrócił się do mnie, odsłaniając ścięte równo, mlecznobiałe zęby.

– Niestety, jeśli chodzi o gry karciane, to jestem kompletnym laikiem – odparłem zgodnie z prawdą.

– Cha! Cha! Cha! I niech tak pozostanie, niech tak pozostanie! Wiesz, co zgubiło Dostojewskiego? – zapytał.

– Z pewnością karty – odpowiedziałem bez mniejszego zawahania.

– Tak, karty, karty. Ech, czort z ciebie! Karty i ruletka. A nas co zgubi? – Nim dokończył zrobił kilkusekundową pauzę: – Nas zgubią ludzie Wschodu!

Wypowiedziawszy te słowa, mój kompan zamilkł i pociągnął z rogu obfitości spory haust płaczącego myśli trunku. W wagonie nagle zrobiło się przeraźliwie zimno. Pokryte szronem szkło zaczęło pękać i spadać na podłogę. Kapiąca z góry woda zamarzała w locie, tworząc łączący sufit z podłogą sopel. Za roztrzaskanym oknem tajemniczość roztaczała swe skrzydła. Czerń nieba rozlewała się na pokrytych śniegiem ścieżkach. Czasami można było usłyszeć miauczenie wygłodniałych kotów.

Pstryk! Światło zgasło.

#### IV

Światło – element, którego brakowało strąconemu przez Pana Zastępów z niebios Lucyferowi i jego zbuntowanym kompanom w piekle – ponownie się zaświeciło. Tym razem, zanim jeszcze ujrzałem mojego nowego towarzysza, usłyszałem przeraźliwy ryk. Moim oczom ukazał się ogromny czarnożółtorudy kocur. Szyję drapieżnika zdobiła kryza gęstej sierści, natomiast boki szczęki i podbródek zwierzęcia porastały futrzane bokobrody; czubki szpiczastych uszu wieńczyły czarne pędzelki, a jego żółtozielone oczy świeciły niczym latarki. Kot rzucił na mnie pełne wyższości spojrzenie i szybkim skokiem znalazł się na przeciwległym fotelu, na którym siedział – niezauważony przeze mnie do tej pory – odziany w czarny płaszcz szpiczastobrody jegomość. Ale nie był to ten sam mężczyzna, którego spotkałem w wagonie numer szesnaście.

– Już dobrze, mój niosący światło przyjacielu, ten pan jest naszym przyjacielem – zwrócił się do kota mężczyzna.

– Przepraszam, czy to pana kot? – zapytałem niemądrze, aby tylko dowiedzieć się czegoś więcej o nieznanym w czerni, którego najjaśniejszym elementem była niemal doszczętnie wyłysiała głowa.

– Tak, mój przyjacielu, ale to nie jest zwykły kot, to *lynx*, czy jak wolisz z polska: ryś – odpowiedział melancholijnie mój współpasażer.

– Proszę pana, najpierw zgasło światło... potem w moim przedziale znalazła się stara kobiecina, potem zmieniłem przedział i spotkałem bardzo podobnego do pana człowieka, natomiast...

– Tak, mój przyjacielu – przerwał jegomość i dodał: – To dziwna noc. Taka noc zdarza się tylko raz w roku, to *Walpurgisnacht*, noc Walpurgi. Tej nocy, mój przyjacielu, w najdzikszych borach niejednego wędrowca, który zgubił drogę, spotka strzygi i upiory. Tej nocy mogą nawet zgasnąć wieczne gwiazdy.

– Czy jest pan jednym z nich?

– Upiorem? Tak – – jestem upiorem – – Ja i Ona – – Jam upiór i Ona upioryca – – Łakniemy krwi przyczajeni w mroku gwiazd.

– Kim ona jest?

– Tobą i mną. A imię jej Ojczyzna. Jej serce ustało i złożona została w grobie, ale przebudziło się jej drugie serce i powstała z martwych. Rozumiesz, o czym mówię? Żyjemy w łonie ożywionego trupa, który pragnie zemsty i krwi! – – krwi! – – krwi! Wysysa z nas krew i sami stajemy się wampirami.

– Wydaje mi się, że rozumiem, ale moje myśli mąci strach i pragnienie powrotu do rzeczywistości – odpowiedziałem wzbudzającemu jednocześnie sympatię i lęk człowiekowi.

– Rzeczywistość nie powróci, bo od kiedy została nazwana, rozpada się. Świat, mój przyjacielu, czeka kosmiczna katastrofa i wiekuista ciemność. Obydwaj tkwimy uwięzieni w piekle i nie znajdziemy z niego wyjścia. Polarna noc rozpościera nad naszymi głowami swe skrzydła, bo wszyscy jesteśmy zbrodniarzami. Wiedział o tym Szatan. Wiedział też Anelli. Wiedzieli wszyscy ci, którzy spłonęli na jarmarcznych paleniskach chrześcijan.

– A może śnię tylko nazbyt realny sen? – zapytałem sam siebie, coraz bardziej przestraszony, że może nie jest to tylko sen.

– To świat, który się rozpada. Świat, w którym wolno nam tylko śnić. Szczęśliwy stanie się ten, któremu będzie dane umrzeć we śnie. A teraz, mój przyjacielu, zagram dla

ciebie na harfie snów. Nim orlęta wylecą z gniazd – – nim mrok opuści szmaragdowe jeziora  
– – nim na trąbach śmierci zagrają Serafinowie – – nim Helios pogna na rydwanie swym – –  
Wrócisz do swoich.

## EPILOG

Obudziłem się dopiero w Przemyślu. Słońce ogrzewało semafony. Nie wiedziałem, czy śniłem przez całą noc fantastyczne sny, czy to, czego doznałem po zmroku, było jawą. Te wszystkie fantasmagoryczne obrazy i widmowi goście... Kim byli. Skąd przyszli?

Opuściwszy przedział, udałem się w kierunku wyjścia. Zanim zdołałem wysiąść z pociągu, zaczepił mnie jeszcze konduktor, ale nie był to ten złośliwiec z nocnej zmiany. Wysoki i jednocześnie niezwykle chudy, spojrzał prosto w moje przekrwione oczy i rzekł:

– To, co widziałeś i słyszałeś dzisiejszej nocy, powinieneś spisać dla pamiętki.

– Tak, zrobię to – odpowiedziałem mechanicznie i takż właśnie uczyniłem.

Od tamtej pory, jak diabeł wody świeconej, unikam nocnych pociągów.

rys. Roman Panasiuk



WDŻ

Michał Stonawski

I

### Martynka

Ten czwartek miał być niezwykły. Tak niezwykły, że Martynka sama z siebie wstała dwie godziny wcześniej niż zawsze (czyli w okolicach piątej rano), po czym poszła obudzić rodziców. Najpierw mamę, wyciągniętą niczym kotka na dużym, dwuosobowym łóżku, na którym miejsce obok zajmowała jedynie domowa kicia (w podobnej pozycji); potem ojca, skulonego na kanapie w pokoju obok. Rodzice od dawna nie spali już razem. Martynka nie widziała w tym nic złego, więcej nawet – kiedy któreś dzieci w przedszkolu mówiło o swoich rodzicach spędzających noc w jednym łóżku, dziewczynka czuła obrzydzenie, którego nie powstrzymało nawet tłumaczenie jej mamy.

– Musisz to zrozumieć kochanie – mówiła, nie przerywając mycia naczyń. Gęsta piana podchodziła jej aż pod łokcie. Wyglądało to, jakby ubrała puchowe, mieniące się kolorami tęczy długie rękawiczki, co bardzo się dziewczynce podobało. – W niektórych domach tego typu praktyki są ciągle kultywowane. Kobieta śpi w łóżku swojego męża jak jakaś własność. U nas tego nie ma, bo oboje z ojcem uznajemy równość płci.

Mówiąc to, schwyciła drapieźnie jedną ręką brudną miskę po pierogach, drugą zaś drucianą myjkę. Silnymi ruchami zaczęła ścierać wżarty brud. Krew nabiegła jej do twarzy, brwi zmarszczyły się w gniewie, na szyi pokazała się gruba, nabrzmiąca żyła. Zawsze kiedy Martynka widziała mamę w tym stanie, miała ochotę uciekać. Teraz też cofnęła się nieco.

– Musisz pamiętać – wydyszała gniewnie rodzicielka. – Nigdy. Nie możesz. Być. Niczyją. Własnością!

Brud nie miał szans wobec takiego traktowania, zszedł cały, razem z częścią obrazka na dnie miski, przedstawiającego czerwone wiśnie w otoczeniu liści laurowych. Tamtego dnia Martynka zapamiętała udzieloną przez mamę lekcję, chociaż nie do końca ją rozumiała.

Żadne z rodziców nie było zachwycone, kiedy mała obudziła ich godzinę przed budzikami stojącymi przy ich łóżkach; gdy jednak zobaczyli podniecenie dziewczynki, spróbowali ją zrozumieć. Czwartek szykował się niezwykle, ponieważ tego dnia miała dowiedzieć się o seksie.

Martynka słyszała o seksie wiele razy, czy to w filmach, czy przy okazji rozmów rodziców, ale nigdy nie została wtajemniczona, zaś matka i ojciec wyjątkowo zgodnie twierdzili, że do tej wiedzy musi dorosnąć. To, że teraz miała zostać wprowadzona w ten nowy świat, świadczyło, iż osiągnęła kolejny etap w drodze do dorosłości. Miało się to stać w przedszkolu, do którego na specjalne zaproszenie przyjeżdżała „pewna pani”. Dziewczynka była wyjątkowo dumna także z tego, że to właśnie jej mama uczestniczyła w kontakcie pomiędzy władzami przedszkola a „pewną panią”. Sama zresztą podkreślała przez ostatnie parę miesięcy, że gdyby nie ona, to placówka Martynki nigdy nie trafiłaby na listę. To, że w ogóle istniała jakaś lista było oczywiście wyjątkowo nobilitujące, oznaczało bowiem, iż tak przedszkole, mama, jak i sama Martynka znalazły się w pewnym zamkniętym, wysoko postawionym gronie. Tak przynajmniej mówiła rodzicielka, a jej słowom nikt w domu nie mógł się sprzeciwić – oczywiście, nie dlatego, że to ona rozdawała karty, ale ponieważ była mądrzejsza i w większości spraw miała rację.

– Nie jestem przekonany, że to odpowiedni sposób, by... – zamruczał w czasie śniadania tata. Zabulgotał właściwie, bo powiedział to w czasie picia kawy, bardziej do kubka niż w stronę reszty członków rodziny.



Oczy żony zrobiły się nagle ciasne jak szparki. Tak samo uczyniła też jej córka, nawet kot, zwinięty do tej pory na krześle przy stole, podniósł głowę zaciekawiony.

– By co? – przerwała mu. – By co, kochany? Martusia jest wyjątkowo rozwinięta. Pozostałe dzieci też na tym skorzystają, co więc chciałeś powiedzieć?!

– Nie, nic, kochanie, nic. – Podniósł dłonie w pojednawczym geście. – Mówiłem do siebie, wiesz, robimy w firmie nowy projekt i...

– A tak, firma! – zawołała tryumfalnie. – Wiedziałam! Nawet przy śniadaniu nie możesz skupić się na rodzinie, która nic cię nie obchodzi! Albo chociaż udawać, że myślisz!

– Ktoś musi zarabiać pieniądze... – powiedział ciszej, prawie niedosłyszalnie.

– Ja też zarabiam pieniądze, więcej niż ty w dodatku! Poza tym, kto ci tę pracę załatwił? Kto poszedł prawie na klęczkach do starego kolegi ze studiów, byś mógł sadzać dupsko w jego firmie? No?! To dzięki mnie nie jesteś ciągle bezrobotnym trutniem. – Wymierzyła w niego drżący palec. – Teraz, kochany, jesteś trutniem pracującym!

Truteń zamilkł i uciekł wzrokiem gdzieś w bok. Martynka przypatrywała się całej scenie z zafascynowaniem. Jej matka tryumfalnie sięgnęła po pomidora i ugryzła jak jabłko. Czerwony sok pocięła jej po podbródku.

\*\*\*

– Kim jest ta pani, mamuś? – zapytała w drodze do przedszkola Martynka.

– Jaka pani? – Matka obróciła się z przedniego siedzenia, jednocześnie skręcając na skrzyżowaniu. Ktoś zatrąbił przeciągle, ale nie zwróciła na to uwagi.

– Ta, która przyjdzie do przedszkola.

– Aaa! Ta pani! – Zapatrzyła się w uliczny korek. – To moja dawna koleżanka, jeszcze z liceum. Teraz jest naprawdę wielką kobietą, pełni ważne, społeczne funkcje, była nawet w telewizji, uczestniczyła w ważnych dla przyszłości naszego kraju debatach, wiesz?

Dziewczynka wyobraziła sobie potężnych rozmiarów kopię mamy, siedzącą za stołem i grożącą wielkim paluchem tym wszystkim nudnym ludziom, których lubił oglądać jej ojciec. Pokraśniała, a w żołądku poczuła miłe ciśnienie. Już niedługo miała ją poznać!

– Jak duża jest ta pani? – zapytała jeszcze.

– Co? – zdziwiła się kobieta. Zaraz później zaśmiała się perliście. Kiedyś z podsłuchanej, wieczornej rozmowy rodziców wynikało, że to właśnie tym śmiechem jej mama „wyrwała” tatę. Mała chyba rozumiała, czemu. – Nie, nie. To, że jest wielka, to

przenośnia, kochanie. Jej wielkość drzemie w tym, co mówi, nie w tym, jak wygląda. Duże kobiety nie wyglądają ładnie.

– Czyli jest mała? – zapytała dziewczynka.

Matka kiwnęła z uśmiechem głową. Przez chwilę na jej twarzy zagościł dziwny wyraz, którego córka nigdy jeszcze nie widziała.

– Malutka.

\*\*\*

„Pewna pani” rzeczywiście okazała się wyjątkowo małą kobietą. Kiedy odprowadzana do samych drzwi sali Smerfetek Martynka wbiegła do środka, „pewna pani” już tam była, rozmawiając z Anią, opiekunką grupy. Zobaczyła mamę dziewczynki, natychmiast przestała mówić i niemalże podbiegła do niej. Obie panie mocno się uściskały i wycalowały w kąciuki ust. Matka Martynki musiała przy tym się pochylić, choć sama nie była znacznych rozmiarów. Szczerze powiedziawszy, jej koleżanka z liceum mogła mieć co najwyżej metr pięćdziesiąt wzrostu i budową ciała przypominała bardziej dziecko niż osobę dorosłą. Z jednym wyjątkiem – ciemny pulower krył w sobie sporych rozmiarów piersi. Tak duże, że z pewnością musiały przesłaniać właścicielce widok jej własnych stóp. Dziewczynka zapatrzyła się w nie zafascynowana.

Kiedyś, kiedy jeszcze była w początkującej grupie „Grzybków”, a nie „Smerfetek”, udało jej się podejrzeć mamę w czasie kąpieli – taty nie było w domu, więc dziewczynka bez obaw położyła się na ziemi pod drzwiami łazienki. W tej pozycji mogła obserwować myjącą się kobietę przez mały, zakratowany lufcik znajdujący się przy podłodze. Poraziło ją to, co zobaczyła; poniżej łagodnych linii barków znajdowały się średnich rozmiarów piersi o dużych, nabrzmiąłych brodawkach, otoczonych szerokimi aureolami. Z rosnącym napięciem śledziła błędzące po ciele namydlone dłonie matki, które zjeżdżały coraz niżej, wzdłuż mostka, zatrzymując się przez chwilę na płaskim (lecz nie pozbawionym przyjemnej warstewki tłuszczu) brzuchu, by tam zatoczyć parę okręgów i dalej, w stronę niemal całkowicie wygolonej szparki, jak nazywała to miejsce dziewczynka. Z tą różnicą, że szparka jej mamy była duża, nabrzmiała, różowiotka, a od góry przyozdabiał ją wąski paseczek włosów – kolejna rzecz, której dziewczynka nie posiadała. Westchnęła cicho, na poły z niemal nabożną czcią, na poły ze smutkiem. Podświadomie rozumiała, że na swój paseczek i piersi będzie musiała poczekać jeszcze długo. Sama sobie wydała się w tym momencie odrażająca, nieprzyjemnie płaska i kwadratowa. Nigdy nie powiedziała mamie o tym

wydarzeniu. Teraz, patrząc na „pewną panią”, była ciekawa, jak wyglądają jej aureole i szparka. Była pewna, że inaczej niż u mamy.

Nowa pani zamieniła parę słów z rodzicielką dziewczynki, po czym tamta pomachała im obu i wyszła z pomieszczenia. Pani zaś podeszła do witającej się z koleżankami Martynki i pogłaskała ją po głowie. Miała miłą, niemal dziecinną twarz otoczoną czarnymi włosami do ramion. Od razu się dziewczynce spodobała.

– Więc to ty jesteś ta Martynka, o której tyle słyszałam od Beaty. Twoja mama chwaliła się, jaką ma rezydentną małą. I widzę, że miała rację.

Wyjęła z kieszeni cukierka i podała dziewczynce.

– Tylko cii, nie mów o tym nikomu, bo inne dzieci się dowiedzą!

– Dziękuję pani! Dziękuję, dziękuję! – Martynka podskakiwała w miejscu.

– Zaraz dostaniesz więcej, obiecuję. – Ciemnowłosa mrugnęła do niej porozumiewawczo, po czym odeszła, by zamienić parę ostatnich słów z panią Anią.

\*\*\*

Dzieci były zafascynowane. Jedne siedziały po turecku, inne kiwały się w przód i w tył, śmiały, dogadywały. Przed nimi, na podłodze, leżał wielki arkusz papieru i kredki. Na arkuszu namalowane były „sisiorki” i „pisie”, jak je nazwała „pewna pani” każąca do siebie mówić Basia. Jedne narysowane były przez nią (wielka pisia i mały sisiorek), inne, dosyć nierówne i pokraczne – przez dzieci. Przed każdym, kto narysował swoją część ciała (chłopcy musieli rysować pisie, a dziewczynki sisiorki), leżał cukierek. Pani Basia wyjaśniła też zasady – przedszkolakom nie wolno było zjeść smakołyków, aż nie uzbierają pięciu, albo dopóki czas ich spotkania się nie skończy. Nikt zresztą nie myślał w tej chwili o cukierkach, wszyscy z zafascynowaniem patrzyli, jak nowa pani wyciąga z kartonowego pudła ubrane tylko w majtki lalki.

– A teraz... – Uśmiechnęła się. – Kto chce ściągnąć im majtusię?

Przez chwilę patrzyła w skupieniu na las rąk.

– Martynko, proszę. I ty, Piotrusiu.

Martynka drżącymi rękami rozebrała lalkę. Jej szeroko otwartym oczom ukazał się męski członek we wzwodzie. Siedzący obok Piotruś ze skupieniem wsadzał mały palec w szparkę swojej zabawki.

– Znakomicie! A teraz, jak myślicie, co lalki powinny zrobić?

Dziewczynka była z siebie dumna. Pozostałe dzieci aż westchnęły, kiedy członek wszedł w szparkę jak idealnie dopasowane puzzle. Pani miała tylko jedno „ale”.

– Nie, nie, kochanie. Kobieta musi być na górze... O bardzo dobrze. A teraz niech się ruszają. – Pokazała, gestykulując. – I tak, i tak, do przodu... Dobrze!

Podawała obojgu cukierki i uśmiechnęła się tajemniczo.

– A teraz jak myślicie... czy ten pan mógł być panią?

– On miał sisiorka! – zaprotestował Piotruś.

Pozostałe dzieci natychmiast podchwyciły okrzyk.

– On miał sisiorka, on miał sisiorka!

Pani tym razem się nie uśmiechnęła.

– Oddajcie swoje cukierki. Wszyscy. – Widząc drżące usta niektórych, dodała szybko:  
– Odzyskacie je za chwilę, obiecuję. Zobaczcie.

Podniosła pana lalkę, chwyciła za sterczącego penisa i szybkim ruchem zdemontowała go. Rozległ się trzask i niektórzy z grupy wydali okrzyki przerażenia, które zamieniły się w westchnienie, kiedy oczom dzieci ukazała się kolejna szparka. Pani pokazała obie lalki.

– Teraz są takie same, ale dalej mogą się przytulać, prawda? I powinny też móc wychowywać dzieci, by do przedszkola chodziły takie wspaniałe szkraby jak wy. Ale, co by było, gdyby jedna z tych pań chciała zostać chłopcem? Małgosiu, chciałabyś czasem być chłopcem? Bawisz się autkami, prawda?

Wskazana dziewczynka poróżowiła na twarzy.

– T-tak, proszę pani...

Pani Basia podała jej lalkę i członek. Mała niepewną ręką przymocowała jedno do drugiego. Chwilę później trzymała w małej garstce aż dwa cukierki. Tymczasem opiekunka wyjmowała z pudła następne rzeczy: ubrania, sukienki, spodnie i peruki.

– Kto ma ochotę na zabawę? Małgosia chciałaby być chłopcem, ale może któryś z chłopców chciałby być dziewczynką? – Uśmiechnęła się, a ręce poszybowały w górę.

Pół godziny później zmęczone, ale szczęśliwe dzieci usiadły na dywanie w kółku. Niektóre jeszcze dyszały po zabawie w berka, która polegała na tym, że kto został złapany, musiał szybko zmienić płęć i dopiero wtedy mógł łapać dalej. Dając im odpocząć, pani Basia pokazywała różne zdjęcia z paniami, które kiedyś były paniami, oraz z paniami, którzy kiedyś byli paniami. Potem rozdała przedszkolakom poduszki, by było im wygodniej i rozmawiali o ważnych sprawach, o których zwykle rozmawiają dorośli. Wszystkie dzieci były dumne, z poważnymi minami mówiąc o nietolerancji i równości płci. Wszysey z podziwem patrzyli

na Martynkę (chwilowo Adasia), która opowiadała o równości w jej domu, a za swoją wypowiedź dostała aż dziesięć cukierków.

– Na koniec – pani Basia zawiesiła na chwilę głos, by wysłuchać zawiedzonych okrzyków – mam dla was pewną bajkę. Chcecie posłuchać?

Cała grupa pokiwała głowami.

– Była sobie pewna dziewczynka, Zosia. Pewnego razu przy śniadaniu zobaczyła, jak jej mama czyta gazetę. Zosia była bardzo dumna z mamy, bo mama była wspaniałą kobietą, która radziła sobie w życiu i nie był jej do tego potrzebny żaden mężczyzna. Tego dnia Zosię zaciekało w gazecie wielkie zdjęcie na pierwszej stronie.

Przerwała, by wyjść z pudła wycinek, i pokazała go wszystkim.

– Takie jak to. Zdjęcie przedstawia polityków, osoby, które decydują o losie świata. Co myślicie o tym zdjęciu?

– Jest tylko jedna pani! – zgodnie wykrzyknęły dzieci.

– Tak... to prawda! – Wyglądała na zaskoczoną tym odkryciem. – Jesteście chyba najmądrzejszą grupą, jaką miałam! I wiecie co? Moją ulubioną! Jak więc sądzicie, czy to dobrze, że na tym zdjęciu jest tylko jedna pani?

– Nie! Niecee!

Nowe cukierki powędrowały do odpowiadających.

– A jak myślicie, czy to znaczy, że kobiety nie lubią rządzić? A może... Może im nie wolno? Myślicie, że świat byłby lepszy, gdyby było ich więcej w polityce?

Dzieci już miały odpowiedzieć, gdy pani podniosła rękę, dając znak, by były cicho.

– Przemyślcie to w domu. Odpowiedzcie mi w przyszłym tygodniu.

Uśmiechnęła się, słysząc zawiedzione okrzyki.

– Muszę jeszcze odwiedzić wiele dzieci jak wy, choć nie tak grzecznych. – Mrugnęła wesoło i wstała, co nie przyniosło znacznej zmiany w jej wysokości. W tym momencie była jednak dla nich najwyższą kobietą świata.

Kiedy zawołała ich starą panią, zaś sama sięgnęła po płaszcz, przedszkolaki rzuciły się na nią, obejmując ją i krzycząc, by nie odchodziła. Jeszcze przynajmniej dziesięć minut żegnała się ze wszystkimi, szczególnie z Martynką, której spadła peruka i przestała być Adasiem. Dziewczynka skorzystała z okazji, by przytulić się do dużego biustu kobiety. W odpowiedzi pani poklepała ją po pupie kilka razy, ale nie tak, jak mama, kiedy dziewczynka była niegrzeczna.

– Obiecuję, że przyjdę do was w przyszłym tygodniu! – krzyknęła jeszcze w drzwiach, a wszystkie dzieci były pewne, że do tego czasu strasznie się zestarzeją.

Wieczorem, kiedy mama odebrała ją z przedszkola, Martynka z rumieńcami podniecenia relacjonowała jej cały dzień.

– I... i... byłam Adasiem! Miałam spodnie i w ogóle, pistolet!

– Nonono – odparła mama. – Naprawdę? A duży był ten pistolet?

– Wieeeelki!

Miało minąć parę lat, zanim dziewczynka zrozumiała, czemu rodzicielka wybuchła wtedy śmiechem. A kiedy już w domu opowiedziała o tym tacie, żartowali z tego oboje przez cały wieczór, sprawiając, że ich naburmuszona córka trzasnęła drzwiami do swojego pokoju.

## II

### Paweł

Komórka rozdzwoniła się nagle, dodatkowo wibrując, co powodowało jeszcze większy hałas. Gwałtowne tony „*Du hast*” Rammsteina sprawiły, że mężczyzna niemal natychmiast wyrwał się ze snu. Jeszcze zaspany, złapał za urządzenie i wyciszył je. Sprawdził zegarek. Dochodziła dwudziesta druga, co oznaczało, że spał niecałe dwie godziny. Krótka drzemka potrafiła jednak zdziałać cuda – jeśli po przyjsciu z pracy był wykończony, teraz tryskał energią. Wiedział jednak, że starczy mu jej maksymalnie na następne trzy, do czterech godzin aktywności. Postanowił nie czekać, zebrał się w sobie i chwilę później był już na nogach.

Przeszedł przez małe, dwupokojowe mieszkanie do niewielkiej kuchni, gdzie przy stole zastał czytającą książkę żonę. To była jedna z wielu rzeczy, których nawet nie potrafił w niej zrozumieć. Zamiast wygodnie wyłożyć się na łóżku, Agata pochylała się karnie nad lekturą, jak uczeń podstawówki, i tak samo zresztą jak uczeń poruszając ustami. Nigdy nie zauważył też, by czynność ta sprawiała jej jakąkolwiek przyjemność, jedną trzystustronicową książkę potrafiła męczyć przez trzy miesiące, zapominając w tym czasie sporą część akcji. Kiedy o tym myślał, ogarniało go tylko rozdrażnienie. Podświadomie czuł, że kobieta nigdy nie odnalazła i nie odnajdzie radości płynącej z jakiegokolwiek dzieła literackiego, zaś jej zaangażowanie jest fałszem, czystą mistyfikacją, w którą weszła tak głęboko, iż przestała rozróżniać prawdę od fikcji. Kiedyś, kiedy jeszcze go interesowała, zapytał ją o to.

– Wiesz... – Przez chwilę nie potrafiła ukryć zmieszania. – Ja, wiesz, ja... Ja naprawdę lubię czytać. Razem z Bożenką często nawet rozmawiamy o książkach, chodzimy na spotkania autorskie. Zresztą, co ty możesz o tym wiedzieć? Świat literacki to dla takich matematycznych kujonów jak ty coś zbyt abstrakcyjnego!

Wybuchła niepewnym śmiechem, a Paweł się tylko skrzywił. Bożena była jej szefową w banku, to dzięki zażyłości z nią Agata mogła awansować na wysokie stanowisko. Wytknął jej to wtedy, co oczywiście skończyło się kłótnią. To było rok temu, dziś nie miałby już chęci, by cokolwiek jej wytykać. Dlatego właśnie, kiedy wkroczył do kuchni, ani ona nie podniosła wzroku, ani on nie zaszczyił jej spojrzeniem dłuższym niż tym zarezerwowanym dla mebli.

Otworzył drzwi lodówki i wyjął stamtąd butelkę soku.

– Idę pracować – rzucił.

Nie odpowiedziała. Na to, że go usłyszała wskazywały tylko jej zamknięte usta, które chwilę później znów zaczęły powtarzać czytane zdania. Wyraźnie doszedł go szept:

– Hi–hi–sto–rię El–en–diii–laaa... Elendila, Is–il–dura...

– Nie za ambitne dla ciebie? – zagadnął, przechodząc.

I tym razem nie otrzymał odpowiedzi, a na twarzy wykwitł mu paskudny uśmiech. Wiedział, że kobieta jest bardzo czuła na swoim punkcie. Kątem oka uchwycił, jak zaciska pięści na blacie.

\*\*\*

Drugi z pokoi ich „klitki”, jak często nazywała to mieszkanie w bloku jego żona, był dużo mniejszy od sypialnio-salonu. Gdyby mieli dziecko, to zapewne w nim urządziliby mu miejsce do spania i zabawy. Z braku takiej opcji Paweł przemianował pomieszczenie na swój gabinet. Ani finansowo, ani tym bardziej psychicznie nie byli gotowi na potomka, on zaś wiedział, że na pewno nigdy nie zdecyduje się na dziecko z Agatą. Zresztą, nieszczególnie chciał śliniącego się, wrzeszczącego, śmierzącego bachora. Pracując jako nauczyciel matematyki w podstawówce, spotykał takich gówniarzy więcej. To, że już nie robili pod siebie, wcale nie oznaczało, że dalej nie byli głośni, cuchnący i wkurzający. Szczególnie chłopcy – dziewczynki w tym wieku, zwłaszcza pod koniec podstawówki, potrafiły zachowywać się jak prawdziwe damy. Były znacznie dojrzalsze od rówieśników, a jednocześnie hormony nie pomieszały im jeszcze w głowach. Delikatne i uśmiechnięte. W opinii Pawła, dopiero w okolicach piętnastego roku życia w ich mózgach zachodziły nieodwracalne zmiany, czyniąc z nich „wiecznie niezadowolone kurwiszony”. Dokładnie takie...

– ...jak ten kurwiszon w kuchni – dokończył pod nosem. – Dokładnie, kurwa, takie.

Postawił butelkę z sokiem na blacie i włączył ekran komputera. Monitor błysnął, ukazując zapisany arkusz. Paweł skrzywił się na ten widok – niedokończony doktorat

wydawał się kpić z niego. W normalnym kraju doktoraty piszą ludzie chcący wybić się w środowisku naukowym. W Polsce, będąc nauczycielem i magistrem matematyki (królowej nauk, do kurwy nędzy!), ledwo udawało mu się zarabiać na utrzymanie mieszkania w bloku, w najbardziej podłej dzielnicy miasta, gdzie na korytarzach trzeba było uważać, by nie wdepnąć w gówno, zaś na zewnątrz, by podobne gówno cię nie zdeptało, dorzucając przy okazji parę splunięć za nie kibicowanie właściwej drużynie. Ba, mężczyzna musiał to nazywać sukcesem. Niedorajdy życiowe nazywające siebie humanistami, jak jego żona, bez odpowiednich koneksji zostawały zmuszone do emigracji, by móc liczyć na jakiegokolwiek życie. Choć, będąc uczciwym, Paweł trochę im zazdrościł, patrząc teraz na ekran komputera. Wiedział, że doktorat wiele mu nie pomoże, jeśli nie znajdzie porządnej pracy, najlepiej na Politechnice, na co szanse były – nawet oględnie mówiąc – zerowe.

Usiadł. Przez chwilę gapił się na żalony strzępek pracy, czytając niektóre zdania i sprawdzając obliczenia. Potem położył dłonie na klawiaturze, palce jednak pozostawały nieruchome. Wątek nie chciał potoczyć się dalej. Dokładnie tak, jak poprzedniego wieczoru, jeszcze wcześniejszego i nocy poprzedzającej. Po upływie trzydziestu minut i wypiciu połowy soku, zniecierpliwiony wyjął z szuflady paczkę papierosów. Nikotyna przyniosła ukojenie, ale nie rozwiązała problemu. W końcu poddał się i zminimalizował dokument, włączając w następstwie przeglądarkę.

Przez chwilę buszował po sieci. Sprawdził pocztę, facebooka, przeglądał obrazki. Myślnami był jednak gdzie indziej. W końcu poddał się i wpisał adres.

W opisie strony zawarto informacje, że jest ona miejscem dla poszukujących miłości, każdy wiedział jednak, o co tak naprawdę chodzi. Paweł nie należał do mniejszości. Sprawdził wiadomości, żadna z kobiet z którymi czatował nie odpisała mu jeszcze. Nie obchodziło go to, nie miał zamiaru ich spotkać, nie były wyjątkowe, a ich oklapłe cycki i zużyte cipy, które prezentowały mu na zdjęciach, wywoływały u niego tylko grymas.

Obojętnie przeglądał galerie. Portale randkowe mają to do siebie, że przyciągają specyficzne kobiety: albo dziwki, albo odrzucone i niekochane, potrafiące się upokorzyć za parę ciepłych słów. Ani jedne, ani drugie niespecjalnie go interesowały, czasem tylko bawił się którąś, najpierw udając zainteresowanie, a kiedy już wysyłały mu swoje nagie fotki, wyśmiewając i szydząc z ich cellulitu albo wystających kości i małych piersi. Co Pawła szczególnie bawiło, niektóre po obrzuceniu go przezwiskami wracały. Błagały, by je przerznął, bo tylko w nim widzą prawdziwego samca, co obrzydzało mężczyznę jeszcze bardziej.



Dzisiejszej nocy szukał następnej „ofiary losu”, jak je określał. Przewijał zdjęcia, przed oczami migały mu tlenione blondynki, wychudzone jak szkielety, grube brunetki z pejciami, szare myszki z fałszywymi uśmiechami, cycki, cipy, dupy.

Wtedy natrafił na nią.

Jej twarz, nawet pod mocnym, ale nie wulgarnym makijażem, wydawała mu się dziwnie znajoma. Była niska, szczupła. Miała małe piersi – jako jedyna nie pokazywała nagich lub przynajmniej półnagich zdjęć. W azjatyckim mundurku szkolnym, chałacie i kusej spódniczce wyglądała o wiele bardziej pociągająco niż wszystkie inne. Wyginała się przy starej, ceglanej ścianie jakiegoś budynku, patrząc z w półprzymkniętych powiek prosto w obiektyw. W rubryce wieku wpisała osiemnaście, ale musiała mieć mniej. Interesowała ją, jak sama określiła, „może przyjaźń, może coś więcej, może ty, może kto inny”. Banał, ale wydał mu się równie naiwny i pociągający, jak reszta. Nawet nie zauważył, kiedy dostał erekcji. Była tak silna, że miał wrażenie, że penis dosłownie rozsadzi mu spodnie.

Drżącą ręką zaprosił dziewczynę do znajomych. Potem raz jeszcze przejrzał wszystkie fotografie. Nie było ich wiele, na wszystkich ta sama, dziwnie znajoma twarz. Pobrał je na dysk, jedną ręką robiąc sobie dobrze. Doszedł, nim ostatni fotos zagościł w specjalnym folderze. Paweł krzyknął, wyprężył się nagle, spadł z krzesła na podłogę. Pod powiekami wybuchły miliardy gwiazd. Leżał później przez chwilę, dysząc, jak po długim i wyczerpującym biegu. W końcu podniósł się z ziemi i aż westchnął. Z ekranu patrzyła na niego dziewczyna, którą mijał prawie codziennie na korytarzu łączącym rejonową podstawówkę i gimnazjum. Nie mogła mieć więcej, niż czternaście lat.

Chwilę patrzył na jej twarz. Miał wrażenie, iż ona także patrzy się na niego. Przeszedł go elektryzujący wstrząs. Erekcja powróciła, silna jak u napalonego piętnastolatka. Wolno zdjął przemoczone spodnie, cisnął je na krzesło i wyłączył ekran komputera. Wychodząc, zamknął drzwi na klucz.

Wiedział, co musi zrobić.

\*\*\*

Leżała w łóżku, ale chyba jeszcze nie spała. Podeszedł do niej, jedną ręką trzymając wyprężony członek, drugą ściągając kołdrę. Obróciła się, a pytanie zamarło jej na ustach. Odzyskała głos, kiedy zrywał z niej majtki i nocną koszulę (białą w czarne kropki, zawsze jej nienawidził). Wiergnęła, był silniejszy. Krzyknęła, zatkał jej usta. Ugryzła go, nie zrobiło to

na nim większego wrażenia. Potem się poddała, rozluźniła. Być może jej się nawet spodobało, bo wkrótce zaczęła jęczeć i drapać go po plecach.

– Jezu, Jezu, Paweł – szeptała spazmatycznie. – Jezu, Paweł, Jezu, Jezu!

Pierdoląc żonę, miał ciągle przed oczami twarz tamtej dziewczyny.

Chciał, pożądał, pragnął jej imienia.

\*\*\*

Nazajutrz była niedziela. Paweł zalogował się na swoje randkowe konto jeszcze przed śniadaniem. Przez chwilę czuł miłe napięcie, gdy na skrzynce zobaczył powiadomienia o wiadomościach. Napięcie, a z nią następna erekcja, spadło. To nie ona napisała. Skasował wszystkie komunikaty bez czytania.

Małolata nie napisała (ani też nie zaakceptowała zaproszenia) ani nazajutrz, ani też dzień później, ani nawet we wtorek. Paweł coraz częściej przesiadywał przed ekranem komputera, zdarzało się, że tylko po to, by co chwilę odświeżać stronę. Im bardziej przyglądał się jej zdjęciom, tym bardziej czuł, że traci panowanie. Wampi, jak sama siebie nazywała, oczarowała go, całkowicie omotała jakimś zaklęciem, którego nie mógł ani nie próbował pojąć. Szybko zrozumiał, że czuje więcej niż pożądanie. Znacznie więcej. Kiedy stawiała mu przed oczami, miał ochotę ją przytulić, po prostu przytulić i trzymać w objęciach najdłużej, jak się da. Ochronić przed złym światem i jego niebezpieczeństwami. Była przecież taka młoda i krucha, zupełnie nieprzygotowana na twarde życie – nie tylko w tym kraju, ale w ogóle. Nie miał pojęcia, czy mieszka z rodzicami, czy jest z rozbitej rodziny. W głębi duszy był jednak pewien, że ktokolwiek ją wychowuje, nie jest do tego powołany. Za dużo jako nauczyciel widział; matki nie interesujące się swoimi dziećmi, ojców pijaków i ważnych biznesmenów. Zarówno jedni, jak i drudzy, byli tak uzależnieni od swojego prywatnego kawałka życia, że nie czuli nawet potrzeby zainteresowania się pociechami. Widział babcie chodzące na wywiadówki zamiast rodziców, widział też rodzicielki bardziej zaintrygowane podrywaniem cudzych mężów niż ocenami dzieci. Był też świadkiem zebrań rodziców, na których stawiały się raptem cztery osoby lub nikt. Opiekunowie Wampi na pewno inni nie byli.

Po pięciu dniach doszedł do wniosku, że on, Paweł, na pewno byłby dla niej lepszy. Byłby najlepszym kochankiem, najbardziej zainteresowanym rodzicem. Przeszkodę stanowił tylko ten wiecznie niezadowolony kurwizson.

Szóstego dnia mężczyzna zaczął się martwić. Nie widywał dziewczyny na szkolnych korytarzach łączących budynki podstawówki i gimnazjum, ani nie doczekał się śladu jej aktywności w sieci. Początkowe podniecenie zastąpiło nieustanne rozdrażnienie. Dawno nie rozdał tak dużo jedynek i nie zrobił tylu kartkówek. Prawie nie spał, pił więcej kawy. Czasami czuł, jak serce kołacze się niczym wystraszony ptak w klatce.

Wtedy napisała:

*Hej!*

Nic więcej, ale to mu wystarczyło. Nagle spokojny, rozsiadł się wygodnie w fotelu, upił łyk kawy i położył dłonie na klawiaturze.

*Hej!* – odpisał.

Potem pograżyli się w rozmowie, która trwała prawie całą noc.

\*\*\*

Pierwszy raz spotkali się na korytarzu szkolnym. Niby to przypadkiem, on miał dyżur i przechadzał się po placówce, pilnując, by w czasie przerw nie dochodziło do nadmiernych aktów przemocy (dobrze wiedział, co dzieje się w kiblach) i by uczniowie nie biegali za szybko. Przepisy mówiły, co prawda, że bieganie jest zabronione, jednak mało który z nauczycieli zwracał na nie większą uwagę. Dbano jedynie, by nikt sobie niczego nie złamał. Syzyfowa praca, zdawałoby się, jednak pięć lat praktyki nauczycielskiej nauczyło Pawła, że dzieci są ulepione z innej, wytrzymalszej niż dorośli gliny. Zwykle kończyło się na siniakach.

Umówili się na „moście” – wiszącym nad ziemią korytarzu pomiędzy budynkami obu szkół. Kiedyś były tu szklane drzwi broniące dostępu jednym podopiecznym do drugich, zrezygnowano jednak z tego pomysłu, kiedy zostały rozbite. Wędrówki między uczniami zaczynały się tutaj w czasie długiej przerwy, tylko wtedy było wystarczająco dużo czasu, by nie spóźniali się na lekcje, za co groziły spore sankcje. Rankami więc „most” bywał zupełnie pusty. Idealne miejsce, by wymienić parę zdań.

Siląc się na obojętność, stanął przy jednym z okien. Spocone dłonie schował do kieszeni. Nie mógł jednak powstrzymać westchnienia, kiedy wyłoniła się zza załomu korytarza.

Była wyższa, niż to sobie wyobrażał. Smuklejsza. Na nogach miała wytarte jeansy podkreślające łagodnie zaokrąglone uda. Nosila flanelową, za dużą koszulę. Sięgające do ramion włosy miała rozpuszczone, delikatne piegi na nosie dodawały jej uroku.

– Dzień dobry panu. – Uśmiechnęła się uwodzicielsko, ukazując wypielęgnowane zębki.

– Daj spokój, mów mi Paweł... tak, jak w nocy – zabrzmiało to dwuznacznie. Miało. Zarumieniła się, a mężczyzna w głębi duszy jęknął.

– Tutaj...? Znaczy... wiesz, Paweł...

– Wiem. Wiesz co? Chodźmy gdzieś. – Widząc jej zmieszanie, uśmiechnął się z pobłażaniem. – Po twoich lekcjach. Będę czekał niedaleko warzywniaka, pod kioskiem Ruchu. Wiesz, gdzie to jest?

Kiwnęła głową.

– Dobrze. A teraz zmykaj na lekcję, już prawie koniec przerwy.

Patrzył za nią, jak biegnie z powrotem. Wydawała się taka delikatna i niedoświadczona, a jednocześnie nad wiek dojrzała. Niemal zmusił się, by wrócić do „swojej” części budynku.

\*\*\*

Była punktualnie. Doszła do kiosku, uginając się pod stanowczo zbyt ciężkim plecakiem, w jaki został wyposażony chyba każdy uczeń do szesnastego roku życia.

– Gdzie... pójdziemy? – zapytała.

– Znam jedno miejsce.

Pojechali samochodem. Niedaleko centrum miasta znajdował się zbiornik wodny otoczony skałkami i lasem. Dzień był ciepły, a Paweł przezornie zapakował do bagażnika koc. Istniało wysokie prawdopodobieństwo napotkania zakochanych par i spacerowiczów, jednak Zakrzówek był na tyle duży, by mieć swoje sekrety, małe jaskinie i polanki, gdzie nikomu nie chciało się zaglądać, a jeśli już – bardzo rzadko.

Oboje wiedzieli, jak to się skończy. Paweł całą drogę drżał z podniecenia. Paplał o głupotach, zabawiał anegdotkami i żartami. Zamilkł, kiedy wysiedli i spacerowali po pustych ścieżkach. Wbrew obawom, nie spotkali nikogo. Mógł mieć na to wpływ mecz Wisły z Cracovią oraz późna, popołudniowa pora. Mieszkańcy Krakowa siedzieli w domach, przygotowywali obiady, kibicowali, masowo komentowali wydarzenia z boiska na facebooku.

Nieświadomie wybrał najbardziej odpowiedni moment.

Znaleźli małą polankę otoczoną wapiennymi skałkami. Paweł rozłożył koc, z torby wyjął czystą i papierosy. Dziewczyna pociągnęła spory łyk, widać było, że jest już doświadczona. Nic zresztą dziwnego, po prawie całym roku szkolnym spędzonym w gimnazjum.

Wyjął papierosa, ale nie zdążył zapalić. Przyłgnęła do niego. Zachłannie, rozpaczliwie nawet. Całowali się – długo. Rozpięła mu koszulę, poczuł jej małe dłonie na torsie, badające napięte mięśnie brzucha i pieszczące sutki. W pewnym momencie zacisnęła na nich swoje paznokcie. Oczekiwał bólu, zamiast tego wyprężył się w ekstazie.

Pozwolił, by przejęła kontrolę. Rozpięła mu pasek i rozporek, delikatnie, acz stanowczo wyjęła penisa. Droczyła się z nim, pieszcząc go czubkiem języka. Potem wzięła w usta. Czuł, jak jednocześnie porusza językiem, jak raz zwalnia, raz przyspiesza tempo, doprowadzając go do szaleństwa. Tuż przed tym, nim doszedł, poderwała głowę i pozwoliła, by ciepła sperma zrosiła jej twarz. Krzyknął, wyprężając całe ciało. Pod powiekami eksplodowały nie gwiazdy, a całe galaktyki. Ugrzązł w niekończącej się spirali światła, spadał gdzieś pomiędzy tymi rozbłyskami, czując rozkosz, jakiej nie zaznał nigdy. Ból, którego nie udało mu się wcześniej doświadczyć. Cierpienie, które akceptował i chciał, by trwało. Rozpłynął się w nim i znikł, a z nim wszystkie myśli i uczucia.

Chwilę trwało, zanim otworzył oczy. Spodziewał się ujrzeć na jej twarzy zalotny uśmiech, zapraszający do dalszej zabawy. Mógł też zobaczyć obrzydzenie, wcale by się nie dziwił. Nie spodziewał się dzikiej radości i uśmiechu niemal od ucha do ucha. W jakiś niewytłumaczalny sposób było to nie na miejscu.

Świat powoli robił się wyraźny, lecz ból nie zniknął. Nagle Paweł zdał sobie sprawę, że to nie sperma pokrywa twarz dziewczyny, a krew. Że jej usta nabrały ciemnoczerwonego koloru, który teraz kapie z jej brody na mokry, ciepły koc.

Wampi wolno otworzyła usta i nie przestając się uśmiechać, wyjęła z nich mięsisty, pokrwawiony strzęp. Potem włożyła go z powrotem i z upodobaniem zaczęła żuć.

Mężczyzna poderwał się na równe nogi, krzyknął, złapał się za krocze. Ból, który dopiero teraz przybrał na sile, rozsadzał jego podbrzusze. Zerwał się, chciał biec. Byle dalej od czerwonego koca, od dziewczynki i tego, co miała w ustach. Byle dalej od upiornego chichotu za plecami. Zaplątał się w owinięte wokół kostek spodnie, runął jak długi. Chciał wstać, ale zdołał się tylko czołgać. Świat poszarzał mu przed oczami, ściemniał. W kroczu eksplodowała petarda bólu.

Westchnął i pogрузzył się w czerni.

\*\*\*

Ból wyrwał go z nieświadomości. Paweł powoli uniół powieki i zamknął je znów, oślepiiony przez reflektory stojącego opodal dużego samochodu.

Mocny policzek go otrzeźwił. Mężczyzna jęknął.

Leżał na trawie, to chyba była ta sama polanka. Było już ciemno. Nad nim nachylały się trzy twarze. Martyna ciągle miała pobrudzone usta, choć krew zdążyła już zaschnąć. Pozostałe dwie kobiety także kojarzył, jedną ze spotkań rodziców, drugą, lekko pulchną i niską, z telewizji. Wszystkie się uśmiechały.

– Samiec – powiedziała matka Martynki. Ta niższa tylko pokiwała głową.

– Zostawcie mnie – wychrypiał. Mimo ciepłego wieczoru, drżał – mogło być to wynikiem gorączki lub strachu. Albo jednego i drugiego.

– Ale dlaczego, przecież chciałeś się zabawić. – Uśmiechnęła się Martynka. – Moje mamy zaraz się tobą zajmą.

Zniknęły z pola widzenia. Kątem oka zauważył, że wyższa z kobiet wyjmuje coś z bagażnika auta.

– Nonono... – Usłyszał. – Tam jeszcze się nie patrz. Najpierw ja.

Znów zobaczył tę niższą. Wolno zdjęła z siebie koszulkę. Nie miała biustonosza, wielkie piersi zakończone małymi brodawkami zakołysały się ciężko. Uśmiechnęła się do niego, kiedy zdejmowała spodnie. Wtedy właśnie zaczął krzyczeć, chrypieć właściwie, bo tylko na tyle pozwalało nabrzmięte gardło.

Niska wyszczerzyła zęby i wyjęła z majtek nabrzmiętego, miarowo pulsującego penisa. To wtedy Paweł podjął ostatnią, rozpaczliwą próbę ratunku. Zerwał się gwałtownie na czworaka i nie bacząc na ból, zaczął uciekać. Martynka kopnęła go z całej siły w bok, aż się zachłysnął.

– Martuś, kochanie, przytrzymaj tego wariata.

Dwie chude, ale silne ręce objęły go od tyłu za szyję. Przy uchu poczuł podmuch.

– Spróbuj się odprężyć – szepnęła dziewczynka.

Mała kobieta szła ku niemu kaczkowatym chodem. Jedną ręką robiła sobie dobrze, drugą pieściła biust. Uklękła przy nim. Wierzgnął. Przytrzymała go za nogi, jednocześnie je rozszerzając.

– Przepraszam – wychrypiał. – Przepraszam...

- Ależ kochany, przyjmuję. Wszystkie przyjmujemy.
- Pośliniła dłoń, a następnie przyłożyła mu ją do odbyt. Wrzasnął.
- Przepraszam!
- Ciii, ciii... zaraz będzie ci dobrze.
- Przepraszam! Błagam, przepraszam, przepraszam!
- Uśmiechnęła się, wymierzyła i weszła w niego dwoma pchnięciami.

### III

#### Martyna

Dziewczynka patrzyła na samca. Samiec już nie patrzył na dziewczynkę. Płakał i drżał, skulony pod drzewem, gdzie przyczołgał się po wszystkim. Niedaleko jej druga mama obmywała sobie pokrwawionego penisa wodą. Pierwsza mama podeszła i czule położyła jej ręce na barkach.

- Jesteś moją kochaną dziewczynką, wiesz? Bardzo cię kocham.

Martyna uśmiechnęła się ciepło.

- Wiem, mamusiu.

- Chcesz to zrobić?

Pokiwała głową. Kobieta podała jej nóż.

- Zrób to humanitarnie. Samców trzeba traktować jak równe istoty.

Kobieta cofnęła się parę kroków. Dziewczynka obejrzała się na nią.

- Mamusiu, co z nim potem zrobimy?

- Wrzucimy dokładnie tam, gdzie tatusia.

\*\*\*

Marynka czuła się szczęśliwa i dziwnie spokojna, jak po długim biegu. Stała na skarpie z rękami w kieszeniach, wpatrując się w jeszcze falującą taflę jeziora pod nimi. Gdzieś tam był jej tata, dozorca, nękający ich komornik i złodziej roweru. Teraz dołączył do nich kolejny obrzydliwy samiec, w dodatku nauczyciel matematyki.

Księżyc był wspaniały, prawie w pełni. Odbijał się od falującej powierzchni. Westchnęła, świat byłby piękny, gdyby nie musiała wracać do domu i odrabiać lekcji z biologii.

rys. Roman Panasiuk



# ZAGADKA BLIŹNIACZYCH MIAST

Krzysztof Maciejewski

Zawsze wierzyłem w istnienie niewidzialnych wzorów, według których toczy się życie. Pamiętam dobrze, jak pewnego dnia powiedziałem Dermottowi, że powtarzamy tylko schematy cudzych zachowań, niczym bezwolne pacynki albo tańczące na ścianie sylwetki biorące udział w jakimś upiornym teatrze cieni. On wtedy spojrzał na mnie z pobłażaniem. „Jesteśmy czymś więcej, przyjacielu. Szare komórki wspierane przez umiejętność analizy i obserwacji dają nam władzę nad światem” – odrzekł z naciskiem. Ale to było dawno temu,



jeszcze przed zagadką bliźniaczych miast, która była ukoronowaniem, a zarazem i ostatnim epizodem kariery Dermotta de Valoisa, największego detektywa wszechczasów. Cóż, *finis coronat opus...*

Zaznaczę tu, że przytoczony osąd jest tylko i wyłącznie moją własną oceną i werdyktem, bo chociaż mojego przyjaciela trudno byłoby zaliczyć do osób przesadnie skromnych, nie lubił – to jego określenie – rywalizować z cieniami. Kiedyś zapytałem go, jaka jest jego opinia na temat różnych słynnych detektywów z przeszłości. Dermott chwilę pomilczał, po czym na jego twarzy zagościła dość dziwna mina.

– Masz na myśli fikcyjne twory wyobraźni różnej maści pisarzy? – zapytał.

Gdy przytaknąłem, jego oczy spowił cień dezaprobaty.

– No cóż... Weźmy niejakiego pana Dupina, który olśniewa swych interlokutorów dość jarmarcznymi sztuczkami, co słusznie wytknął mu Holmes... Miał w sobie zbyt wiele ze swego posępnego i zdesperowanego protoplasty, aby naprawdę coś sobą reprezentować. Dalej... Herkules Poirot, pocieszna figura, która wprawdzie posługuje się ostrą jak sztylet analizą, ale często nie dostrzega dość oczywistych zależności. A ile czasu zajmuje mu dochodzenie do prawdy... To trochę grzech konwencji, w jakiej pisała książki pani Christie... Nie wspominając o tym, że niektóre jej historie są na bakier z logiką...

– No, a wzmiankowany Sherlock Holmes? – przerwałem mu.

Dermott zacisnął usta.

– On z kolei nie zauważał pewnych niuansów, nie przywiązywał prawie żadnej uwagi do emocji, przypominając psa gończego na tropie. Ale czy wiesz, jaki jest najgłówniejszy zarzut, który muszę postawić swoim poprzednikom?

– Nierealność? – zaryzykowałem.

Dermott skrzywił się w jawnej kontestacji.

– Nie mam na myśli takich oczywistych banałów, drogi Harrisonie. Chodzi mi o ich braki w odczytaniu... Żaden z nich nie studiował literatury pięknej, która otwiera oczy na wiele rzeczy, a przede wszystkim dostarcza masę materiału na temat ludzkich reakcji. Jakże więc mogli poznać osobowość mordercy, skoro nie znali mentalności przeciętnych ludzi?

– A panna Marple? – zapytałem. – Ona posługiwała się właśnie metodą analogii...

– Ależ, przyjacielu... Staruszka odnosiła się do mieszkańców swojej wioski, jakby mogła tam odnaleźć wszelkie wzorce zachowań. Wierzysz w ten mikrokosmos ograniczony do kilkudziesięciu domostw, bo mi ta idea trąci nieco nadużyciem...? Co innego, gdy zagłębiasz się w różnorodne fikcyjne światy, wchodzisz w wiele ról, przemierzając otchłanie

czasu i przestrzeni lotem szybujących ławic gwiazd... Wystarczy tylko czytać między wierszami.

Punkt widzenia Dermotta nie był li tylko gołosłowną doktryną. Kiedyś złapał mordercę, który zostawił na miejscu zbrodni wydrukowany list. Na podstawie jakichś tajemniczych przesłanek umiał rozpoznać autora wiadomości, szybko wyławiając go z kręgu podejrzanych. Jeszcze innym razem, na samym początku naszej znajomości, wprowadził mnie w najczystsze zdumienie. Siedzieliśmy tego dnia rano, jak zwykle, zajęci lekturą gazet i poczty. Nagle odezwał się do Dermotta mocno rozbawiony jednym ze stwierdzeń mojej kuzynki, która opisywała swoje ostatnie zakupowe rozterki – nadmiernie, moim zdaniem, wchodząc w szczegóły:

– Wyobraź sobie, że Ginny nie może się zdecydować, jaki model telefonu będzie najlepiej oddawał jej osobowość...

Dermott przerwał mi w dość obcesowy sposób:

– Ależ Harrisonie, to tajemnica korespondencji! Nie powinienesz dzielić się z prawie obcą osobą takimi zwierzeniami!

Patrzyłem na niego, lekko zbity z tropu.

– O czym ty mówisz? Przecież to najzwyklejszy list poruszający bardzo błahe sprawy...

Mój przyjaciel wzruszył ramionami.

– Na podstawie kilku napisanych zdań mogę ci powiedzieć bardzo wiele o tej twojej kuzynce...

– Czy jesteś również grafologiem, Dermocie? Rozczaruję cię, ale Ginny nigdy nie pisze odręcznie. Niczego się nie dowiesz...

Dermott roześmiał się głośno. Śmiech nie był jednak radosny.

– Skoro mówisz, że w liście nie ma żadnych mrocznych sekretów, to daj mi go do przeczytania. A potem posłuchasz, jakie wnioski wyciągnąłem z lektury.

Przyznam, że na początku znajomości detektyw bardzo działał mi na nerwy. Dlatego uznałem, że to doskonała okazja, aby nieco przytrzeć mu nosa. Wręczyłem list z lekkim uśmiechem i Dermott zagłębił się w lekturze. Po dziesięciu minutach zapalił fajkę i spojrzał na mnie, a w jego oczach tańczyły dziko iskry.

– No więc... Twoja kuzynka jest o kilka lat młodsza od ciebie, ma teraz włosy blond, chociaż jeszcze kilka miesięcy temu ich kolor był prawdopodobnie zupełnie inny. Oczy na pewno są ciemne, chociaż nie widzę dokładnie ich koloru. Jest dość drobną kobietą, ale o silnym charakterze. Uwielbia zwierzęta, ale sama nie trzyma w domu psów ani kotów.

Prawdopodobnie ma duszę artystyczną, a nauki ścisłe nie były w szkole jej mocną stroną. Aha... Za dwie minuty pojawi się w drzwiach... – patrzył na mnie z triumfem w oczach.

– To... to jakaś szarlataneria – wyjąkałem. W opisie Dermotta właściwie wszystko się zgadzało. – Gdzie to wszystko wyczytałeś, do licha?

– Między wierszami, przyjacielu. Między wierszami – odparł lekkim tonem.

– Ale to jakaś magia! Skąd wiesz, że nie trzyma psów ani kotów?

Dermott uśmiechnął się lekko.

– Wytrenowana sztuka obserwacji przypomina stado pędzących brzegiem morza koni – odrzekł. – Dochodzę do pewnych wniosków, sam nie wiedząc jak i kiedy. Ale w tym przypadku akurat łatwo wysnuć podobną hipotezę, gdyż mamy do czynienia z alergiczką... Napisała ci, że kichnęła przy wybieraniu perfum, prawda?

– Dobrze, ale to chyba zbyt daleko idące wnioskowanie...

– Wiem. Dlatego spróbowałem zweryfikować ten fakt w dalszej części listu. Tamten akapit o krążącej pszczole, która tak ją przestraszyła, potwierdził wstępne założenia.

Wzruszyłem ramionami.

– Niech ci będzie... Odgadłeś. Ale skąd wiesz, że za chwilę tu przyjdzie?

– Bo stoi przed wejściem do budynku... To ona, prawda?

Rzeczywiście – na ekranie kontrolnym rozpoznałem oblicze kuzynki. Znacznie później, już po jej wyjściu, próbowałem nakłonić Dermotta do dalszych zwierzeń. Skąd, u licha, odgadł, że kobieta stojąca przed budynkiem, to właśnie Ginny? Ale mój przyjaciel zbył mnie wzruszeniem ramion. Podejrzewam, że w grę wchodziło jakieś wspomóżone intuicją zgadywanie, czysty hazard podparty jednak na kolumnadzie przesłanek, które dla mnie były całkowicie bezużytecznymi drobiazgami. Cóż, powoli wchodziłem w skórę doktora Watsona.

\*\*\*

Ostatnia sprawa Dermotta de Valoisa rozpoczęła się w ponury dzień, który niczym odziana w szare futro bestia przysiadł w oczekiwaniu za oknem. Wezwano nas na miejsce zbrodni przed dziesiątą. Ofiarą była trzydziestoletnia gwiazda palestry, prawdopodobnie najmłodszy wspólnik w dziejach jednej z najbardziej szanowanych kancelarii prawnych. Jechaliśmy w prawie całkowitej ciszy, wsłuchani w szepty radiowych widm. Miasto było czarno-białą kreskówką rzuconą po obu stronach ulicy, jakby deszcz ogołocił drzewa i budynki z należnych im barw.

Dom, w którym dokonano krwawego morderstwa, stanowił doskonały przykład bezguścia charakteryzującego młodych profesjonalistów; tych obdarzonych uśmiechem losu przeżuwaczy telewizyjnej paszy objętościowej. Złocone zdobienia na kominie, festony sztucznych kwiatów wiszące nad oknami, innymi słowy – patetyczny plastik udający eklektyzm.

– Może mordercą był wysłannik wydziału architektury? – rzuciłem cicho w stronę Dermotta, ale mój przyjaciel nie zareagował.

Weszliśmy na pierwsze piętro, eskortowani przez dwóch młodych konstablów. U szczytu schodów stał zatroskany inspektor Hill-Burton. Na nasz widok jego twarz pojaśniała. Przywitał się ze mną, po czym zwrócił się do Dermotta, całkowicie ignorując moją skromną osobę.

– Dobrze, że jesteś. Zupełnie nie wiem, co o tym wszystkim sądzić.

De Valois był niegdyś policjantem, ale wycofał się na wcześniejszą emeryturę. Teraz często odgrywał jednak rolę konsultanta.

Weszliśmy do pokoju, w którym znaleziono zamordowaną ofiarę. Mężczyzna leżał na środku podłogi w kałuży krwi, przypominając wielkiego, martwego ptaka zestrzelonego z nieba.

– Co odkryliście? – rzucił Dermott w kierunku Hilla-Burtona.

– Zbrodnia miała miejsce jakieś pięć godzin temu, około szóstej rano. Mężczyźnie zadano kilkanaście ciosów ostrym narzędziem, ale nie wiemy, co to było. Nie ma żadnych śladów. Nikt nic nie słyszał.

Nie mogliśmy więc raczej liczyć na świadków. Dermott rozglądał się po pokoju i po chwili jego wzrok zatrzymał się na drzwiach wejściowych.

– Było włamanie?

Hill-Burton niespokojnie zamrugał.

– To jest właśnie najdziwniejsze w całej tej sprawie. Drzwi były zaryglowane od wewnątrz. Musieliśmy użyć łomów, aby dostać się do środka.

– Interesujące – mruknął mój przyjaciel. – Pozwolisz, że trochę się jeszcze rozejrzę?

– Czuj się, jak u siebie w domu – szybko odparł policjant, by po chwili dotarła do niego niestosowność tej wypowiedzi.

Dermott nie zwrócił jednak żadnej uwagi na wyraźnie zmieszanego inspektora. Uważnie oglądał ciało denata, a jego oblicze z każdą minutą coraz bardziej się zasępiało. Poświecił sporo czasu na zbadanie pokoju. Przez długi moment wpatrywał się w wiszące na

ścianie lustro, jakby szukał w nim odpowiedzi na dręczące go pytania. Gdy skończył te oględziny, wrócił do nas, lecz z jego twarzy nie można było wyczytać żadnych uczuć.

– Masz coś, Dermott? – zapytałem.

– Zupełnie nic. Morderca nie zostawił żadnego śladu ani odcisków palców... Przesłuchajmy, kogo się da....

Mój przyjaciel był wyraźnie zatroskany. Gdy wracaliśmy, w pewnym momencie odwrócił się w moją stronę.

– Zwróciłeś uwagę na sterylny porządek w pokoju, Harrisonie? Nawet najmniejszej wskazówki. To jeszcze dziwniejsze od tej całej historii z zamkniętymi drzwiami...

– Dlaczego tak uważasz?

Mój przyjaciel przez chwilę milczał, usiłując przełożyć galopadę myśli na język mówiony.

– Tak, jakby morderstwo popełniono w zupełnie innym miejscu. A niech to! Mam nawet wrażenie, jakby ofiarą była tak naprawdę zupełnie inna osoba. Ale to przecież niemożliwe...

Już niebawem miałem sobie przypomnieć te słowa w bardzo dziwnych okolicznościach.

\*\*\*

*Nie, nie utrzymywaliśmy ze sobą praktycznie żadnych kontaktów. Rozumie pan, Morten nie był zbyt wylewną osobą. Podejrzewam, że nie miał ani przyjaciół ani wrogów.*

*Sądzę, że ważna dla niego była tylko praca. Oddychał nią, dla niej znosił wszelkie niedogodności losu. Bliscy? On nie potrzebował ludzi. Był jaskiniowcem, lubił samotność.*

*Wrogowie Mortena? Prawnicy tworzą mały światek. Słucham? No tak, oczywiście, że rywalizujemy ze sobą na zawodowej stopie. On był radcą prawnym wielu znanych korporacji, ale nikt mu tego nie zazdrościł. Konkurencja na rynku? Wierzy pan w spiskową teorię funkcjonowania wolnej gospodarki? W tajemniczych szpiegów przemysłowych wynoszących na mikrofilmach sekrety? Możliwe, ale prawnicy są ludźmi spoza układu. Niech mi pan wierzy...*

*Kobiety? Cóż, z pewnością nie był mnichem, ale nie związał się z nikim na stałe. Zna pan to powiedzenie: jeżeli chcesz się napić piwa, nie musisz od razu kupować większościowego udziału w browarze? Nie, nie sądzę, aby krzywdził te kobiety. Zgadzały się*

*na wszystko, były świadome ról, jakie im wyznaczała konwencja... Nie, z nikim nie był aż tak spoufalcony.*

*Wziął urlop. Tak, pierwszy od czterech lat. Nikt go widział. Uznaliśmy, że chce mieć święty spokój.*

*Cóż mogę ci powiedzieć, Dermocie? Widziałeś ciało... Nie wiem, która z zadanych ran okazała się śmiertelna. Słucham? Osobliwy układ obrażeń, który kształtem przypomina chiński ideogram? Chyba żartujesz! To czysty przypadek, przyjacielu. W chmurach także rozpoznajemy czasami różne kontury, ale to tylko dziecinada. Nie, mój drogi. Los rozstrzyga się w gwiazdach, a nie w obłokach.*

\*\*\*

Z każdym dniem Dermott stawał się coraz bardziej nieznośny. Wiedziałem, że śledztwo nie przynosi pożądanych rezultatów, a przesłuchania świadków wiodą nas na manowce, co musiało mojego przyjaciela upokarzać niczym ciśnięta w twarz rękawiczka. W końcu, kiedy uznał, że tradycyjne metody wywiadowcze zawiodły, usiadł za konsolą i uruchomił specjalny portal łączący go z Siecią Pajęczych Widm. Nawet dla ludzi świetnie obeznanych z technicznymi arkanami była to czarna magia. Kiedyś Dermott próbował mi wytłumaczyć zasadę działania widmowej sieci. Nie zrozumiałem zbyt wiele z tych wyjaśnień. Wiem tylko, że Sieć Pajęczych Widm była jakimś ultymatywnym odbiciem wirtualnego świata Internetu. Wyobrażałem ją sobie jako podziemia wydrążone pod uczęszczanymi szlakami albo może jako cienie zwykłych łączy ukryte przed wzrokiem postronnych internautów. Dermott uważał, że klasyczna sieć WWW zmieniła się w śmietnisko, w którym bardzo trudno jest odnaleźć coś wartościowego. Jego zdaniem Sieć Pajęczych Widm miała w sobie jeszcze ten dziewiczy charakter, który dawno utraciły przestrzenie utkane z konwencjonalnych połączeń.

Więc mój przyjaciel usiadł za konsolą i włączył własny program śledzący, stworzony w zamierzchłych czasach, do których nie lubił wracać we wspomnieniach. Po dwóch kwadransach podniósł się, a na jego twarzy zagościł dość dziwny wyraz.

– Odkryłeś coś, przyjacielu? – zapytałem zaciekawiony.

– Jeszcze nie wiem... – odparł. – W każdym razie jedziemy do Akwizgranu.

\*\*\*

Niemiecki policjant początkowo bardzo nieufnie potraktował nasze wyjaśnienia, czemu zresztą trudno było się dziwić. Jednak, gdy Dermott wyciągnął listy polecające ze Scotland Yardu, sytuacja odmieniła się niczym losy uciskanych robotników po rewolucji w radzieckich filmach propagandowych. Błyskawicznie udostępniono nam archiwum, a Dermott mógł zamienić kilka słów z oficerem śledczym.

– Więc morderstwo miało miejsce o ósmej rano, czyli o szóstej czasu Greenwich?

– Zgadza się, panie de Valois.

– Pokój zaryglowano od środka, a ofiara leżała na podłodze ugodzona kilkanaście razy ostrym narzędziem, którego nie znaleziono? – dopytywał się Dermott.

– Wszystko się zgadza...

– Czy rany na ciele ofiary tworzyły jakiś wzór?

– Obawiam się, że nie bardzo rozumiem...

– A czy mogę zobaczyć zdjęcia zamordowanego?

– Oczywiście.

Wpatrywałem się w twarz mojego przyjaciela, którą zdobił coraz szerszy uśmiech. Po chwili niemiecki funkcjonariusz wrócił z teczką pod pachą. Dermott wyrwał mu ją gwałtownym ruchem. Wyciągnął ze środka fotografie i wybrał jedną z nich. Po chwili tryumfalnie wyrzucił ramiona do góry.

– Wiedziałem! – krzyknął.

– O co chodzi, Dermocie? – zapytałem, lekko zatrwożony zachowaniem mojego przyjaciela, który rzadko dawał się ponieść emocjom.

– Popatrz, Harrisonie, na to zdjęcie... – jego twarz jaśniała. – Rany układają się w ten sam kształt, który widzieliśmy na ciele w Londynie.

– Ale... Co to oznacza?

– Jak to, Harrisonie, nie wiesz? To przecież chiński ideogram, który tłumaczymy zwykle jako "taki sam" albo „bliźniaczy”!

Nadal byłem zdezorientowany.

– Dermocie... Nie rozumiem... To, kto jest w takim razie mordercą?

Przyjaciel spojrzał na mnie z wyraźną naganą w oczach.

– Ależ, mój drogi. Jeszcze nie wiem. Odkryłem jednak wzór, matrycę powiązań!  
Teraz już pójdzie łatwo!

Nie podzielałem optymizmu Dermotta. To przedziwne, ale właśnie mi przyszło do głowy, że wtedy po raz pierwszy to ja miałem rację.

\*\*\*

Niebawem Dermott pogrążył się w depresji. Spędzał całe dni nad konsolą, konsultował się z pajęczymi widmami, ale nawet one nie były w stanie wyrwać go z tego stanu. W duchu czułem pewną satysfakcję, bo pamiętałem dobrze, jak wiele miesięcy wcześniej Dermott upierał się, że wystarczy tylko zadać cyfrowym duchom odpowiednie pytanie, by wszystkie wątpliwości rozplynęły się we mgle. Jednak cierpienie przyjaciela coraz bardziej się uwidaczało. Zupełnie stracił apetyt i robiło mi się natychmiast wstyd, że kieruję się tak niskimi pobudkami.

Któregoś dnia Dermott wytoczył się ze swojego gabinetu. Sińce pod oczyma przypominały polne kwiaty.

– Masz coś? – zadałem pytanie, starając się bardzo, aby w moim głosie zabrzmiała serdeczność.

– Och, Harrisonie... To tylko hipoteza... Muszę ją zweryfikować, gdyż nie wygłoszę takich herezji, zanim nie upewnię się, że są prawdziwe.

Nie było to do niego zbyt podobne. Zazwyczaj nie przejmował się opiniami osób postronnych i nieraz zdarzało mu się głośno artykułować nawet mgliste przypuszczenia.

– Ile czasu zajmie ci sprawdzenie swojej teorii? – spytałem go ostrożnie.

– Wieczorem wszystko postawimy na baczność – wycedził.

Pod oczami wyorały mu się bruzdy, a twarz przypominała nieruchomą maskę. Wiedziałem, że Dermott zna już odpowiedź na dręczące go pytanie.

I że wcale mu się ona nie spodobała.

\*\*\*

Siedziałem w blasku padającym z lampy, a w moich dłoniach trzymałem zdjęcia. Dermott wydrukował je przed chwilą.

– Co na nich jest?

– To ty mi powiedz, Harrisonie. Co widzisz?

Wydruki fotografii przedstawiały martwe ciała znaczone krwawym alfabetem obrażeń. Zwróciłem uwagę, że każde ze zdjęć jest powtórzone w dwóch egzemplarzach.



– Po co podwójne kopie, Dermocie?

Detektyw spoglądał na mnie z dziwnym uśmiechem.

– To nie są kopie... Pamiętasz trupa z Akwizgranu, którego zadźgano w ten sam sposób, co naszego prawnika? Tam również wystąpił identyczny układ ran kłutych. Widzisz, Harrisonie... Masz przed sobą trzynaście podobnych, podwójnych kompletów. Morderstw dokonywano w odległych miejscach w taki sam sposób, o tej samej godzinie...

Spojrzałem podejrzliwie na przyjaciela.

– To chyba niemożliwe?

– A jednak...

– Ale... Czego to właściwie dowodzi? Jaką masz teorię?

Dermott westchnął.

– Trudno ci będzie w to uwierzyć. Jednak wyłaniający się wzór jest całkowicie jednoznaczny. Wyobraź sobie, że miasta mają swoje odpowiedniki, lustrzane odbicia. Nowy Jork może być refleksem Lubeki, Kuala Lumpur – Bostonu, a Londyn – Akwizgranu. Ale z drugiej strony odbiciem Paryża może być mała wioska na Słowacji, rozumiesz? Wielkość nie ma znaczenia.

– Wielkość nie ma znaczenia – powtórzyłem mechanicznie.

– Stwierdziłem po prostu, że każda zbrodnia popełniona w jednym z – jak to nazwałem – bliźniaczych miast, ma swój odpowiednik w odpowiadającej mu miejscowości po drugiej stronie lustra. I nie ma wtedy sensu szukać winnego...

– Ale, Dermocie... – przerwałem mu. – To chyba rzeczywiście herezja...

– Zweryfikowałem ją, Harrisonie... Pokazałem ci tylko kilkanaście przykładowych wydruków... Widmowe pająki odnalazły kilkaset innych zabójstw potwierdzających tę regułę.

Przez chwilę milczałem.

– To znaczy, że naszego prawnika zabił jakiś narkoman z Akwizgranu za pomocą lustra?

– Nie. Zabójcą jest po prostu lustro – odpowiedział Dermott i zamknął się w swoim pokoju.

\*\*\*

To była ostatnia sprawa Dermotta de Valoisa. Uznał, że jego praca straciła sens. Wkrótce wyjechał z Londynu i zaginął po nim wszelki ślad. Nawet ja – jego najbliższy przyjaciel – nie dostałem od niego adresu. Próbowałem odnaleźć go za pośrednictwem Sieci

Pajęcznych Widm, ale zgodnie z oczekiwaniami moje wysiłki spełzły na niczym. Powróciłem do swojej prywatnej praktyki; mam gabinet na przedmieściu, w którym przyjmuję psy i koty, małe mieszkanko oraz jedną młodą damę na oku, wobec której czynię pewne starania. Nie wracam często myślami do tamtych wydarzeń. Ostatnio jednak uzmysłowiłem sobie, że Dermott nie wziął pod uwagę niektórych pozytywnych aspektów tego dziwnego zjawiska. Może zwierciadła odbijają nie tylko zbrodnie i gwałty? Może w bliźniaczych miastach swoje odpowiedniki mają nie tylko morderstwa, ale i dobre uczynki? Pomyślmy, ile kryje się nadziei w takim scenariuszu... Zakochujesz się na przykład w pięknej nieznajomej w Bostonie, a w tym samym czasie wybucha uczucie między dwojgiem ulicznych grajków w Kuala Lumpur... Czemu Dermott tego nie dostrzegł?

Ale później wyobraziłem sobie, jak mój przyjaciel pogardliwie wykrzywia twarz. „Miłości nie można kłaść na tej samej szali, co morderstwa popełnionego z zimną krwią. Nie dostrzeżasz różnicy?” – powiedziała by z pewnością.

Nieraz przeglądam gazetę, zbulwersowany wysokim odsetkiem niewyjaśnionych zabójstw dokonywanych w naszym mieście. I wtedy przypomina mi się rozmowa, jaką przeprowadziliśmy dawno temu, gdy świata nie dzieliły jeszcze lustra. Dermott wypowiedział wówczas dość jednoznaczną opinię.

– Zbrodnia doskonała, Harrisonie? Gdybym to ja miał ją popełnić, nigdy by mnie nie złapano.

Czy to dlatego zniknąłeś, przyjacielu? Proszę, daj mi jakiś znak, że żyjesz, i że nie zostałeś zbrodniarzem!

\*\*\*

Ciało doktora Johna Harrisona znaleziono o świcie nad brzegiem Tamizy. W jego zaciśniętej dłoni tkwił odłamek lustra. Był to mały fragment większej całości, ale przecież odbijał się w nim most i odległe nabrzeże po drugiej stronie rzeki. A może nawet coś więcej...

# † ODPUŚĆ NAM NASZE WINY ‡

## GRZESZNA ANTOLOGIA

D. ADWENTOWSKA P. BOROWIEC  
P. CIELICZKO P. KARBOWSKI  
A. KWIATKOWSKA O. ROT M. ZYCHŁA

**HISTERIA**  
Wydawca: V. 1. 17

MAGAZYNHISTERIA.PL



YES



NO

SHRED PERSPECTIVES WORKS  
DESIGN



DARK ART  
AND DESIGN

GOOD BYE



rys. Izabela Wojciechowska



# SERCE OSKARŻYCIELEM

Edgar Allan Poe

tłum. Bolesław Leśmian

Bez wątpienia jestem zbyt nerwowy, strasznie nerwowy, zawszem był taki... Na jakiej wszakże zasadzie chcecie koniecznie upatrzeć we mnie szaleńca? Choroba zaostrzyła moje zmysły – nie znicestwiła ich, nie przytłumiła. Ponad innymi zmysłami słuch mój górował niezwykłą czujnością. Słyszałem wszystko, cokolwiek działo się w niebiosach i na ziemi. Słyszałem wiele z tego, co się działo w piekle. Skądże mi do szaleństwa? Chwila uwagi!

Bacście jeno, z jakim nadmiarem zdrowia i pogody ducha mogę wam opowiedzieć wszystko, co się stało.

Określenie tego, jakim sposobem wiadoma myśl powstała pierwotnie w mym mózgu, wymyka się wszelkim możliwościom. Wszakże od chwili powstania myśl ta przebywała we mnie dniem i nocą. Przedmiot? Myśl była bez przedmiotu. Była pozbyta wszelkiej namiętności.

Lubiłem poczciwego starucha. Nigdy mi nic złego nie uczynił. Nigdy mnie nie uraził. Zgoła nie pożądałem jego złota. Przypuszczenia moje dotyczą raczej jego oka... Tak, to było to! Miał jedno oko podobne do sępiego – oko płononiebieskie, bielmem przysłonięte. Ilekroć to oko zwracało się ku mnie, tylekroć krew we mnie stygła, i oto – z wolna, stopniowo – ukuła mi się w głowie zachcianka odebrania starcowi życia, aby w ten sposób raz na zawsze uwolnić się od jego oka.

Otóż właśnie, tu tkwi sęk! Sądźcie mnie szalonym. Szaleni nie wiedzą nic a nic. Gdybyście mogli jednak podpatrzeć, jak sprawnie działałem! Jak ostrożnie, jak zapobiegliwie, jak przebiegle zakrzętnąłem się dokoła mej roboty! Nigdy nie byłem dla starucha tak uprzejmy, jak w ciągu całego tygodnia, który poprzedzał spełnienie morderstwa. I co noc – około północy – podważałem zasuwę jego drzwi i otwierałem je – o, jakże bezszmerne! I w chwili, gdy uchylał drzwi na objętość mej głowy, wsuwałem ślepą latarnię, zamkniętą szczelnie, szczelnie zamkniętą, wzbraniającą przypustu najmniejszemu promieniowi, a w ślad za nią wtlaczałem głowę. O, moglibyście się uśmieć, widząc, jak zręcznie wtlaczałem głowę. Nadawałem jej ruch powolny, bardzo, bardzo powolny, by nie zakłócić snu starca. Dobrą godzinę musiałem tracić na przewleczenie mej głowy poprzez otwór tak daleko w głąb, aby go oglądać zmożonego snem na łożu. Czyż szaleniec zdobyłby się na taki rozsądek?

W chwili, gdy głowa moja przebywała goła w pokoju, odsłaniałem latarnię w spokoju, ostrożnie – o, jakże ostrożnie, jak ostrożnie! Zawiasa bowiem powrzaskiwała. Odsłaniałem jeno tyle, ile było trzeba, ażeby jedna, niepochwytna nić światła trafiła do sępiego ślepie. I w tej czynności ćwiczyłem się przez siedem długich nocy – co noc – o samej północy, lecz zastawałem zawsze ślepie zamknięte, nie mogłem przeto dopełnić mego zamiaru, nie starzec bowiem mnie męczył, lecz jego Złe Oko. I co rano, gdy dzień świtał, wchodziłem bezczelnie do jego pokoju, zawiązywałem z nim śmiało rozmowę, nazywając go po imieniu głosem serdecznym i zapytując, jak spędził noc. Owóż – wyznajcie, że staruch – zaprawdę musiałby chyba posiadać duszę nadzwyczaj przenikliwą, aby wpaść na domysł, że co noc o samej północy badam go zdjętego snem.

Ósmej nocy powziąłem większą jeszcze bacność przy rozwieraniu drzwi. Mniejsza wskazówka zegara szybciej się porusza, niżli wówczas dłoń moja. Nigdy, do czasu tej nocy, nie odczułem tak w pełni mych sił – bystrości mego umysłu. Pomyśleć jeno, że byłem tuż, ja – cierpliwy rozwieracz drzwi – a jemu nawet nie śniło się o tym, co czynię i co zamierzam potajemnie! Na myśl o tym uroniłem nieco śmiechu i, być może, starzec mnie posłyszał, gdyż zniecacka poruszył się na łożu, jakby się ocknął. Sądzicie zapewne, że w takiej chwili się cofnąłem? Bynajmniej! Pokój jego był czarny niby smoła, tak się w nim zagęstiły cienie, okiennice bowiem z obawy złodziei były starannie zamknięte; tedy wiedząc, że starzec nie może dojrzeć półrozwarcia drzwi, rozchylałem je nadal coraz bardziej, coraz szerzej. Przesunąłem już mą głowę i dotarłem do chwili odsłonięcia latarni, gdy duży mój palec pośliznął się na blaszanym zamku i starzec, wyprostowawszy się na łożku, zawołał: „Kto tam?” Znieruchomiałem całkowicie i nie odrzekłem nic. Przez godzinę całą nie poruszyłem ani jednym ścięgnem i przez cały ten czas nie słyszałem, aby się do snu ponownie układał. Trwał wciąż w postawie siedzącej, na czatach – zupełnie tak samo jak ja, gdy po całych nocach nasłuchiwałem świerszcza ukrytego w murze.

Lecz oto posłyszałem wąty jęk i wnet poznałem, że był to jęk śmiertelnego przerażenia. Nie był to jęk bólu ani rozpacz – o, nie! Był to głuchy i zdławiony wydech, który się dobywa ze dna duszy zmiążdżonej przestraciem. Znałem dobrze ów wydech. Przez wiele nocy o samej północy, gdy spał świat wszystek, wyrwał się on z mej własnej piersi, wyotchlaniając swym strasliwym echem widma trawiących mię przerażeń. Powtarzam: znałem go dobrze. Wiedziałem, czego doznawał starzec, i czułem dlań litość, chociaż się śmiało coś w mym sercu. Wiedziałem, że trwa ockniony od chwili pierwszego, maluczkiego szmeru, gdy się przewracał na łożu.

Lęk jego wciąż się wzmacniał. Starał się, ale nie mógł przekonać siebie samego, że lęk to bez przyczyny. Mówił sam w sobie: „To nic innego, jeno wiatr w kominie – to tylko mysz przemknęła wzdłuż podłogi” albo: „to tylko świerszcz zazgrzytał”.

Tak, silił się dodać sobie otuchy takimi domysłami, ale to wszystko było nadaremne. Wszystko było nadaremne, albowiem śmierć, która się zbliżała, przeszła obok niego ze swym wielkim, czarnym cieniem i spowiła weń swoją ofiarę. I właśnie żalobna przemoc niewidzialnego cienia zdziałała, iż wyczuł (choć starzec nic nie widział i nie słyszał) pobyt mej głowy w pokoju.

Przeczekawszy czas długi – bardzo cierpliwie i nie słysząc, aby się do snu ponownie układał, postanowiłem odsłonić z lekka latarnię; lecz tak z lekka, tak z lekka, jakby wcale nie. Odsłoniłem ją wreszcie tak niepostrzeżenie, tak niepostrzeżenie, że trudno to sobie nawet

wyobrazić, aż w końcu samotny, blady promień, na kształt nici pajęczej, wysunął się ze szczeliny i padł na sępie oko.

Rozwarte było, na oścież rozwarte i wpadłem we wściekłość w tej samej chwili, gdy je ujrzałem. Ukazało mi się z doskonałą jasnością: całe w zadymce błękitnej i powleczone pokalaną błoną, której widok zmroził mnie aż do szpiku kości. Z całej twarzy jednak i z całej postaci starucha nie mogłem dojrzeć nic, prócz tego, com zobaczył. Skierowałem bowiem promień, jakby pod wpływem instynktu, nie gdzie indziej, jeno właśnie w samo sedno przeklętego miejsca.

Otóż tedy – czyż wam nie nadmieniałem, że to, co uważacie za szaleństwo, jest jeno przeczeniem zmysłów?

Otóż, powiadam wam, dotknął mych uszu głuchy, zdławiony, częstotliwy szmer, podobny do tego, który wytwarza zegarek, owinięty w watę. Dźwięk ów poznałem tak samo i niezgorzej... Było to bicie serca w piersi starucha. Dźwięk ów wzmógł moją wściekłość, na kształt uderzeń bębna, które podjudzają odwagę żołnierza. Wszakże pohamowałem się raz jeszcze i trwałem nadal bez ruchu.

Oddychałem z trudnością. Znieruchomiłem w dłoni latarnię. Sposobiłem się do utrwalenia promyka na samym wręcz ślepiu. A jednocześnie serce biło na alarm nieco mocniej. Uderzenia jego nabierały co chwila pośpiechu i nabierały co chwila odgłosu. Według musowego prawdopodobieństwa przerażenie starca dosięgało kresów ostatecznych. Odgłos owych uderzeń z każdą chwilą, powtarzam, stawał się mocniejszy i mocniejszy! Uważnież mnie słuchacie? Wszakże was uprzedziłem, że jestem nerwowy, i rzeczywiście – jestem.

I oto – w pełni nocy, wśród przeraźliwego milczenia tego starego domostwa – ów tak osobliwy szmer poraził mnie niepokonanym lękiem. W przeciągu kilku mgnień następnych wściągałem się i trwałem nieporuszenie. Lecz odgłos uderzeń wciąż wzmagał się i wzmagał. Zdawało mi się, że serce pęknie. I oto ogarnęła mnie troska nowa! Dźwięk ów mógł dolecieć uszu sąsiada! Godzina starca wybiła! Wyjąc wniebogłosy, odsłoniłem nagle latarnię i wdarłem się do pokoju. Staruch wydał jeno tylko okrzyk – jeden jedyny, w okamgnieniu cisnąłem nim na oślep o podłogę i przytłoczyłem go całym miażdżącym ciężarem łoża. I tu się dopiero uśmiechnąłem radośnie na widok tak wynagrodzonych trudów. Lecz przez kilka minut serce się ozywało zakapturzonym wydźwiękiem. Ta wszakże okoliczność nie trwożyła mię zgoła, nikt bowiem nie mógł poprzez mury dosłyszeć owego wydźwięku. A i ten się z wolna uciszył. Staruch był martwy. Podniosłem łoże i zbadałem ciało. Tak, na miejscu padł trupem, na miejscu. Przyłożyłem mu dłoń do serca



i przetrzymałem ją tam kilkanaście minut. Ani śladu tętna. Padł trupem na miejscu. Odtąd już jego ślepie nie będzie mnie dręczyło.

Jeśli trwacie w przekonaniu, że jestem szalony, przekonanie owo pierzchnie, gdy wam opiszę, jakich przebiegłych sposobów użyłem dla ukrycia trupa. Noc nadchodziła, a ja pracowałem pośpiesznie, chociaż w milczeniu. Odciąłem głowę, a potem ręce, a potem nogi.

A potem wyłamałem trzy deski z podłogi i złożyłem wszystek zespół pomiędzy dranicami. A potem przystosowałem deski do dawnego miejsca tak zręcznie, tak chwacko, że żadne oko ludzkie – nawet jego oko – nie mogłoby dojrzeć nic podejrzanego. I nic nie było do zmycia, ani jednej plamy, ani jednego śladu krwi. Byłem zbyt z tym zapobiegliwy. Nic nie zostało na dnie pełnego przed chwilą cebrzyka! Cha, cha!

Gdy dokonałem tych wszystkich zabiegów, była godzina czwarta i ciemno, jak o północy. Podczas gdy zegar wydzwaniał godzinę, zapukano do drzwi od ulicy. Lekko mi było na sercu, gdy szedłem otworzyć – czegoż bowiem bać się mogłem obecnie? Weszło trzech ludzi, którzy z przedoskonalonym ugrzecznieniem przedstawili mi się jako urzędnicy policyjni. Pono ktoś z sąsiadów słyszał nocą jakiś okrzyk, dzięki temu powstało podejrzenie, że zaszło coś złego – podano wiadomość do biura policji – i ci panowie (urzędnicy) przybyli właśnie, jako wysłańcy, gwoli zbadania miejsca.

Uśmiechnąłem się – jakież bowiem miałem powody do obaw? Gościnnie powitałem tych jegomościów. „Co do krzyku – rzekłem – sam właśnie przez sen krzyknąłem. Stary zaś człeczyna – dorzuciłem – udał się w podróż po kraju”. Oprowadziłem mych gości po całym domu. Prosiłem, aby wszędzie zajrzeli i aby zajrzeli dokładnie. Wreszcie wprowadziłem ich do jego pokoju. Pokazałem im cały jego dobytek w zgoła bezpiecznym schronieniu i w bezwzględnym ładzie. Przesadzając w zapale ufność we własne siły, wniosłem krzesła do pokoju i prosiłem ich, aby spoczęli, podczas gdy sam z zawrotną odwagą zupełnego triumfu utwierdziłem swe krzesło w tym samym właśnie miejscu, gdzie były ukryte zwłoki ofiary. Urzędnicy wykazali zadowolenie. Przekonało ich moje postępowanie. Czułem osobliwy błogostan. Usiedli i zagaili rozmowę byle jakiej treści, ja zaś wesoło im odpowiadałem. Lecz po upływie pewnego czasu poczułem, że błędę, i pożałowałem w duszy ich odejścia. Począł mię dręczyć ból głowy i zdawało mi się, że dzwoni mi w uszach. Oni wszakże nie powstali z swych siedzeń i rozmawiali nieustannie. Dzwonienie wyraźniało. Trwało wciąż i wyraźniało coraz bardziej. Wzmogłem swoją gadatliwość, aby się odczepić od owego wrażenia. Lecz dzwoniło dobitnie i przybrało cechy zgoła nieodparte, aż w końcu wykryłem, że to nie w uszach moich dzwoni.

Bez wątpienia bardzo wówczas pobladłem. Lecz gawędziłem ze zdwojoną jeszcze płynnością i głosem podniesionym. Dźwięk wciąż się rozrastał – co miałem począć? Był to szmer głuchy, zdławiony, częstotliwy, szmer niezwykle podobny do tego, który wytwarza zegarek owinięty w watę.

Oddychałem z trudnością. Urzędnicy nie słyszeli jeszcze. Zacząłem gadać szybciej i z większą gwałtownością, ale szmer wzmagął się nieustannie. Wstałem i wszcząłem spór o jakieś drobnostki w tonie wielce wzniosłym, z przydatkiem gestów popędliwych, lecz szmer się wzmagał – wzmagał nieustannie. Czemuż ci ludzie nie chcą stąd odejść? Tam i sam, ciężkimi i wielkimi krokami zacząłem odmierzać pokój, jakby rozjątrzony uwagami moich rozmówców. Lecz szmer wzrastał miarowo. O, Boże! Cóż miałem począć? Burzyłem się, plotłem trzy po trzy, przeklinałem. Poruszałem krzesłem, na którym siedziałem, szurałem nim po podłodze. Wszakże szmer wciąż trwał i wzmagał się bez końca, Krzepnął coraz bardziej – coraz bardziej i wciąż coraz bardziej. A goście wciąż gadali – i uśmiechali się, i żartowali. Możliweż to, że nic nie usłyszeli? Boże wszechmogący! Nie, nie! Słyszeli! Domyślali się! Wiedzieli! Bawili się jeno moim przerażeniem! Tak pomyślałem – i dotąd jeszcze tak myślę. Wszystko byłoby łatwiejsze do zniesienia, okrom tego pośmiewiska. Nie mogłem znieść dłużej tych uśmiejchów! Uczułem, że albo krzyczeć muszę, albo skonać! I teraz jeszcze – czy słyszycie? Nasłuchujcie! Coraz głośnieij, coraz głośnieij, wiecznie głośnieij, wiecznie głośnieij!

– „Nikczemni! – krzyknąłem – Nie udawajcie dłużej! Wyznaję wszystko! Zerwijcie te deski! To tam! To tam! To trzepot jego straszliwego serca!”

# Ugryźć Topora

dr Eliza Krzyńska-Nawrocka

Niesamowita wyobraźnia, deformująca i paradoksalnie wydobywająca prawdziwe oblicze rzeczywistości otaczającej człowieka – to jedna z możliwych charakterystyk twórczości Rolanda Topora. Nie jest jednak łatwo w jednym zdaniu ją opisać, większa ilość słów także może temu nie podołać, bo autor *Chimerycznego lokatora* i jego dzieła to trudny orzech do zgryzienia. Warto jednak spróbować ugryźć Topora, bo smakuje on wybitnie. Zastrzegam, że może nie wszystkim podchodzić, jednak mnie osobiście smak jego utworów przypadł do gustu; patrząc na wciąż żywe zainteresowanie nimi, nie jestem jedyna. I bardzo dobrze! Zatem smacznego!

Roland Topor serwuje dania specyficzne. Niniejszy artykuł traktuje jedynie o jego dziełach literackich (lub aż, bo katalog pisarskich dokonań jest spory i niezwykle ciekawy), warto jednak mieć w pamięci, że Topor rysował, projektował plakaty, okładki, był grafikiem, dramaturgiem, reżyserem filmowym i teatralnym. Był też aktorem (warto wymienić rolę w *Nosferatu wampir* Herzoga czy w zekranizowanym przez Polańskiego wspomnianym *Chimerycznym lokatorze*), scenarzystą, scenografem, prowadził programy telewizyjne. Pisał powieści, opowiadania, popełniał także wiersze... Wiele zajęć, wiele pasji, w których znajdowała ujście jego nieogarniona imaginacja.

Zanim jednak o jego niewątpliwych dokonaniach artystycznych, warto przybliżyć samą sylwetkę autora *Chimerycznego lokatora*. Nie jest to oczywiście biogram całościowy, gwoli ścisłości wspominam o faktach istotnych, w tym faktach mających wpływ na wspomnianą imaginację i geniusz Topora. Urodzony 7 stycznia 1938 roku w Paryżu, pochodził z rodziny polskich Żydów, którzy w latach trzydziestych wyemigrowali ze stolicy Polski.

Tożsamościowe niepewności, w tym zawirowania językowe (w swoich wspomnieniach pisze o wątpliwościach, które słowa są polskie, a które w jidisz, np. pisze o słowie *Sza!*) i kulinarne (o nich też wspomina, np. o makowcu), ten patchwork kulturowy, jaki odczuwał, niewątpliwie odcisnął na nim piętno. Tak samo jak wojenne ukrywanie się przed Niemcami, zmiany miejsc zamieszkania (po zajęciu Francji ucieczka do Sabaudii i rozdzielenie z rodzicami w wieku pięciu lat), bycie nie u siebie kształtowały Topora.

Oprócz tych czynników należałoby wymienić wpływ ojca, niegdyś studenta Akademii Sztuk Pięknych, który zainteresował syna sztuką. Zaszczepił w nim umiłowanie malarstwa, choć kochali innych twórców – ojciec: Matejkę, a Roland: Witkacego, Schulza oraz rodziciela, którego uważał za największego artystę, kultywując zachwyt nad nim, otaczając się we własnym mieszkaniu obrazami jego autorstwa. Wybrał zresztą (po ukończeniu szkoły średniej) drogę artystycznej edukacji – studia w École Nationale des Beux Arts w Paryżu. W tym też czasie daje się poznać jako twórca: w 1958 roku publikuje swój pierwszy rysunek w czasopiśmie *Bizarre*, współpracuje potem z innymi czasopismami, w tym ze słynnym satyrycznym piśmie *Hara-Kiri*. Ukazują się jego grafiki, opowiadania. Bogata aktywność Topora objawia się także założeniem (wraz z innymi artystami) w 1962 roku Akademii Panicznej (zwanej też Grupą Paniczną) bez reguł i rygorów, za to z postulatem pełnej wolności artystycznej twórcy. Od epitetu pojawiającego się w nazwie grupy (a także w późniejszych tytułach utworów literackich) wspólnym mianownikiem zdarzało się określać artystów o podobnej wrażliwości, łącząc ich z wyobraźniowością Topora (skądinąd zupełnie inną sprawą jest, czy wskazywane więzi są słuszne), a określenie paniczny niezbyt pojemnie traktowane. Topor nieraz wykreślał się od objaśnienia tego epitetu, najmocniej na ten temat wypowiedział się chyba, tłumacząc, że Bóg jest bogiem totalizmu i natury, którego widok sprawiał, że ludzie popadali w szaleństwo i: *byli pełni panicznego strachu, panicznego szaleństwa – ponieważ rzeczywistości nie można spoglądać prosto w twarz. A więc na miejsce rzeczywistości mamy tylko jej odbicie w informacjach, artykułach, ale to nie sama rzeczywistość. Sama rzeczywistość jest szalona. (...) Wszystko staje się paniczne, przenika się wzajemnie. To mieszanina absurdu, gwałtu, seksu, humoru*<sup>1</sup>.

Taki jest właśnie świat w jego rysunkach, w jego tekstach – szalona mieszanina, w którą wrzucony zostaje człowiek, na którym skupia swoją uwagę Topor. Indywidualny sposób kreowania przez niego rzeczywistości sprawił, że nieustannie próbowano go określić. Jego twórczość plastyczna nazwana mianem surrealistycznej, deformującej, sztuki gęstej kreski podobnie do twórczości pisarskiej szufladkowana była zarówno za jego życia, jak i po śmierci Topora (zmarł 16 kwietnia 1997 roku). Nadal zresztą można zauważyć syntetyczne próby wpisania go w konkretny nurt, rodzaj etc. Próbom tym Topor wymykał się i wymyka szczęśliwie. Oczywiście, można wskazać pewne charakterystyczne cechy danych kierunków artystycznych, doszukiwać się wpływów kulturowych w dziełach autora *Alicji w Krainie Liter*, niemniej jednak przyjąć trzeba, że Topor jest osobny, jest wyjątkowy, jest jedyny

---

<sup>1</sup> A. Bilaska, *Topor*, „Radar” 1986, nr 31, s. 34.

w swoim rodzaju. Michał Nawrocki w interesującym artykule *Martwa natura z Toporem*, poruszając tę kwestię, zauważał:

*Jak zwykle w przypadku postaci dużego formatu, więcej jest wątpliwości niż pewników. Jednoznaczne sklasyfikowanie Topora wydaje się nieprawdopodobieństwem. Roland Topor – to właściwie kto? Franchman, Paryżanin, polski Żyd. Prozaik, dramaturg, grafik. Prowokator, cynik, nihilista... Aktor, po trosze błazen, kpiarz... Jakieś egzotyczne skrzyżowanie egzystencjalisty z surrealistą. Intelktualny sadysta. Dla wielbicieli twórca kultury, dla przeciwników hochsztapler i nihilista. Dla jednych kabotyn i świntuch. Dla innych wyrafinowany intelektualista... (...) Roland Topor. Koneser śmierci i wytrawny smakosz życia. Człowiek, który aksamitną wstęgę z napisem „Granica dobrego smaku” wykorzystał jako elegancki papier toaletowy<sup>2</sup>.*

Wiele twarzy Topora można znaleźć w każdym z jego artystycznych dań – dań finezyjnie przygotowanych z różnorodnych składników, dań, wobec których nie można przejść obojętnym. W menu Topora ważne miejsce zajmuje twórczość pisarska (choć, jeśli wierzyć jego słowom, była to początkowo działalność niejako dodatkowa – miał zacząć pisać, żeby nie utracić przyjemności rysowania), literatura niepokojąca, chropowata, fragmentaryczna, a układająca się zarazem w paniczną całość. Spróbujmy jej.

Już same tytuły jego literackich dzieł kuszą kryjącym się w nich potencjałem tematów: *Chimeryczny lokator* (debiut powieściowy Topora – 1964 – podaję daty oryginalnych wydań, nie polskich przekładów), *Pamiętnik starego pierdoły* (1975), *Alicja w Krainie Liter* (1991), tytuły zbiorów opowiadań *Cafe Panika* (1982), *Najpiękniejsza para piersi na świecie* (1986), *Historyjki taksówkowe* (1988), *Dziennik paniczny* (1989). Często Topor swoje utwory (na przykład zbiory opowiadań) tytułuje zaskakująco wobec fabuły (której celowo nie zdradzam dla zaostrenia apetytów), a jednocześnie trafnie – chociażby *Sznyceł górski*, *Szkoła w przepaści*, *Alibi dziecka* czy *Dobre miejsce* – tytuły te stanowią integralną część utworu i wraz z puentą, charakterystyczną dla tekstów Topora, tworzą hermetyczną całość.

Topor ma zdolność mistrzowskiego prowadzenia opowieści – w tym opisywania miejsc, budowania napięcia fabularnego, nieoczekiwanego urywania akcji, jej konceptualnego zawieszenia. Autor *Czarnych krów* posiada ważną dla prozaika, cudowną wręcz umiejętność opisywania bohaterów, eksponowania, przerysowywania ich wad:

*Biedna Lucienne nie była zła. Była po prostu brzydka. Grube rysy, ogromny nos, wyblakłe włosy, obwisłe piersi, nogi rozszerzające się ku dołowi, a w całym tłustym ciele ani*

---

<sup>2</sup> M. Nawrocki, *Martwa natura z Toporem*, „Dekada Literacka” 2000, nr 6-8, s. 17.

grama wdzięku. Niektórzy mężczyźni poślubiają kobietę dlatego, że ucieleśnia ich ideał urody, inni dlatego, że wydaje im się inteligentna, jeszcze inni po prostu boją się samotności, więc uznają, że lepszy rydz niż nic. Tak właśnie było w moim przypadku. Po pięciu latach małżeństwa samotność wydała mi się jednak tysiąc razy lepsza niż to ohydne towarzystwo. Zeszecone takim potworem, życie stawało się znośne dopiero po kilku głębszych bez zakąski. (CRDL, s. 32)

Autor dramatu (takowy rodzaj literacki także uprawiał, o czym napomknęłam na początku) *Zima pod stołem* jest świadomym twórcą, co umożliwia mu swobodne żonglowanie składnikami, jego literackie dania mają dzięki temu nutę wyjątkową, niepowtarzalną. Pisarz gra umiejętnie konwencją, jak chociażby w opowiadaniu o znaczącym tytule *Wróżka inna niż wszystkie*, w którym fabułą nawiązuje do stylistyki bajki; główny bohater jest świadomy bajki o wróżce – utwór zaczyna się następująco:

*Każdy zna historyjkę o trzech życzeniach: zjawia się nagle wróżka i prosi, żeby wyrazić trzy życzenia, a ona je spełni. Któż z nas nie nasłuchiwał się tej ponurej historii aż do znudzenia? Nawet ja, który spędziłem męczeńskie dzieciństwo w domu, gdzie rodzice na zmianę walili mnie żelazną sztabą w głowę, słyszałem ją tysiące razy.*

*Cóż za bezwstydną kłamstwo! Jak można opowiadać takie idiotyzmy? Pewnego razu spotkałem prawdziwą wróżkę, i wierzcie mi...* (CRDL, s. 24)

W scenerii bajki utrzymane zostaje także opowiadanie *Ciupciać królową*. *Zęby wampira* to z kolei przykład gry z konwencją kulturową – wizerunkiem wampira i sposobów na jego pokonanie, a *Bez kompleksów* to z kolei nawiązanie do postaci Sfinksa z mitu o Edypie. Można by wymieniać wręcz w nieskończoność... Te kulturowe nawiązania to z jednej strony literacka zabawa, ale warto pamiętać, że to nie tylko sztuka dla sztuki. Topor eksperymentuje, bawi się językiem, formą literacką – mamy na przykład opowiadanie *Kilka pytań na kupie*, składające się z samych zdań pytających; mamy opowieści w krzywym zwierciadle, czy swoisty żart – „książkę, której nie ma” pod tytułem *Topor Souvenir*, wydaną w 1969 roku i choć linia czcionki została zachowana, to cała czcionka została przez autora zamazana na czarno. Te wszystkie zabiegi nie przeszkadzają mu być jednak poważnym, śmiertelnie poważnym. Bo Topor pisze o sprawach poważnych, sprawach dotyczących tego, co to znaczy „być”. A być – to według niego (w myśl jego utworów, przywołanej wcześniej wypowiedzi samego pisarza) być przerażonym.

Literackie utwory Topora uzewnętrzniają niepokoje (te same zresztą, które widać w jego twórczości plastycznej) człowieka wobec świata, wobec śmierci i życia, wobec samego siebie. Dlatego też tak ważne miejsce zajmuje w jego twórczości tekst, który stanowi

debiut powieściowy, to wspomniany już *Chimeryczny lokator* (1964) – dzieło ze wszech miar fenomenalne z duszną atmosferą zamkniętych przestrzeni, dzieło przytłaczające i budzące grozę. Znajdujemy w nim to wszystko, co później pisarz rozwinie w swoich opowiadaniach czy powieściach: pesymizm, gry słowne, gry z czytelnikiem, absurd, czarny humor, ostrą kreską charakteryzowania rzeczywistości przy jednoczesnym jej odrealnieniu, a wszystko to będące wyrazem lęku – lęku człowieka zanurzonego w świecie, człowieka przerażonego:

*Kurczył się w pościeli. Ostrzej niż kiedykolwiek odczuwał świadomość siebie samego. (...) Jego obsesją było dbanie o to, by opierając głowę w pewien sposób na poduszce, nie słyszeć bicia własnego serca. Obracał się dziesięć razy, zanim wreszcie znalazł tę szczęśliwą pozycję głuchego. Nie mógł bowiem znieść tego potwornego dźwięku, świadczącego o kruchości jego istnienia. Często zadawał sobie pytanie, czy serce każdego człowieka nie musi wykonać jakiejś określonej liczby uderzeń w ciągu całego życia. Gdy pomimo wysiłków wciąż słyszał, jak drgające serce szamocze mu się w piersi, po prostu chował się pod kołdrę. Nakrywał się z głową i szeroko otwartymi oczyma obserwował swe ciało skulone w mroku. Widziane w ten sposób, przybierało postać wielką i masywną. Ostro i przejmujący zwierzęcy zapach fascynował go. Czuł, że go to dziwnie uspokaja. Potrzebował swego zapachu, aby być pewnym, że istnieje. Zmuszał się do puszczania wiatrów, by zapach ten uczynić jeszcze silniejszym, jeszcze bardziej nieznośnym. Przebywał możliwie jak najdłużej pod kołdrą, gotów się udusić, lecz gdy wylaniał się na świeże powietrze, czuł się silniejszy. Mniej wtedy wątpił w wyzdrowienie, jego strach ustępował miejsca nadziei. (ChL, s. 68)*

Tak odczuwa siebie i świat tytułowy bohater *Chimerycznego lokatora*. Chorobliwy strach, niepewność, spotkanie z niezrozumiałym, z rzeczywistością innego rzędu – tak mocno zaakcentowane w pierwszej powieści Topora będą echem, i to zwielokrotnionym, powtarzały się w jego późniejszych utworach. Jest świat, jest człowiek i jest panika. Często obecnym będzie też temat metamorfozy bohatera, a także przemiany, spotwornienia otaczającego go świata. Wręcz obsesyjnie wykorzystywanym chwytem fabularnym u Topora jest pomyłkowe rozpoznanie, bycie kimś innym lub bycia brany za kogoś innego (jak na przykład w opowiadaniu *Przelotne burze* czy *Numer z telefonem*), mieszanie się fikcji z rzeczywistością. Powtarzalnym tematem będzie „stawanie się” lub tworzenie kogoś/czegoś (np. opowiadania *Nowo przybyły* czy *Święty ogień*) – zagadnienie istnienia jako takiego. Temu wszystkiemu towarzyszy wszechobecna śmierć – to *memento mori* nieraz jest groteskowe, ale nie pozostawia złudzeń, co do tragicznej natury świata. Pesymizm, którym przepełnione są omawiane utwory, nie sprawia jednak, że bohaterowie godzą się z porządkiem rzeczywistości – wręcz przeciwnie – miotają się, walczą, pragną czegoś. Nieraz

ich marzenia mogą wydawać się absurdalne, jak na przykład w *Przechodniej dłoni* czytamy o Józefie Pechowcu, wynalazcy kleju fizjologicznego, który potrzebny mu jest by przytwierdzić sobie wymienioną dłoń. Jego przezwisko wytłumaczone zostaje następująco:

*Dla nikogo bowiem nie było tajemnicą, że na lewej dłoni Józefa widniała najdziwniejsza linia życia, jaką sobie można wyobrazić. Linia kosmiczna, absurdalna, głupia, haniebna, nie na miejscu, linia przerywana.*

*Pomysł Józefa był prosty: wymienić dłoń. Przyswoić sobie, dzięki fizjologicznemu klejowi, rękę z przywoitą linią życia. Zaczął więc od tego, że dobrze wymierzonym ciosem sierpu pozbawił się lewej ręki. Balsam własnego wyrobu pozwolił zatamować krwotok. Potem, zaopatrzony w tubę kleju, Józef Pechowiec wyruszył na polowanie na dłonie. (CRDL, s. 29)*

Opowieść o ucinającym dłonie nieszczęśniku obok wielu innych utworów Topora nie jest tylko makabryczną historyjką. Można oczywiście zatrzymać się z odczytaniem na tym poziomie, traktując je jako horror, ale dobrze pamiętać, że dania tworzone przez Topora mają warstwy. Pod nimi kryje się owa paniczna wyobraźnia. Dobrze też pamiętać, że każdy dobry horror jest wyrazem lęku i powinien dotykać jak najmocniej lęku człowieka. A Toporowi się to udaje po mistrzowsku. Zajrzyjmy jeszcze na deser jeszcze do jednego z jego utworów – w *Dzienniku panicznym* znajdziemy takie wyznanie bohatera:

*Trudno będzie wam to przelknąć, ale muszę wyznać, że nie jadam byle czego. Jestem wybredny.*

*Nie wystarczy, żeby danie było apetyczne, musi mnie jeszcze pociągać, wywoływać totalne ssanie kubków smakowych, odpowiadać aktualnemu usposobieniu.*

*Nie inaczej z pićmi. Można mnie zapewnić, że to boski nektar, flaszka najprzedniejszego wina zachowanego na jakąś wielką okazję; nieufnie maczam wargi i dziewięć na dziesięć razy jestem zawiedziony. Nie potrafię zadowalać się taką jakością. Muszę szukać gdzie indziej tej lepszej, tej, do której wzdycham. Tak samo z dziewczętami, książkami, filmami... (DP, s. 21)*

Twórczość Rolanda Topora jest właśnie dla czytelników wybrednych. Nie wszystkim może być w smak taka literatura, niektórzy połamią zęby na jego abecadle (nawiązuję do tytułu polskiej antologii<sup>3</sup> dzieł – nie tylko zresztą literackich – Topora, encyklopedycznego ich opracowania, którego dokonała Agnieszka Taborska), ale ci, którym posmakuje, mają zapewnioną wybitną ucztę. To literatura, która totalnie porusza zmysły literackiego

---

<sup>3</sup> R. Topor, *Abecadło Topora*, wybór, opracowanie i przekład A. Taborska, Warszawa 2005.



podniebienia. Dlatego... warto ugryźć Topora.

Cytaty z utworów Rolanda Topora cytuję według poniższych wydań, opatrując fragmenty skrótem i numerem strony:

ChL – R. Topor, *Chimeryczny lokator*, przeł. T. Matkowski, Gdańsk 2000.

CRDL – R. Topor, *Cztery róże dla Lucienne*, przeł. T. Matkowski, Gdańsk 2000.

DP – R. Topor, *Dziennik paniczny*, przeł. E. Kuczkowska, Gdańsk 1996.

# W ŚWIĄTYNI TRYGŁAWA

Małgorzata Saramonowicz

Owej majowej Nocy Poczęcia usiłowałem przypomnieć sobie drogę do Białych Wzgórz i ukrytej w nich świątyni Trygława. Kiedy niespełna dwa lata wcześniej przemierzałem ją z tajnym ostrzeżeniem od Bolesława, prowadził mnie przewodnik. Teraz byłem sam. Nie miałem żadnej pewności, czy kapłani nie przenieśli swej siedziby, czy nie zaszyli się w głębi puszczy z dala od bezwzględnych siepaczy biskupa Baldwina.

Noc była jasna i upalna. Dobiegał mnie szum rzeki, znak, że idę właściwą drogą. Las, który mnie otaczał, pomrukiwał, pohukiwał i szeleścił, jakby usiłując odwieść mnie od powziętego zamiaru. Jakieś zwierzę czmychnęło mi spod nóg, w oddali zawył wilk, i począłem żałować, że nie zabrałem ze sobą Żmija. Pies dodałby mi otuchy i nie pozwoliłby mnie skrzywdzić. Nie miałem przy sobie broni, nawet noża, i uświadomiłem sobie, jak nieroztropnie wybrałem się w drogę. Wbrew zakazowi księcia, bez żadnej ochrony, za to z sakiewką wypchaną pieniędzmi.

Ogarnęły mnie wątpliwości. Czy słusznie postępuję? Czy nie wystawiam siebie i Bolesława na nadmierne niebezpieczeństwo?

Przypomniały mi się zasłyszane na jarmarkach i w gospodach pełne trwogi opowieści:

–Nigdy, przenigdy nie patrz kapłanom Trygława w oczy.

–Strzeż się! Przenikają najtajniejsze myśli i pragnienia. Znają przeszłość i przyszłość. Mają na usługach strzygi, wiły i utopce. A nawet sam Pławiec musi im się kłaniać – powtarzano.

–Władzę nad nimi dierży Najwyższy Kapłan lub Najwyższa Kapłanka. To dziecko poczęte z kapłanów, w którym objawi się moc.

Moc schodzenia do najdalszych piekieł – straszono.

Bajki. – Staralem się uspokoić umysł. – Bajki i zmyślenia, rozsiewane z pewnością przez samych kapłanów. Byłem szpiegiem, wiedziałem doskonale, że nic tak nie pomaga strzec tajemnicy jak nadmiar otaczających ją kłamstw.

Znad rzeki zerwał się wiatr. Wzdrygnąłem się i rozejrzałem. Zdałem sobie sprawę, że nie mam pojęcia, gdzie się znajduję. Co teraz? Wracać? – pomyślałem i nagle potknąłem się o kamień. Zamigotał bielą w świetle księżycy – znak, że zbliżam się do skalnego rumowiska.

Noc miała się ku końcowi, gdy dotarłem do stóp niskiego pasma Białych Wzgórz. Dalej wiodła tylko jedna wąska ścieżka, którą z trudem przeciskałem się między wielkimi skalnymi blokami. Czasem musiałem pełzać na kolanach, czasem wspinać się po wąziutkich stopniach wykutych w potężnych głazach. Kiedy pierwsze promienie słońca dotknęły szczytów Białych Wzgórz, skalny labirynt się skończył. Ściana urwała się nagle, a oczom moim ukazał się porośnięty trawą pusty dziedziniec. Rozejrzałem się zaskoczony, kamienne rumowisko wyglądało tak, jakby jakiś olbrzym odłupał część góry, rozkruszył ją i rozrzucił dookoła placu.

Przede mną wyrastała kamienna biała ściana z trojgiem żelaznych drzwi, których nie strzegli żadni strażnicy. Miejsce sprawiało wrażenie opuszczonego od miesięcy. Zawiedziony wpatrywałem się w odrzwia, które – jak sprawdziłem – okazały się zamknięte. Czyżby cały mój trud był daremny? – pomyślałem zgnębiony. Już chciałem się odwrócić i odejść, gdy niespodziewanie środkowe drzwi uchyliły się same, szeleszcząc cicho, jakby wykonano je z pergaminu, nie z żelaza, i owionął mnie chłodny podmuch i dziwny zapach przywodzący na myśl morskie odmęty. Rozejrzałem się niepewnie. Nikt się nie zjawił, nikt nie zaprosił mnie do środka, mimo to wszedłem.

Zrobiłem kilka kroków i drzwi zamknęły się za mną bezszelestnie. Wzdrygnąłem się. W ciemności, która mnie ogarnęła, nie mogłem dostrzec nawet własnej dłoni trzymanej tuż przed twarzą. Skuliłem się i odruchowo zacisnąłem palce na sakiewce, a potem macając jak ślepiec ścianę przed sobą, ruszyłem w głąb góry. Nie wiem, ile czasu trwała moja żmudna wędrówka. Kluczyłem, obmacując ściany, zawracałem i potykałem się wiele razy. Ogarniały mnie absolutna cisza i ciemność doprowadzające do szaleństwa moje zmysły. Aż w końcu, kiedy podpierając się na osłep dłońmi, podnosiłem się z kolan po kolejnym upadku, ujrzałem przed sobą coś jakby pobłysk, migocące, blade światło. Natychmiast poderwałem się i niemal biegiem ruszyłem w stronę zbawczej jasności uradowany, że wreszcie mogę rozpoznać zarysy ścian i dostrzec swoje poranione o kamienie ręce. Z ulgą wypadłem na otwartą przestrzeń i moim oczom ukazało się pomieszczenie wykute w samym sercu góry. Olbrzymia i niemal pusta kaplica, a na środku mały zapalony kaganek. Światło, które dodało mi otuchy i wskazało drogę. Zaświstał wiatr, a z trzewi góry dobył się przeciągły jęk. Wzdrygnąłem się i rzuciłem na ziemię, aby osłonić drżący płomień. Wstałem, trzymając kaganek w dłoniach jak najcenniejszy skarb, i rozejrzałem się.

Sala, w której się znajdowałem, oszołamiała swym ogromem, a jej wysokie sklepienie ginęło w mroku. Nie byłem w stanie odpowiedzieć na pytanie, jak mogła powstać. Czy dzięki

staraniom natury czy ludzkim wysiłkom? A może dzięki czarom? Musiała być ukryta głęboko w ziemi, patrząc bowiem z zewnątrz na Białe Wzgórza, nikt nie domyśliłby się istnienia w ich wnętrzu sali tak potężnej.

Oprócz żłobień w kształcie koła wypełnionego geometrycznym labiryntem w kamiennej posadzce i wielkiego trójgraniastego posągu Trygława o trzech obliczach i zasłoniętych oczach, który górował nade mną, nie było tu niczego innego. Surowe wnętrze bez ozdób, obrazów, symboli czy znaków. Pomieszczenie wypełniała dziwna pustka. Pustka, w której wyczuwałem niemal namacalną, duszną obecność boga. Boga, którego nie znałem, do którego nigdy wcześniej nie wznosiłem modłów. A jednak, ciekaw jego mocy i jego tajemnic, stanąłem przed nim ze swą prośbą gotowy na poznanie nowej potęgi. Może tym razem nie spotka mnie zawód? – rozmyślałem, patrząc na trzy posępne głowy boga i odnosząc wrażenie, że zasłonięte oczy śledzą każdy mój ruch, każde drgnienie i wiedzą, co przywiodło mnie przed oblicza bóstwa.

Rozglądałem się niepewnie dokoła, usiłując wypatrzeć tajne świetliki, okna służące do podglądania i podsłuchiwania wiernych, jakie sam bym w podobnym miejscu wykuł w skale, ale żadnych szpiegowskich udogodnień nie udało mi się dostrzec. Obejrzałem pilnie podłogi, sufity i ściany, ale nie znalazłem ani skrytobójczych pułapek, ani tajnych przejść.

Zrobiłem kolejny krok i nagle na coś nadepnąłem. Poczułem jakby kanciastą wypukłość i spojrzałem w dół. Ku mojemu zdziwieniu kamienna posadzka wyrzynała się do góry, boleśnie raniąc mnie w stopy. Syknąłem z bólu i odskoczyłem w tył. Kamień pode mną ożył. Podłoga falowała, drgała i wybrzuszała się na moich oczach, aż na jej powierzchni ukazała się, jakby wypchnięta od spodu płaskorzeźba o ostrych kantach. Zamigotała oświetlona pelgającym płomieniem. Zaskoczony schyliłem się i przeciągnąłem po niej dłonią. Kobięca postać poruszyła się pod moimi palcami, odwróciła do mnie oszalałą z przerażenia twarz i z całej siły przycisnęła niemowlę do piersi, a stojący za nią mężczyzna rozwarł ramiona, usiłując zasłonić dziecko przed trzema demonami o rozwianych włosach i szponiastych dłoniach.

– Rodzanice – szepnąłem, przypominając sobie opowieści z jarmarków. Wiedzmy Losu, tutejsze Parki, które łączą nici ludzkiego żywota, splatając je na zawsze w potrójną przędzę, zbierając w jeden splot losy trojga ludzi, trzech dusz i trzech ciał raz na dobre, innym razem na złe. Na kamiennej płaskorzeźbie Rodzanice wyciągały pazury, by wyznaczyć dziecku zły los. Już miały uczynić znak na jego czole, gdy przed nimi wyłonili się trzej odziani w długie szaty kapłani. Trzy laski

zastukały w kamienną posadzkę. Potrójna moc rozsypała złe przeznaczenie, by spleść je na powrót w szczęśliwszy węzeł. Potworny wrzask zawiedzionych Rodzanic wbił mi się w czaszkę, ogłuszył.

Potrójny obrzęd, potrójna ofiara, potrójna zapłata.

Dotknąłem podłogi, ale obraz zniknął równie nagle, jak nagle się pojawił, i został po nim tylko zimny, płaski kamień.

Stuk. Stuk. Stuk. Załomotała laska w podłogę. Odwróciłem się gwałtownie i niemal zderzyłem z trójką kapłanów z krwi i kości, którzy wyłonili się bezszelestnie tuż za mną. Poderwałem się na równe nogi i schyliłem głowę w pokorze. Trzy posępne postaci w czarnych kapturach zawisły przede mną jak kruki. Przyjrzałem się im uważniej i po wzroście i posturze poznałem, że jedna z nich to kobieta.

–Zatem pragniesz, Nefasie, odmienić płeć książęcego dziecięcia, które tej nocy zostało poczęte – rozległ się cichy głos pierwszego kapłana.

Rozejrzałem się z lękiem.

Skąd znają moje imię? Jak odgadli cel mojej wizyty, jeśli myśl ta powstała tylko w mojej głowie i nikomu oprócz księcia Bolesława nie została zdradzona? Kim są czarno odziani słudzy Trygława, jeśli potrafią szpiegować nie tylko ludzkie czyny i słowa, ale także myśli i pragnienia?

Kim jest ich bóg zdolny te pragnienia ziszczyć? – W głowie zaświtała mi nadzieja wymieszana z lękiem.

–Pragniesz tym samym zdobyć władzę nad swym księciem i ofiarowując mu syna, zapanować nad jego przyszłością – dodała kapłanka, a jej wysoki głos zabrzmiał ostro.

Mroźny dreszcz przeszedł mi po plecach. Trzeci z kapłanów nachylił się do mnie i zrzucając kaptur, spojrzał mi głęboko w oczy.

–Pragniesz uleczyć swoje zwątpienie i szukasz dowodu, który wypełniłby pustkę po utraconej wierze i pozwolił ci zaufać mocy większej niżli moc człowieka.

W gardle mi zaschło i z trudem przełknąłem ślinę. Twarz kapłana była wytatuowana na czarno od nosa aż po nasadę włosów, sposobem właściwym dla sług Trygława, tak że czarne źrenice zlewały się niemal z czernią czoła i policzków, nadając fizjonomii wygląd groźny i mutny jak sama śmierć.

–Pragnę – wyszeptalem przez zaciśnięte gardło.

Wiedzieli o moich pragnieniach więcej niż ja sam. Bez trudu przeniknęli mą duszę aż do jej najtajniejszych, mrocznych zakamarków.

Wzdrygnąłem się.

–Pragnę – powtórzyłem głośniejsze.

Wtedy pozostała dwójka opuściła kaptury i ujrzałem wbite we mnie potrójne spojrzenie gorejące agatowym blaskiem. Z trzech gardeł wydobył się jednocześnie głos.

–Trygław splata i Trygław rozplata – wymruczeli.

–Trygław splata i Trygław rozplata – powtórzyłem posłusznie.

–Wiedz jednak – zaszemrała śpiewnie kobieta – że każda pojedyncza nić żywota złączona jest na wieki z niemi życia dwóch innych istot w nierozzerwalny łańcuch.

–Wiem – szepnąłem.

–Nawet bóg nie może rozpleść jednej jeno nici – dodał kapłan stojący z jej prawej strony. – Rodzanice splatają losy na wzór pierwszego człowieka, w którym połączyły się ciało, umysł i dusza. Dotkniesz jednego włókna, a poruszysz dwa inne. Aby zmienić jedno, musisz zmienić trzy. Czy godzisz się zatem na potrójną zmianę losów?

–Godzę – odparłem, patrząc mu w oczy.

–Czy jesteś gotowy wziąć na swoje sumienie trzy ludzkie dusze, które wystawisz na nieodwracalne? Czy przysięgasz oddać im całe swoje życie? – Ostatni kapłan nachylił ku mnie mroczną twarz.

–Przysięgam – powtórzyłem pewniej, nieświadom tego co tak naprawdę obiecuję.

–Pamiętaj zatem. Strzeż tych istot, bo jednego dnia się narodzą i jednego dnia będą musiały skonać – szepnęła mi kobieta prosto do ucha.

Kiwnąłem głową na znak, że rozumiem.

–Jednego dnia się narodzą i jednego dnia umrą – powtórzyłem w myślach.

–Trygław splata i Trygław rozplata – zamruczeli wszyscy.

–Trygław splata i Trygław rozplata – zawtórowałem im pewniej, otrząsnąwszy się już nieco z pierwszego oszołomienia.

Nagle ta niezwykła rozmowa, pełna powtórzeń, tajemniczych znaczeń i grozy, zamiast przstraszać poczęła mnie uspokajać. Ciemności, szepty, jęki, nagłe pojawianie się i znikanie, zaszczepianie mi przekonania, że odgadują moje myśli, że wszystko o mnie wiedzą – przecież to znane mi sposoby, po które sam nieraz sięgałem, aby przerazić rozmówców. Jak mogłem dać się wciągnąć w tę grę, omamić prostym sztuczkom dobrym do straszenia maluczkich?

–Trygław splata i Trygław rozplata – wyszeptałem już spokojnie po raz trzeci.

Wtedy kapłani odwrócili się ode mnie bez słowa, nasunęli kaptury na głowy i odeszli w głąb świątyni. W mroku, ledwo rozświetlanym płomieniem swojego nędznego kaganka, widziałem, jak stają wokół posągu Trygława. Każde pochylone przed jedną z posępnych,

boskich twarzy o zasłoniętych oczach. Skrzyżowali ramiona na piersiach i poczęli kołysać się rytmicznie, bezgłośnie szepcząc słowa modlitwy.

Nie wiem, jak długo stałem i czekałem, aż skończą. Czas mijał niezauważalnie, tak że całkiem straciłem świadomość jego upływu. Zdało mi się nawet, że ukołysany monotonnym ruchem i szeptami zasnąłem na stojąco. Ocknąłem się, gdy poczułem zimną dłoń kapłanki na swojej twarzy. Kobieta przesunęła ręką po moim obliczu, jakby ścierając mi resztki snu z oczu.

–Obudź się, już czas – szepnęła cicho.

Mój kaganek dawno już zgasł, ale mimo to w wielkiej sali nie było ciemno. Rozejrzałem się zaskoczony i oczom moim ukazał się niezwykle widok. Świątynia, wcześniej pusta i pogrążona w mroku, teraz była rozświetlona morzem pochodni i wypełniona po brzegi ludźmi. Mężowie i niewiasty stali w skupieniu i ciszy, oczekując w najwyższym napięciu na to, co miało nadejść. W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą modliła się trójka kapłanów, koło posągu Trygława, pojawiła się trójka niewolników z rękami związanymi z tyłu. Niewolnica padła na kolana przed obliczem zwróconym w Niebo, mężczyźni zaś klęczeli naprzeciw twarzy zwróconych na Ziemię i w Zaświaty. Ze spokojem spoglądali przed siebie, nie okazując trwogi przed czekających ich losem. Kołysali się w rytm słów kapłanów jakby uwzniośnieni misją wyznaczoną im przez boga, zapatrzeni w cudowne krainy, do których mieli wkroczyć po śmierci.

–Obudź się, już czas – powiedział pierwszy kapłan i dotknął dłońmi moich uszu.

I od razu dobiegła mnie muzyka. Całe pomieszczenie wypełniły dźwięki bębnów, piszczałek i dzwonek coraz szybsze i szybsze, wibrujące, wbijające się w głęb mojej głowy i dudniące w piersiach.

Odetchnąłem głęboko, aby nie oszaleć od ich obłąkańczego rytmu.

– Obudź się, już czas – rzekł trzeci kapłan i dmuchnął mi w twarz dymem z fajki.

Poczułem gorąco, a duszący zapach wdarł mi się w nozdrza i rozlał płomieniem pod czaszką. Potrząsnąłem głową, a mdława woń wypełniła mnie bez reszty.

Kapłani wzniesli ręce i w nieznanym mi języku poczęli rzucać bogu wyzwania, żądać odeń czegoś, przywoływać go i błagać. Nagle wszystko – posąg, kapłani, niewolnicy – zniknęło w gęstej, białej mgłę migoczącej od wewnątrz jaskrawym światłem. Mgła falowała, a ja kołysałem się wraz z nią, miałem wrażenie, że biel osnuwa mnie wokół, oddycha, woła, zaprasza: Chodź do mnie, Nefasie, chodź.

I wtedy ujrzałem to, czego nie udało mi się dostrzec w swej imaginacji pod sypialnią księżnej Sławy. Zobaczyłem, jak potężne ciało Bolesława pochyla się i unosi nad kruchym

ciałem małżonki coraz szybciej i szybciej, aż księżnej braknie tchu, aż wrywa się z jej gardła jęk rozkoszy. A zaraz za tą spółkującą parą zjawiała się kolejna. Młoda, pulchna dziewczyna o roześmianej twarzy, włosach prostych i jasnych i intensywnie szmaragdowych oczach zapadła się w sianie. Za nią wyłonił się mężczyzna w rycerskim stroju. Oboje pospiesznie zrzucili odzienie, by móc bez przeszkód oddawać się miłowaniu. Kiedy zniknęli, pojawiła się kobieta o górnej części twarzy pokrytej czarnym tatuażem zlewającym się z czernią jej długich, lśniących w świetle księżyca włosów, dosiadająca w bezwstydnym tańcu mężczyzny, którego twarzy nie było widać. Kark i plecy kapłanki pokrywał niezwykle piękny wzór przedstawiający misternie zaplątujący się labirynt. Skrzyły się na nim kropelki potu. Wszystko poczęło zlewać się przed moimi oczami: kobiece piersi podskakiwały, pośladki Bolesława naprężyły się, jasnowłosa kobieta krzyczała. Muzyka zaczęła narastać, dudnić, huczeć. Nagość przeplatała się z czernią, jasne włosy mieszały się z sianem, napinała się biała skóra, a usta wykrzywiały w dziwnym grymasie. Nagle kapłanka otworzyła oczy – ziała w nich otchłań ślepej pustki. Z gardła wyrwał mi się krzyk przerażenia. Krzyczałem i krzyczałem z całych sił.

Mgła zniknęła.

Po chwili głos bębnow począł powoli przyspieszać i gęstnieć, aż stał się ogłuszający i dziki, aż porwał w szalony wir wszystko – posąg, kapłanów, ofiary. Nagle w rękach trójki kapłanów błysnęły noże. Odchyliły się trzy białe szyje. Szast. Opadły głowy trzech ofiar, jakby przecięte jednym ruchem. Szast. Trysnęła krew z otwartych gardeł. Czerwień buchnęła gorącym strumieniem do żłobień w kamiennej posadzce. Szast. Martwe ciała runęły na ziemię. Ostrza wysunęły się z krwawych rąk.

Upadłem na kolana. Moje nozdrza wypełnił zapach krwi, w ustach poczułem jej lepkość i słodkawy smak. Bóg poczuł go także. Krew ściekała do kamiennych żłobień u stóp wielkiego posągu, a kiedy wypełniła je całkiem, Tryglaw rozświetlił się i zamigotał od wewnątrz purpurowym blaskiem i naraz trójgraniasty obelisk zgrzytnął, drgnął, i począł na nowo wyrzynać koleiny losu. Obrócił się powoli, z chrzęstem przesuwając się o sto osiemdziesiąt stopni.

I stanął.

Teraz ciało zabitej niewolnicy leżało naprzeciw twarzy patrzącej w Zaświaty, ciała dwóch mężów spoczywały przed twarzami patrzącymi w Niebo i Ziemię.

Dokonało się.

Losy trzech istot zostały zmienione.



\*\*\*\*\*

*Jest to fragment powieści dark fantasy "Xięgi Nefasa".*

*Po 10 latach przerwy Małgorzata Saramonowicz, jedna z najlepszych polskich pisarek literatury grozy, powraca z porywającą i niepokojącą sagą dark fantasy. To historia, gdzie świętość miesza się z przekleństwem, a bogów trudno odróżnić od demonów.*

*Podczas zakazanego rytuału w sekretnej świątyni boga o trzech obliczach losy trojga dzieci zostają ze sobą splecione na zawsze. Jednego dnia się narodzą i jednego dnia będą musiały umrzeć. Wśród nich jest potomek Bolesława zwanego Krzywoustym.*

*XII wiek, Polska. Gorliwi wyznawcy Kościoła z krzyżem na piersi i litanią na ustach tępią wiarę w starych bogów. Kraj stoi na skraju przepaści. Jeśli Bolesław nie doczeka się syna, straci tron. Jego tajemniczy kronikarz Nefas jest świadom zagrożenia. Zwraca się do mrocznych kapłanów Tryglawa, prosząc, by odmienili Przeznaczenie. Wkrótce przekona się, co uczynił...*

*Od 3 lutego książka dostępna w księgarniach w całym kraju ( <http://www.empik.com/xiegi-nefasa-tom-1-tryglaw-wladca-losu-saramonowicz-malgorzata,p1118836886,ksiazka-p>). E-book dostępny na [Woblink.com](http://Woblink.com).*

# PARTNERZY





Jeśli  
piszesz  
horro-  
ry,  
wiedz,  
że HIS-  
TERIA  
się  
tobą  
intere-  
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.  
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

[magazynhisteria@gmail.com](mailto:magazynhisteria@gmail.com)

